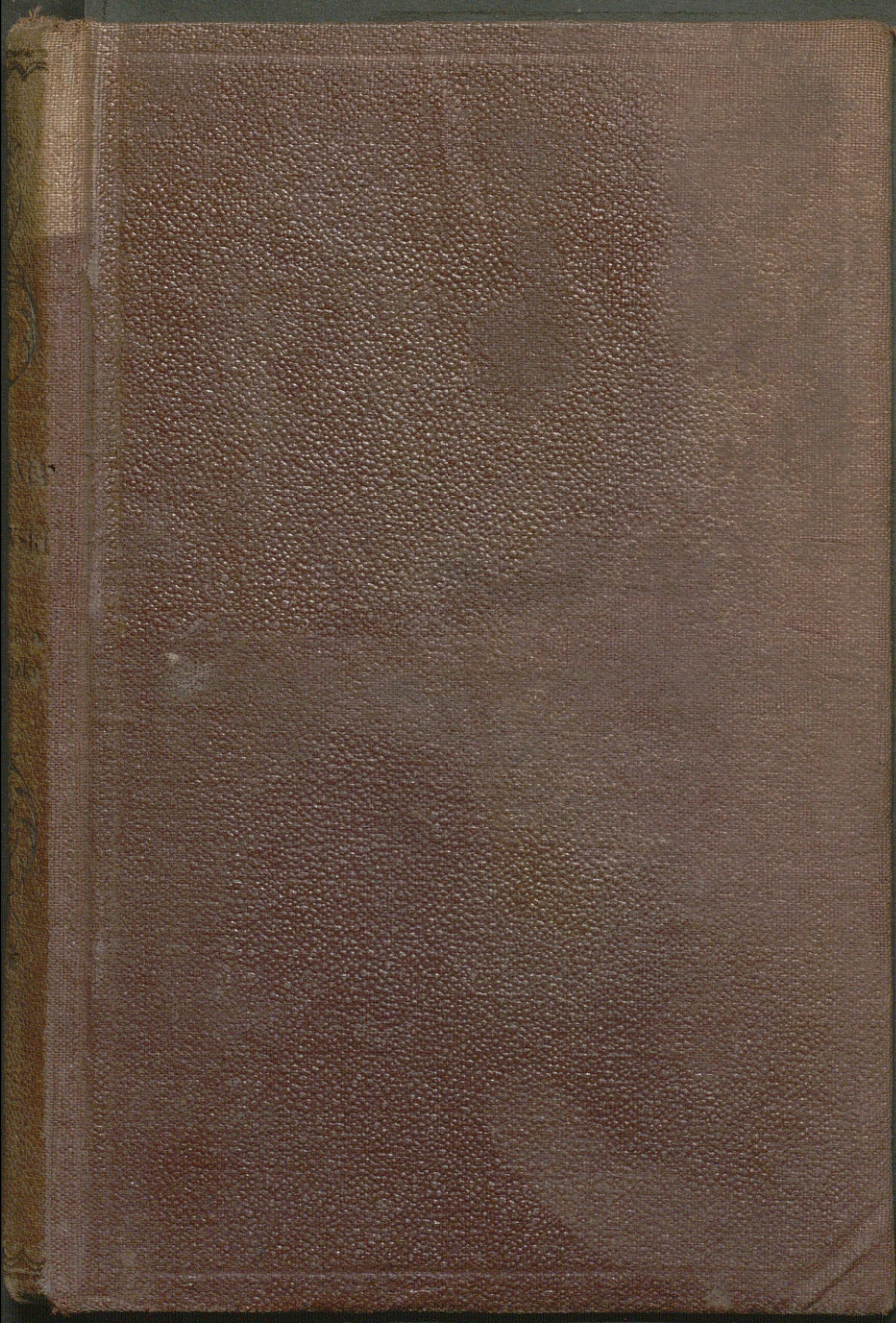
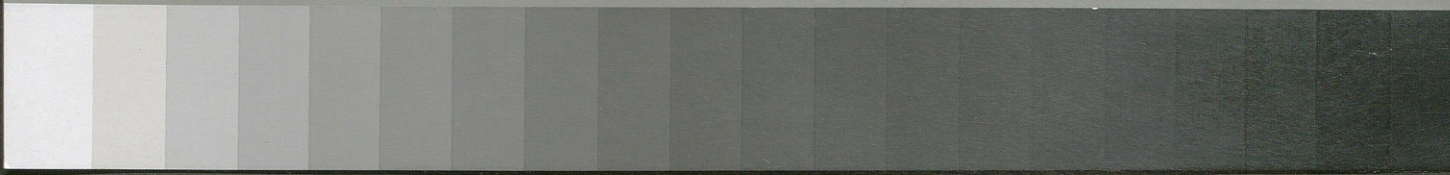
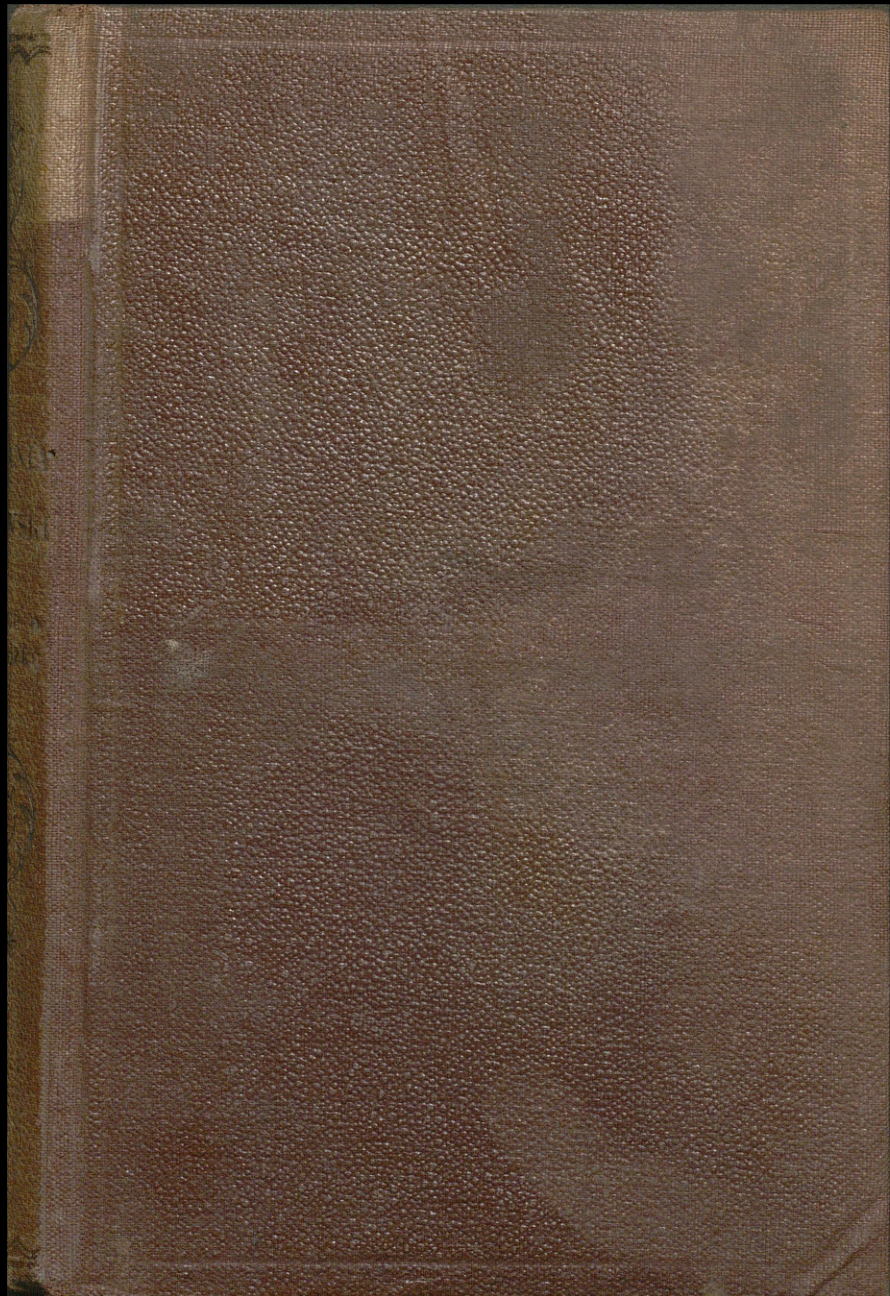


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





D W I E

KONWERSACYE

D W I E K O N W E R S A C Y E

Z P R Z E S Z Ł O Ś C I .

3

Służmy poczciwej sławie — a jako kto może,
Ku powszechnemu dobru niechaj dopomoże.

Jan Kochanowski.

4-733

D W I E
KONWERSACYE
Z PRZESZŁOŚCI.

przez

Ignacego Chodźkę,

Autora Obrazów Litewskich.



W I L N O.

Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego.

—
1857.

884-3

D W I E

KONWERSACYE

S PRZEŚNIOŚCI

Pozwolono drukować z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury prawem oznaczonej liczby exemplarzy.

Wilno, 15 Października 1856 roku.

Cenzor PAWEŁ KUKOLNIK.

Autor Opatrzon Litewskich



1856

KONWERSACYA SZLACHECKA

PRZEDKILKODZIESIĘCIOLETNIA.

KONWERSACYA SZLACHECKA

PRZEDKILKODZIESIĘCIOLETNIA.

I.

Przebywszy Wilię za Smorgoniami, na trakcie z Wilna, w głębszą północną Litwę wiodącym, wjeżdża się w bór gęsty, i przez dwie mile drogę tylko przed sobą widzieć może podróżny; lecz nagle otwiera się las i miła a gęsto zamieszka-
na rozwija się okolica. Gdziekolwiek rzuci się okiem, wśród pól urodzajem okrytych, wśród zieleniejących się łąk i gajów, ujrzesz to długie i szykowne sioła,

to dwory i sady, to świecące się zdaleka na kościołach i kaplicach krzyże, jakby godła Opatrzności i błogosławieństwa nad tą krainką. I tak z okiem i sercem rozweseloném, przebywasz jeszcze mil parę i zbliżasz się do drugiej rzeki, *Naroczy*, mniejszej od *Wili*, jednakże znakomitszej między strumieniami litewskimi, i pięknnością brzegów swych słynącej, za którą droga znowu w ciemny bór się wciska.

Wśród téj powabnej okolicy, w blizkim od drogi i wspanialszym nad inne, a do dziś dnia stojącym i zamieszkanym dworze, żył przed kilkudziesięcią laty *Joa-chim Chomiński*, stolnik oszmiański, pan dostatniej fortuny i szumnej szlacheckiej fantazyi, przedłużający w domowém życiu owe swobodne, nieogłędne na jutro, lecz zacne, szczere i pocziwe obyczaje, jakie natenczas już staroświeckimi zwać zaczęto.

Rzadko się wydalający z domu, bo we własnym używał dobrych czasów, i zamiast jeżdżenia w gościnę, do siebie zapraszał gości, a racząc wszystkich suto i sowito, na samotność uskarżać się nie mógł. W funkcye publiczne nie wdawał się także, a chociaż wodził na Oszmiańskie sejmiki liczne partye dla pomocy przyjaciołom, i nieraz z bracią szlachtą łba nadstawiał, ale go nigdy porąbać sobie nie dał, bo był znakomity i powszechnie znany gracz do szabli.

Zresztą, zawsze wesoły i dobrego humoru, sypał jak z rękawa staroświeckie dykteryjki, zagadki, sentencye, połączenie szczególnież, i wierszem i prozą, i cudze i własne, bo i sam często *koncypował* wiersze; a wszystkie dawnym obyczajem, w jedną wielką spisywał księgę, mieszcząc w nią razem i wszelkie inne notaty publiczne, lub domowe i prywatne. Księga ta nie odstępowała go nigdy, za-

bierał ją nawet z sobą w gościnę; był to bowiem arsenał dostarczający mu wszelkiej broni, i żartobliwej dla utrzymania dobrego humoru w kompanii, i poważniejszej do przekonywania w dysputach. Żył więc sobie pan stolnik jak pan, i jak życ każdemu życzę, żył też długo, bo go i ja pamiętam jeszcze, jakbym nań teraz patrzył.

Rodzina Chomińskich, bardzo starożytna i dostatnia w Litwie, licznie natenczas rozrodzoną była. Pan stolnik miał kilku braci młodszych od siebie; był on najstarszym w familii, i mógł mieć lat ze sześćdziesiąt, w czasie i chwili, którą za treść do opowiadania biorę. Po nim następował brat jego, biskup Zenopoliński i dwóch jeszcze z kolei; a z tych najmłodszym był Ksawery Chomiński, najprzód pułkownik Pińskiej brygady, potem starosta piński, marszałek trybunalski, i nakoniec wojewoda braćławski.

Dwadzieścia lat przedzielało go od najstarszego.

Ten był człowiek publiczny, i na takiego za młodu wykształcony, a zatem wchodził w skład nowego pokolenia ludzi gromadzących się około tronu króla, tak nazwanego *wskrzesiciela nauk*, do którego względów i szacunku francuzką tylko mową, strojem i obyczajem trafić można było. Pan wojewoda więc nietylko dobrze mówił tym językiem, ale go doskonale posiadał; a idąc za rozpowszechniającem się już upodobaniem w literaturze francuzkiej, wspomagany wrodzonym zapewne do poezyi popędem i darem, tłómaczył na język ojczysty kilka celniejszych dzieł poetycznych téj literatury *).

*) W roku 1817, w drukarni Missyonarskiej w Wilnie, nakładem P. Antoniego Chomińskiego, synowca Ksawerego, wyszły z druku tłómaczone i oryginalne poetyczne dzieła jego.

łącząc w sobie i publiczne obywatelskie znaczenie, i oszacowywane natenczas bardzo, zwłaszcza w wyższych sferach towarzyskich, literackie zalety, miał przed sobą otwarte wszystkie drogi kuzasługom i dostojenstwom; — lubo młodszy w rodzeństwie, lecz senatorską swą godnością dodając nowego lustru znakomitemu zkąd inąd imieniowi, był *de facto* głową rodziny. Jeden tylko pan stolnik, lubo w duchu kochał i szacował brata, ulegać wszelako preponderacyi jego, zwłaszcza widocznie, nie chciał, i w potocznych sprzeczkach stawał mu zawsze w opozycyi, niekiedy z przekonania, wiążącego się w nim z umykającą się przed nowemi ideami przeszłością; niekiedy zaś z przekory tylko, i byle konceptem spylic mądrego pana wojewodę.

Lecz żeglując tak po burzliwem życia publicznego morzu, nie zawsze szczęśliwie zawijał do portu wojewoda; znacze-

nie powszechne rosło, ale fortuna zmniejszała się.... Człowiek, który na facyacie jednego ze swych rezydencyonalnych pałaców napisał godłem czterowiersz:

«Rozumnym radom,

Skromnym biesiadom,

Cnocie z honorem,

Staję otworem!»

nie był zapewne przyjacielem skrzętnej oszczędności, która zbiera i rozpraszać nie daje, a uczy dziś umknąć się z wydatkiem, choćby kosztem osobistej konzyderacyi, tak naówczas drogięj ludziom stojącym na wyższych stopniach społeczeństwa. Rozmaitę więc doświadczał w swęj fortunie alternaty, to pańskie *do-
statki*, to pańskie *ostatki*, co wszakże nie ujmowało mu najmniej, ani powszechnego znaczenia i powagi, ani wysokich wstępów, do których z urodzenia i osobistych przymiotów i rozumu miał prawo.

Pułkownik Petyhorskiej brygady, ja-

kem to powiedział, starosta piński, z kolei marszałek trybunalski i nakoniec wojewoda braclawski— a więc wysoki dostojnik w narodzie— często jednak, gdy okoliczności nie dopisały, dochody się wyczerpały i ścisnęły a kredyt chybił, brat pan Ksawery przybywał na czas pokuty i oczekiwania do brata, pana Joachima. Zajmował on natenczas oddzielny, na jego przybycie zachowywany zawsze pokój, i teraz jeszcze przez nowego dziedzica domu tego nie naruszony i z całym swym staroświeckim przybraniem zostawiony,— a tam, unikając, ile przyzwoitość wymagała, zgiełku, jaki każdodziennie prawie panował u gościnnego pana stolnika, poświęcał *muzom* godziny swego ze świata wygnania. Czytał, pisał, tłómaczył, nim znowu jakaś sukcesya, która nieraz w szerokich téj familii związkach się wydarzała, lub jaki inny pomyslny obrót rzeczy, a nawet raz i bo-

gate z Tyzenhauzówną ożenienie, nie wywołało go z zielonego pokoju i pustelnika nie wywiodło na świat.

W najbliższém od pana stolnika sąsiedztwie, o miedzę, jak to powiadano, mieszkał natenczas w swoim dziedzicznym folwarku pan Michał Ch..... wojski oszmiański. Może niejednen z moich czytelników zna go, jeżeli mu się zdarzyło czytać pisma *Jana ze Świsłoczy* *), gdzie on w pierwszej powieści, pod tytułem własnegoż jego urzędu, najprawdziwiej jest odmalowanym; albo któż nie czytał Pana Podstolego, do którego pan wojski z wielu względów był podobnym? Życie jego, w domu spokojne i bogobojne, za domem, w publicznej posłudze i urzędowaniu prawie nieprzerwaném, uczciwe,

*) Pisma rozmaite Pana *Jana ze Świsłoczy*. Wilno, w drukarni A. Marcinowskiego, 1841 r. Powieść pierwsza— *Pan Wojski*.

rzetelne i sprawiedliwe, jednało mu powszechny szacunek.

Nie tak jednakże wysoko jak pan wojewoda sięgał pan wojski. Był to urzędnik powiatowy, a lubo po dwakroć trybunalską zasiadał ławę, lecz urząd sędziego trybunału był czasowym, półrocznym zwykle, inne zaś *officya* wojewódzkie czy powiatowe były dożywotniami i przez recess tylko dobrowolny, lub postąpienie na wyższy stopień, pod sejmiki nowe podchodzić mogły. Deputatami zatem na trybunał obierani bywali i urzędnicy ziemscy, a po ukończeniu kadencyi, wracali znowu do swych powiatowych *officyów*. Wojski, za przywilejem króla, był nadto pisarzem ziemskim oszmiańskim; urząd ten, skromnego na pozór tytułu, był wszakże jednym z najwięcej znaczących w powiecie. Pisarz bowiem, mając w swém zawiadywaniu akta powiatowe, mianując regentów, vice-regentów i całą

kancellaryę sądownictwa, a przeto mając zręczność promowania uboższej szlachty, zjednywał sobie wielowładny wpływ na nią, tak, że nieraz i wysocy dygnitarze submitować się jemu musieli, gdy sejmikowe zamiary skłaniały ich do szukania podpory w prawicy potężnej między szlachtą; a gdy on jeszcze nie potrzebował regenta dla pisania dekretów i gdy do znajomości prawa, łączył w sobie przymioty sprawiedliwego sędziego i gotowego na posługę powszechną obywatela, natenczas powaga jego między powietnikami bywała wielką i prawdziwą.

Takim właśnie pisarzem był pan wojski, sąsiad pana stolnika. Dom jego, w którym wnuk dziś jego przemieszkiwa, niewielki lecz wygodny i schludny, a którego wnętrze w dalszém opowiadaniu w części poznamy, zajmuje środek nader miłej wiejskiej pozycyi. Przed nim obszerny staw, czystą a rozległą szybą

zwierciadlaną przedłuża daleko dziedzi-
 niec; za nim ogród, w który dom wro-
 słym być się zdaje, osłania go z tyłu i
 z boków, a rzeczka wypływająca ze sta-
 wu i biegnąca przez ogród, jest jakby
 ramieniem, łączącym w jedność dwie o-
 zdoby mieszkania poczciwego człowieka.
 W ogrodzie altana z lip, natenczas już
 starych, była i jest główném tam miej-
 scem, obejmującym i przypominającym
 rozmaite domowe dzieje, do których i
 opisująca się konwersacya policzyć się
 może.

Pan wojski i pan stolnik, przyjaciele
 serdeczni, odwiedzali się często; lecz gdy
fallax fortuna dotknęła pana wojewodę i
 przywiodła go do brata, natenczas dale-
 ko częściej ten wygnaniec, gdy pora le-
 tnia była po temu, przesiadywał w alta-
 nie pana wojskiego. Ten, że był naten-
 czas wdowcem, przeto żadnej w domu
 jego nie znajdując subjekcyi, tém ochot-

tniej od natrętnego zgiełku wykradał się poeta, i piechotą lub prostą kałamaszką przybywszy do ogrodu, zajmował swój lipowy gabinet, pewny, że gdy go ujrzy gospodarz, na chwilę tylko serdeczném powitaniem przerwie mu ulubioną samotność i pracę.

Ta umiejętność stosowania się do położenia własnego, ta chęć uciekania się w przeciwnościach na łono nauk i uspokajania niemi myśli, światowemi burzami rozbitych, były dowodem i cechą niepospolitego męża, a w wieku tamtym, wysoki dygnitarz kraju, tłumaczący Rasyne lub Delilla w wiejskim szlacheckim ogródku, był także niepospolitým zjawiskiem. Przecież to nie jest moim wymysłem; piszę z opowiadania pana wojewódzkiego, który mi nieraz w téjże samej altanie powtarzał: «Tu niegdyś pan wojewoda Chomiński, swoje tam jakieś *Tragedye i fabuly* koncypował.»

II.

Siedział raz tedy pan wojewoda nad stolikiem, gotowym dlań zawsze w altanie; na kanapkach darniowych porozkładane były książki; sam on z piórem w ręku to pisał, to się zamyślał i tarł czoło, to kassował, rzucał pióro a brał książkę w rękę i przechadzał się po długim szpalerze przedłużającym altanę, to nakoniec chłodził się piwką, właśnie na ten cel mu postawioném.

Że już długo bawił samotny pan wojewoda, przyzwoitém zdało się panu wojskiemu odwiedzić go. Wspomożemy się tu od *Pana Jana ze Świsłoczy* opisaniem figury pana wojskiego.

«Poważny mężczyzna, około sześćdziesięciu lat mający, wzrostu wysokiego, dosyć otyły lecz krzepki; twarz marszczkami jeszcze nie pokrytą, śniadą, rumianą i mocnych namiętności nie wyrażającą, zdobił wąs siwy miernej wielkości; głowę miał wysoko podgoloną, a ubranym był w żupanie białym letnim, po którym szeroki pas z jedwabiu utkany, zapięty był na przodzie wielką, złotą, misterną roboty sprzączką; nakoniec kołnierz biały, okrywający szyję, spajała piękna rubinowa szpinka.»

Tak w codziennym i niegalowym ubiorze, wojski zdawał się przyjmować bardziej skromnego poetę, niż senatora; chociaż o poecie naówczas nie myślał wcale, i nie wyobrażał, że pamięć poety dalej zajdzie w potomności niż senatora—Rzeczywiście nie przymuszał się dla przyjaciela i częstego gościa.

—A cóż panuleńku, panie wojewodo

dobrodzieju, czy nie dość już téj pracy?— rzekł wojski—i jezuici nad Alwarem nie męczyli tak swoich dyscypułów, jak pan siebie dobrowolnie nad tą francuzczyzną mordujesz.

—Nic to, nie, kochany panie wojski; ale w czas przychodzisz, bo właśnie skończyłem mą pracę — rzekł wesoło powstając Chomiński— i udało się niezle.

—Chwała Bogu; czy to znowu jakie gospodarskie przestrogi i nauki, nad którymi panie wojewodo dobrodzieju mozoliłeś tu głowę, a zdaniem mojem napróżno, bo ich żaden nasz ekonom czytać nie będzie, a choćby i czytał, to nie zrozumie; gospodarstwo z książki, panuleńku! Boże odpuść! Ale kiedy to pana zabawia, to i owszem.

—Nie, panie wojski — odrzekł uśmiechając się wojewoda — wytłómaczyłem teraz i po większej części w twojej alta-

nie, tragedye jednego z najslawniejszych poetów francuzkich; posłuchaj końca.

—A to panuleńku zaczynasz od końca?

—Nie, ale dzisiejszą właśnie mam pracę chcę ci przeczytać, a jest to opowiadanie kończące tę tragedye, i najpiękniejszy z niej ustęp.

Poeta chciał widać, jak zazwyczaj bywa, przedeklamować swoje wiersze, i sam się nimi nacieszyć; wiedział bowiem z niejednokrotnego doświadczenia, że wojski przez grzeczność tylko słuchał jego tłumaczenia *Delilla*, i nie pojmował jeszcze téj zasługi i chwały, jaką jedna już sobie natenczas każdy, dający dowód swych literackich zdolności.

—Słucham— rzekł wojski siadając z rezygnacją.

Zaczął więc wojewoda podwyższonym głosem:

«Ledwośmy za Trezeńskie wystąpili mury» —

—A gdzież to te Trezeńskie mury, panu-

leńku, panie wojewodo dobrodzieju?—
przerwał wojski.

—W Grecyi, w Grecyi, kochany panie wojski.

»On na wozie otoczony strażą nieodstępą...»

—A któż to on?— przerwał znowu, a z tych przerywań poznał wojewoda, że chcąc aby słuchacz jego do końca był cierpliwym, potrzeba mu było choć jak najkróciój i najzrozumiałój rzecz sztuki opowiedzieć.

—On— rzekł więc— on, to główna osoba tragedyi, Hipolit syn Tezeusza, bo widzisz panie wojski, treść taka tragedyi. Pewny król Grecki, Tezeusz zwany, miał żonę Fedrę; a miał także z pierwszego swego małżeństwa, dorodnego syna, Hipolita.

Gdy Tezeusz był daleko od swego królestwa na wojnie....

—To pewnie panuleńku na Trojańskiej, bo ja o innych wojnach greckich wcale

mało niegdyś w szkołach się nauczyłem; ale co o téj Trojańskiej, to nam Jezuici uszy prześwidrowali, a na tym sławnym koniu, ledwo sami nie jeździliśmy, przeklinając Judasza, który go do miasta wprowadzić poradził; bo ztąd panuleńku wynikło, że teraz *nec locus ubi Troja fuit.* *)

—Nie, panie dobrodzieju; król Tezeusz panował jeszcze przed wojną Trojańską; otoż gdy on był oddalony, żona jego zakochała się w swym pasierbie, Hipolicie; a gdy ten nie był jój wzajemnym, owszem ze wzgardą i zgrozą odrzucił jój zapały, ta niegodziwa macocha przed powracającym niespodzianie mężem oskarżyła i spotwarzyła syna, że on właśnie godził na honor ojcowskiego łoża.

—A to panuleńku, coś jak owa Putyfarowa.

—Prawda panie wojski, prawda, a da-

*) Ani miejsca gdzie Troja była.

libóg że trafna uwaga twoja. Tezeusz zatem w zapalczywym gniewie na syna, przeklął go.

—Trzebaż było piérwój zrobić regularną inkwizycyą, — rzekł wojski, — toby prawda wyszła na wierzch jak oliwa, i zamiast cnotliwego syna, przekląłby i wypędził precz do kata taką niegodną babę.

—I to znowu prawda; ale natenczas— mówił uśmiechając się Chomiński— nie byłoby tragedyi.

—Mniejsza o to panuleńku, sens w niej moralny, jak uważam, nie nowy; dawno to już i w przysłowie weszło: *Mulier sive amat, sive odit, nunquam nimis.* *) Ale słucham dalej.

—Neptun zatem....

—Ale! Neptun.... przypominam go; w wojnie Trojańskiej bardzo on wicherzył; był to bożek morza i wszelkich wód; wi-

*) Kobięta czy kocha, czy nienawidzi— nigdy w miarę.

dzisz panie wojewodo, żem Iliadę kiedyś wertował— rzekł wojski i pokręcił wąsa.

—I nie zapomniałeś jój dotąd; otoż Neptun przyrzekł był kiedyś Tezeuszowi, że pierwszą jego prośbę wysłucha i ziści. Tezeusz zatém odezwał się teraz doń i prosił aby ukarał wyrodnego syna. Bożek dotrzymując przyrzeczenia, gdy Hipolit opuszczający zagniewanego ojca, oddalał się z Trezeny, stolicy Tezeusza, ijechał brzegiem morza, pobudził nań okropną morską poczwarę, która przestraszywszy konie o śmierć go przyprawiła.

—Sprawiedliwy Neptun! niéma co powiedzieć— mówił wojski pokręcając głową— przecież jako bożek powinien był znać, że gniew ojca był niesłusznym.

—No, stało się, panie wojski! i oto właśnie przetłómaczyłem opisanie téj śmierci nieszczęśliwego syna, które kończy tragedję, napisaną z téj starożytnéj

treści przez sławnego poetę francuzkiego
Rassyna.

—Słucham więc, słucham, panie wojewodo dobrodzieju, i tém chętniej teraz, gdy wiem o co rzecz idzie.

Znowu więc poeta przybrał postawę dramatyczną i przed siedzącym wojskim nanowo zaczął:

«Ledwośmy za Trezeńskie wystąpili mury,
On na wozie, otoczony strażą nieodstępną,
Równie jak on milczącą i jak on posępną;
Biorąc drogę w Miceńskie która wiedzie strony,
Wolny puszczał leje koniom w myślach zanurzony.
Te przepyszne rumaki, które dawniej znały
Pana i głosem jego pęd swój kierowały,
Teraz z okiem ponurym i z głową schyloną,
Zdawały się przejmować myśl jego strapioną.
Wtém nagle ryk z przepaściów morskich się wypiera,
I gromem przeraźliwym powietrze rozdziera,
A ziemia z swych czeluści odpowiednim krzykiem
Na postrach świata z morskim zgadzała się rykiem.
Nam w głęb' serca krew zbiegła, skrzepły chłodem żyły,
Grzywy się oszożonym koniom najeżyły;
Aż w tej chwili przez grzbiety wzdętych morza fali,
Straszliwa ku nam góra z bałwanem się wali,

Dobiega, rozprasza się, a przez szum i parę,
Tuż przed nami okropną wytacza poczwaraę!!!»

—Jezus! Marya! Józef!— krzyknął wojski i aż się cofnął ze stołkiem, na którym siedział, bo deklamator stosownym oburęcznym giestem, jakby mu pod nogi tę poczwaraę wypchnął.

Zadowolony poeta wrażeniem, które sprawił, uśmiechnął się i deklamował dalej:

«Łeb straszny, rogi groźne, spod zbrojny w pazury,
Cały w łusce jaskrawej dziwotwór natury,
Czy żubrem nieprzepartym, czy go nazwę smokiem,
W grube kłęby wężowym tył przewijał tokiem;
Pod wyciem jego straszném nadbrzeże trętwiało,
I słońce nań z ohydą przez chmurę spojrzalo....
Ziemię pod sobą wzruszył, tchem powietrze mroczył,
A wał, co go wyzionął, wzdrygnął i odskoczył!!!»

Tu się poeta zatrzymał, jakby dla nabrania tchu w piersi; wojski nie usiadł już po pierwszém przerażeniu, lecz z natężoném okiem stał omamiony zupełnie, a gdy Chomiński zamilkł:

—Panuleńku!— zawołał— to okropnie!
to okropnie! Dla Boga, cóż dalej się
stało?

Tém bardziej zachęcony wojewoda, kon-
tynuował:

«Wszyscy w rozsypce, nie śmie nikt nadstawić czoła,
Hurmem się do blizkiego wszysey prą kościoła;
Sam Hipolit, dostojne plemie bohatera!
Wstrzymuje konie, porywa pocisk, naciera,
A rzutu swego pewny, ręką niezachwianą
Bok straszydła otwiera wskrós szeroką raną;
Bolem, gniewem, wściekłością miotana szkarada,
Pod same nogi koniom ulęknionym pada;
Tarza się, złość ją wspina, ze smoczego pyska,
Pianą, posoką, gniewem na chrapy im pryska!
Już tu górę nad niemi bierze bojaźni głucha,
Nie masz dla ust wędzidla, nie masz na głos ucha;
Darmo pan na nie siły zażywa i sztuki,
Skrwawioną tylko pianą rumienią musztuki.»

Kilkakrotny trzask z bicza przerwał tu
deklamacyę.

—Któs nadjeżdża— rzekł wojski.

—To zapewne mój brat, pan stolnik;
znam jego stangreta po biczu, a oprócz

tego miał on po mnie przyjechać i razem z osobnym jeszcze naszym interesem do pana; nie róbmy sobie subiekcyi, znajdzie on nas i tutaj....

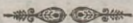
—Słucham więc dalej—rzekł wojski.

Wojewoda znowu:

«W tym zgiełku mówią nawet, że był postrzeżony
Jeden z bogów, bodzący koniom bok spieniony:
Przez skały strach je pędzi, uniesione z drogi;
Oś gnie się, trzaska, pęka....»

—Oho, ho! — odezwał się tu głos mocny — oho, ho! mój brat pan wojewoda tragedye tu widzę wyprawia dla pana wojskiego dobrodzieja, któremu solennie submituję się — mówił stolnik wchodzący do altany.

—Nogi pańskie weneruję, panuleńku! odpowiedział wojski, a wojewoda rzucił rękopis na stolik, bo już wiedział, że przy bracie nie będzie rady z deklamacją.



III.

Pan stolnik, równego prawie wieku z wojskim, niższym był od niego wzrostem, a pękatszy tuszą; nigdy on inaczej jak strojno do poufałego nawet sąsiada nie wyjeżdżał i wzajemnie, ktoby z równych jemu inaczej się doń pokazał, miałby to sobie za ubliżenie i nieukontentowanie swe dałby mu uczuć bez ogródki. Pas lity, jedwab' i sajeta na szatach, spinka brylantowa na szyi, pierścień brylantowy na rękę i trzcina w srebro okuta w prawicy. Oko żywe, oblicze czerstwe, na którym wesoły uśmiech zawsze goszcząc, oznaczał niewątpliwie wewnętrzną swo-

bodę i zadowolenie, żadną niezachwia-
ne troską.

Trzy te figury w altanie, przedstawiać
się mogły jako troje wyobrażeń, spiera-
jących się w kraju o pierwszeństwo. Wie-
le już o tém napisano, wiele obrazów,
wiele powieści na tém tle osnowano; wie-
le postaci dawnych i narodowych, mó-
wiąc słowami poety:

«Wstają z martwych, przechodzą na prawdy zwierciadła,
Od twarzy ich Plutona przylbica odpadła.»

Uczymy się ich obyczajów publicznych
i domowych, uczymy się szacować to,
cośmy niedawno mieli w poniewierce,
znajdujemy dobre w tém nawet, cośmy
śmiesznością nazywali i przekonywamy
się, że to cośmy za postęp rozumu uwa-
żali, było rzeczywiście odstępem od cnót
nam wrodzonych, a zatém prosto do zgu-
by nas wiodło. Lecz bodaj dosyć już téj
nauki, aby przesył uczniom się nie na-
przykrzył, nauczycieli nie spowszednił...

Już nawet ostrzegające w tym względzie symptomata czas od czasu objawiają się i w czytającej i w piszącej publiczności.... ten raz wszakże kontynuujemy.

Pan stolnik więc, jakby z dawnych portretów zdjęta figura, był jakeśmy to powiedzieli, mąż przeszłości. Pan wojewoda zwolennik nowych, cywilizowanych idei, pan wojski zaś, jakby na gwicchie wążącój się szali, mógł środkować między jedną a drugą ostatecznością — bo wiek i nawykniecie przywiązywały go nałogiem, a nawet przekonaniem wewnętrzném do tego co było a znikało, lecz częste ocieranie się jego ze światem, rozmaite z nowém towarzystwem stosunki, które w publiczném urzędowaniu nader często mu się nastęrczały, oznajomiły go i ozwyczały z tą obecną przemianą głów i sentymentów ludzkich. Nigdy wprawdzie w duszy jego nie było bezwarunkowój zgody, ale nigdy też nieroz-

ważnego *niepozwalam*; a gdy przyszło mu niekiedy o tój nowój oświacie w kraju poważną toczyć rozmowę, z niechętną miną i niedbale pokręcając wąsa kończył sentencyą: *Sunt bona mixta malis, sunt mala mixta bonis* *) — i tak w rzeczy samej było, tylko że *mala* przeważyły....

—Toćto to, — mówił dalej stolnik — pan brat dobrodziej ucieka odemnie, aby tu *tanquam in eremitario vacare Musis*. **) Ale gdybyż to *Musis*! Muzy, to mopanie, boginie greckie i łacińskie, więc kiedy się z niemi bawić, to w ich rodowitych językach, i kiedy panie bracie dobrodzieju chcesz ich realne inspiracye dać nam poznać po polsku, to tłumaczże ich z tych języków, któremi one do poetów przemawiały — a nie z francuzczyzny.

—Ale bo widzisz brat — odpowiedział

*) Jest dobro między złem, jest złe między dobrém.

**) Jakby na pustyni bawić się z Muzami.

wojewoda— że i francuzcy poeci natchnienia Muz wzywają.

—A zkadże ich proszę uniżenie wzywać teraz mogą, kiedy ich krzyż święty i z ziemi i z nieba wypędził! nieprawdaż mopanie wojski? cha, cha, cha!

—Prawda panuleńku, *) prawda— odpowiedział wojski uśmiechając się.

—Ale nic dziwnego— mówił dalej stolnik— nic dziwnego; Francuzi to poganie! nie darmo mają między sobą antychrysta, niedowiarka i wcielonego diabła *Voltera*, którego książki znalazłszy onegdaj u wapan, panie bracie wojewodo, brat ksiądz biskup piękną dał jegomości admonicę; ale cóż po tém? mopanie, wapan trzymasz się swojej francuzczyzny, jak pijany płotu.

—Naprzód, kochany stolniku— rzekł

*) *Mopanie, panuleńku*, przysłowia prawdziwe stolnika i wojskiego.

wojewoda— ten antychryst Volter dawno umarł.

—Wiem o tém; wszakże ksiądz biskup opowiadał wszeteczną śmierć tego ateusza i tentatora: *Exitus acta probat*; *) wziął diabeł co swego mopanie.

—Potém znowu— rzekł daléj wojewoda— nie wszystko co Volter pisał jest bezbożném.

—Daj pokój mopanie wojewodo, daj pokój! *Abominatio Domini est omnis illusor*. **)

—Tak zdaje się, że tam jest cokolwiek dobrego, ale to zdrada mopanie; musi być wszystko złe kiedy Kościół święty i autora i dzieła jego potępił; a że pisał wiele, to jeszcze gorzej. *Qui utilia monet, non qui multa novit, sapiens est!* ***)

*) Śmierć dowodem czynów życia.

**) W obrzydzeniu u Boga jest każdy kusiciel.

***) Nie kto wiele, lecz kto pożytecznie czyni, mądrym jest.

a nawet lepiej byłoby żeby nic nie pisał.
Melius est honeste otuari, quam male agere. *)

—Nie prawdaż, mopanie wojski?

—Nic dobrego i ja o Volterze nie sły-
szałem— odrzekł na to ponowione do sie-
bie zapytanie wojski. Pan wojewoda zna
to lepiej; jednak trudno dysputować prze-
ciw tyłu i tak mądrym sentencyom, któ-
remi jak mieczem obosiecznym na wszyst-
kie strony plażysz panuleńku, panie stol-
niku dobrodzieju.

—Ja też nie dysputuję ze starszym bra-
tem, którego rozum i elokwencya znaną
mi jest dobrze— mówił wojewoda, z iro-
nicznym uśmiechem uchylając głowę.

—Oho, ho! znamy się na farbowanych
lisach— zawołał stolnik— znamy się; oni
nas wszystkich mopanie wojski mają za...

—Przerywam panie bracie— rzekł

*) Lepiej jest pocziwie próżnować, niżeli na złe pra-
cować.

żwawo wojewoda — bo powiesz słowo.... niesłuszne. Naszego pana wojskiego, i wszystkich jemu podobnych obywateli i urzędników szacuję wielce, i mam za najzacniejszych ludzi; i ciebie, mój kochany stolniku do ich rzędu policzając, kocham jak mego rodzzonego a szanuję jako starszego brata, chociaż dziwaczysz się czasami.

—A widzisz mopanie, jaki subtelny rozum naszego pana senatora! Spenetrował od razu co miałem powiedzieć, i lisim konceptem zamydlił nam oczy. Wapan z Galilei mopanie! z Galilei! to jest z nowój dworskiej szlifierni i szkoły....

—Której dla tego najbardziej nie lubisz,— kończył wojewoda — że twą ulubioną łacinę z mowy polskiej ruguje.

—A choćby i dla tego, mopanie, *intra plures alias*; a zamiast poważnej łaciny, francuzczyznę naznacza za *summum arca-*

num *) rozumów ludzkich; a cóż to za komparacya? Daj mi wapan choć jedną sentencyę francuzką, któraby i *ad rem* przypadała, i jakąś piękną a mężką sonancyą napełniała gębę. Ot naprzykład: *Totus si illabitur orbis, impavidum faerient ruinae.* **) Każde *r* wymawiał stolnik z brzmącym przyciskiem, jakby w harmonii naśladowniczej rujnującego się świata. —Cóż wapan na to? Wszak zdanie takie godne być w ustach i senatora i hetmana: *impavidum faerient ruinae!*... Wytlómaczże mi to panie wojewodo.

—A czemu nie? trzebaby tylko pomyśleć; wszakże wiesz bracie, że umiem po łacinie.

—Ot tak nie bardzo, między nami mówiąc, bo wapan *Scholarum Pijarum*; ale

*) Najwyższa treść.

**) Choćby cały świat się rozpadł, mężnego nie zachwieją ruiny.

wytlómacz tak, aby przecie i po polsku było co powiedzieć i posłyszeć, i aby każdy zanotował to zaraz sobie i w głowie i w domowym raptularzu, jeżeli go pisze.

—Pewnie już to sam wytlómaczyłeś i do swój książki wpisałeś, a mnie wyzywasz *de plagis*; lepiej powiedz i damy bravo.

—Zgadłeś, mopanie, wytlómaczyłem i do księgi *ad perpetuam rei memoriam* *) wpisałem; brava zaś szczerego mi nie dasz, bo wszystkiemi memi wierszami spernujesz; a jednakże, mopanie wojski, gdy jaką zagadkę mojej kompozycyi zadam jegomości i raptularz schowam, to idzie cicho do mojej pani i wypytuje się o słowo. Kobiéta, zwyczajnie kobiéta, nie dotrzyma molestacyom i wymknie się z sekretem, a wtenczas wojewoda tryumfuje, jakby doprawdy zgadł.

*) Na wieczną pamiątkę.

—A na cóż kobiecie powierzać tajemnicę, panuleńku?

—Ot widzisz, mopanie, jakże dotrzymać i nie pochwalić się przynajmniej przed żoną, gdy się co dobrego uda?

—Przyznaję, przyznaję, kochany bracie— mówił wojewoda— żeś gracz do zagadek; ale mów nam swoje tłumaczenie.

—No, to tak— rzekł stolnik odchrząknawszy i pokręcając wąsa:

«Choćby świat pękł, od czego uchowaj nas Panie!

Mężny, ufając w Bogu, dostoi mopanie.

—Bravo!— zawołał śmiejąc się wojewoda. —Bravo!— zawołał wojski śmiejąc się także, i stolnik nakoniec sam się rozśmiał.

—A teraz jeszcze jedną zagadeczkę, mopanie wojewodo, i musisz sam swoją głowę pomęczyć, bo pani stolnikowej tu niéma, a wapan, panie wojski dobrodzieju, nie mów, choćbyś się domyślił.

—Ale, bracie kochany, zapominasz o

interesie, który cię tu sprowadza, a o którym wspólnie mieliśmy z panem wojskim pogadać.

—Nie zapominam, nie zapominam; będzie czas na wszystko.

—*Mosiur de Gumbi!*— zawołał.

—Co to jest, panuleńku? cudzoziemiec jakiś?

—*Mosiur de Gumbi!*—głośniej krzyknął stolnik, nie odpowiadając zdziwionemu gospodarzowi, a wojewoda się uśmiechnął.

Na to zawołanie wszedł do ogrodu i kroczył do altany stary pajuk stolnika.

—A toż pocziwy Jerzy!— rzekł wojski zdziwiony.

—A tak, mopanie, Jerzy Gumbia po naszymu, bo od wieków w mojej wiosce ojciec, dziad, pradziad i cała jego familia tak się nazywa; ale przez wzgląd na jego animusz zawsze hardy i figurę czupurną, a nawet wiedząc *ab inde ex antiquo*, że Gumbowie niegdyś z Palemonem

do Litwy przyplłynęli, nominowałem go był Rzymianinem Gumbiuszem; lecz teraz reformuję mój dwór po modnemu, *ad exemplum* mojego kochanego brata dobrodzieja pana wojewody — i tu ręką pokorny giest uczynił do kolan brata, który ponieważ przywiózł z sobą kamerdynera Francuza, to czémże gorszy mój Jerzy? Zatem fortragowałem go z Rzymianina także na Francuza i zwie się teraz *Mosieur de Gumbi!* Otoż, *Mosiur de Gumbi*, przynieś mi waszec moją księgę z karety.

Śmieli się wszyscy, a Jerzy tymczasem przyniósł wielki foliał, w czarną skórę oprawny.

—No, słuchaj, mopanie wojewodo!— i otworzywszy księgę, czytał:

Z a g a d k a.

«Ulepiono mnie z gliny, jak ojca Adama;
 Palono mię w piecu, jak troje pacholąt;
 Jeździłem na wozie jak Eliasz;

Zaprzędano mię jak Józefa;
 Z wnętrzości moich cały dom żywiłem;
 Po śmierci kości moich nie pogrze-
 biono.» *)

—Oho!— odezwał się wojski— to coś
 bardzo mądrego, panuleńku.

A stolnik podparł się w boki i patrzył
 w oczy wojewodzie.

Ten pokręcił głową i rzekł;

—Bravo, panie bracie! choć nie wier-
 szem, ale bodaj że ta lepsza od wszyst-
 kich twoich dawniejszych; erudycya bi-
 blijna bardzo dowcipnie użyta; to *garnek*.

—Zgadłeś, mopanie, zgadłeś; ależ bo
 to jak łopata do głowy; no, teraz posłu-
 chajcie wapanowie jeszcze rzeczy bardzo
 ciekawej.

—Ależ interes, kochany bracie, inte-
 res?...

—Co tam, interes nie uciecze; wapan

*) Z dawnego rękopismu.

gdybyś zaczął czytać swoje, toby końca nie było; a to nawet nie moje, ale że wielkie *mirabilia*, więc z podobnegoż raportularza pana Sulistrowskiego wpisałem we własny.

—Słuchamy, panuleńku, słuchamy— rzekł wojski.

Stolnik więc czytał:

Antiquitates et Raritates,

*zabrane w Oczakowie, w skarbcu Cesarza Tureckiego. *)*

1. Sznur perłowy od kapelusza Adamowego, który miał na głowie, gdy szedł po owoc do raju z drzewa zakazanego.

2. Kotarha, pod którą Ewa syna swego pierworodnego powiła.

Wojewoda i wojski śmiać się zaczęli; stolnik utrzymywał minę poważną.

*) Z rękopismu tamtoczesnego: *Rzadkie pamiątki.*

3. Szmata Korabia, żagle i kordel z kowalnicą, w którym Noe od potopu generalnego zachowany.

4. Koń, na stajni Cesarskiej w Oczakowie stojący, na którym Noe w tydzień po potopie Hajdamaków pędzał.

5. Płaszcz aksamitny Noego, nowy, którego zawsze w niedzielę na nabożeństwo używał.

6. Koło od taczek, któremi przy fabryce babilońskiej wożono cegły i wapno do wieży.

7. Peruka z włosów Matuzalowych, w siedmsetnym roku jego życia, z łysiny wypełzłych, osobliwszą francuzką fryzurą zrobiona.

8. Dudy cyprysowe, na których żydzi po wyjściu z Egiptu na puszcę, pod górą Synai, około złotego cielca skacząc, grali.

9. Krzesiwko stalowe, którym Jonasz prorok w brzuchu wielorybim, na ugo-

towanie i ogrzanie jedzenia, ogień sobie krzesał.

10. Trzy wiązki siana zostawione od Nabuchodonozora, których nie dojadł będąc wołem.... *et caetera similia*....

—Wyśmienicie! — zawołał wojewoda, śmiejąc się serdecznie razem z wojskim— pojechałbym o sto mil, aby choć jedną z tych osobliwości obaczyć, a bardziej jeszcze poznać wesołego człowieka, który to rejestrował, bo humor taki nie łatwo się dziś natrafi.

—A rychło i zupełnie zniknie nasz poczciwy humor szlachecki, mopanie— rzekł stolnik patetycznie i poważnie— rychło zniknie pod influencją téj obłudnej i szlifowanej grzeczności terazniejszej, która z modnym koperczakiem bierze za wyłoty naszą wesołość, i jako niedelikatną i barbarzyńską jakby, za drzwi wypycha.

—Ale bo kochany bracie, ta wesołość

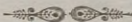
bywa u nas najczęściej z dzbanem w ręku i chwiejąca się na nogach.

—Panie wojewodo dobrodzieju— odezwał się wojski — pijemy teraz, bośmy weseli; ale kiedyby przyszło na to, że będziemy pić aby być wesołymi, ot wtenczas będzie źle.

—Mopanie wojski! — zawołał z uczuciem stolnik — nas już wtenczas nie będzie na świecie! *Dulce mihi tecum vivere, tecum mori!* *)— i uścisnęli się starzy sąsiedzi i przyjaciele. Wojewoda stał zadumany.

—Proszę panuleńku, panów dobrodziejów do pokoju — rzekł nakoniec wojski — tam słuchać będę co mi w interesie rozkażecie.

*) Słodko mi żyć z tobą i z tobą umrzeć.



IV.

Wyszli z altany, a wojski otworzył drzwi z ogrodu do budynku, i obadwa goście stanęli przed niemi.

Wojewoda wskazał ręką dostolnika aby wszedł pierwszy.

—A mopanie, senatorska godność!... i także rękę wyciągnął, a mówił to seryo; bo tu pokorą osobistą uznawał i podnosił zaszczyt domu i rodziny swojej.

—Bracie kochany, tyś najstarszy między nami.... tyś głowa familii.... porzuć ceremonie!....

—To nie ceremonie mopanie; *quod ju-re juste!*

—Niechże nas gospodarz rozsądzi—
rzekł wojewoda.

Wojski, szukając trudnego między bra-
cią wyroku, nic nie mówiąc, otworzył
drugą połowę podwoi; więc wojewoda
uśmiechając się wziął brata pod rękę i
weszli razem obadwa.

Komnaty pana wojskiego stosownemi
właśnie były do jego stanu i położenia
w towarzystwie, a w swém wewnętr-
zném urządzeniu, nie występując daleko
ze staroświeckiej prostoty, rzuconym je-
dnak gdzieniegdzie wygodniejszym lub
ozdobniejszym sprzętem, zdawały się
zwiastować, że i do głowy gospodarza
wciskały się również nowsze a wybrane
bona ex malis pojęcia, i przyswajały się
do codziennéj praktyki, nie rugując wszak-
że starych, wrosłych w duszę jego i ser-
ce. Nie przewidywał on zapewne, że to
fałszywe przymierze sprawdzi nakoniec
bajkę Ezopa:

— *Si me et turbae meae par esse potueris —
cedam loco! *)*

Pokój do którego weszli, obszerny i światły, od podłogi do okien szerokimi, biało pokostowanemi filungami był obity, od nich aż do sufitu ściany pokryte obiciem w różne essay i floresy malowaném; a na głównej między oknami zawieszono wielkie zwierciadło, w szklanych kryształowych naśladowujących weneckie ramach, w fabryce Urzeckiej Radziwiłłowskiej odlane, która pięknych luster i pięknych kielichów dostarczała wtenczas na całą Litwę; pod niem, jakby na *memento* temu zbytowski, umieszczony krzyżyk z figurą Chrystusa i przy nim dzwoneczek loretański. Pod tém wszystkiem stół pięknym kobiercem o-

*) Jeżeli mnie i gromadzie méj zrównasz, ustąpię miejsca.

kryty. W kącie na półce zegar w złoci-
stój filgranowej oprawie, pod nim na
kruczku różaniec słoniowy; resztę nako-
niec kąta zajmowała trzcina, podobniu-
teńka do téj na której stolnik się opie-
rał; posadzka nawet dowodziła tego roz-
ważnego wyboru wojskiego w postępo-
wych modach; z gładkich tafel ułożona,
czystością utrzymania zdobiła pokój, lecz
nie lskniła się woskiem. — Wosk panuleń-
ku, powiadał on, pracowite pszczołki ro-
bią na ofiarę Bogu, na światło do ołta-
rzów Pańskich, a nie pod nogi ludzkie,
i na starość nie chcę tłuc nosa, jak mi
to często za młodu ślizgając się po poko-
jach książęcych zdarzało się w Nieświe-
żu. Na ścianach innych wisiały rozmaite
dawne i poczerńiałe obrazy święte, lecz
między temi, z dwóch przeciwległych
miejsc, dwaj hetmani w wydatniejszych
kolorach i większych rozmiarach patrzali
sobie w oczy — Jan Sobieski na jednej

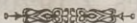
ścianie, Michał Radziwiłł na drugiej, u obu buławy w rękach.

Nieraz nagabano pana wojskiego, za co portreta dwóch ludzi tak różnej zasługi i chwały, w jednym pokoju umieścić? — Dla kompanii, panuleńku, dla kompanii! — odpowiadał natenczas zbywając pytanie trudne do usprawiedliwienia; w rzeczy zaś samój Sobieski był tam od antenatów, a Radziwiłła przywiózł wojski z Nieświeża, jako swego pana i dobroczyńcę.

Dalszych szczegółów w mieszkaniu pana wojskiego opisywać nie będę. Opisy takie, których już nadużyto, i które nieraz czytelników znudziły, wtenczas tylko właściwemi być mniemam, gdy się przykładają i uzupełniają obraz malujących się obyczajów, lub się wiążą z treścią powieści; tu z obu względów, com napisał wystarcza.

Wchodząc za gośćmi swymi pan wojski skinął na służącego, i szepnął mu słów kilka na ucho, a potem uprzejmie ich jakby nowo przybyłych w pokoju powitał.

—Siadajmyż — rzekł wojewoda — i produkuj panie stolniku naszą prośbę do szanownego gospodarza.



V. —
 — Umyśliliśmy, mopanie wojski dobrodzieju, prosić wapana na arbitra do kompromissu, przez który mamy ukończyć długi nasz proces z Brzostowskiemi....

Wtém wszedł służący, i tacę z butelką skorupą piasku powleczoną i trzema lampeczkami na stole postawił.

—Oho! znam! znam te butelki z kaczkowatym korpusem i żórawią szyją— zawołał stolnik, przerywając mowę o interesie i uśmiechając się wesoło; bo lubił czasami pociągnąć, zwłaszcza dobrego trunku — Mopanie, kapitalne to wino! warte senatorskiej gęby bracie, panie wojewodo. Żółta pieczętka, oho ho!

—Odkorkuj— rzekł wojski podając butelkę służącemu.

—Odkorkuj, mopanie, odkorkuj!

Non nisi pressa, dabit vitis generosa falernum.)*

Wytłómaczże to panie bracie!

—A na co mam darmo głowę sobie suszyć, gdyś pewnie sam wytłómaczył, i równie dowcipnie jak pierwsze. No powiédz.

—Dobrze,— rzekł stolnik coraz weselszy— tak naprzykład:

Smacznego winka od czasów Zygmunta

Nie pokosztujesz....

I wskazując wyraziście palcem na butelkę, właśnie w téj operacyi będącą:

nie dobywszy szpunta.

Znowu się śmieli słuchacze.

—Nie bardzo wierny przekład z tek-

*) Nie inaczej jak zgnieciona, da szlachetne wino jagoda.

stem łacińskim, jak mi się zdaje— rzekł wojewoda.

—Tak, mopanie, jest to *licentia poetica*, ale widzicie *ad casum!*

—I jeżeli nie *falernum* — mówił wojski— to stary francuz, ręczę za to;— a nalawszy lampki, dodał z grzecznym ukłonem: —Zdrowie wojewody dobrodzieja!

—Łączę się mopanie z panem wojskim i submituję się bratu dobrodziejowi, wojewodzie braćławskiemu!

—Owszem, bracie kochany, wypijemy za zdrowie pana wojskiego, zacnego gospodarza.

—Nie, nie — zaprzeczył stolnik — to będzie potem, osobno na powinną gratulację, gdy się zgodzi być naszym sędzią; widzi brat, że i *inter pocula* *) nie zapomina o interesie, o którym opowiedz

*) Między szklankami.

wapan sam panu wojskiemu, ciągnąc to wyborne winko— *Deus me adjuvat!* *)— dodał smakując z widoczną rokoszą— *Deus me adjuvat!* ale to prawdziwie *laetificat cor!* **)

Usiedli zatém wszyscy trzej około stołu z lampkami przed sobą, a pan wojewoda mówił:

—Proces to dawny, panie wojski dobrodzieju, w którym jesteśmy stroną odwodową; trwa od nieszczęśliwej w kraju naszym wojny domowej, za Augusta II-go, rozpoczętej klęską Sapiehów i śmiercią jednego z nich pod Olkiennikami, a potem długim rozdwojeniem narodu i plądrowaniem Szweda, do dziś dnia zapomnieć się niedającym, zakończoną.

W owych to czasach, dziad nasz, Jakób Ludwik na Baksztach Chomiński, starosta hubski i chorąży oszmiański, sta-

*) Bóg mię wspomagaj.

**) Rozwesela serce.

nał jako chorąży na czele kilkuset szlachty swojego powiatu, łączącej się naprzeciw Sapiehów z Ogińskimi, a ponieważ Brzostowscy przeciwnie, z Sapiehami się połączyli, więc on pierwszym obozem z całą swą drużyną w dobrach Brzostowskich Michaliskach *) się położył i póty tam przebył, aż wszystko zjadł do szczętu. Gdy zaś ani na polach, ani w spichrzach, ani w chlewach nic nie stało, wyruszył natenczas na Żmudź, dla połączenia się ze starostą Kociełłem i innymi sprzymierzeńcami Ogińskich, z którymi potem wspólnie i czynnie w batalii Olkienickiej stawał. **)

—To mopanie był mąż dzielny, *tam in toga quam in sago*, a fortunat i dygnitarz!...

*) Michaliszki, w powiecie wileńskim, jeszcze do ostatnich czasów w imieniu Brzostowskich były.

**) Z pamiętników domowych rodziny Chomińskich; i w Niesieckim także.

—Wiem, panuleńku, wiem— odezwał się wojski— z akt powiatowych, które mi nieraz drabować przychodzi, że Ludwik Chomiński po uspokojeniu kraju był starostą sądowym oszmiańskim i potem pisarzem wielkim W. ks. Lit.

—Tak, to on, dziad nasz rodzeniuteńki, mopanie; pisał się on tylko na Baksztach, bo to była główna jego rezydencya; ale posiadał wiele dóbr innych i miał z czego rej wodzić.

—Po ukończeniu wojny— mówił dalej wojewoda— Brzostowscy o szkody swoje i straty w Michaliszkach przyszli ze skargą na Chomińskiego do sejmu; lecz nie było natenczas w porę stanom rozbierać i sądzić sporów prywatnych, gdy rzecz publiczna po tylu biędach troskliwości ich wymagała; odesłano więc Brzostowskich *ad forum competens* *). I tego to fo-

*) Do sądu właściwego.

rum competens szukając już od lat ośmdziesięciu i przeszedłszy nieraz grody, ziemstwa i trybunały, dotąd znaleźć nie mogliśmy. Na akta zaś inkwizycyjów i weryfikacyów całą szlachtę oszmiańską, jak na pospolite ruszenie do Michaliszek sprowadzamy, aby wyznawała, wiele dziadowie i ojcowie ich zjedli tam i wypili.

Brzostowscy naliczyli sobie kilkakroć, dodając do *summa summarum* coraz nowe cyfry, za ekspensa prawne; my kosztów wojny domowej płacić nie czujemy się w obowiązku, zwłaszcza, że odpowiadając im i workiem i korkiem, dobrześmy tę kampanię szlachty oszmiańskiej opłacili. Wreszcie, pierwsi motorowie téj sprawy dawno pomarli; zaszły nadto między nami i domem Brzostowskich niejaki konnexye po Szczytach— ztąd ostygła zawziętość, a ochota do pieni w ogólności w kraju naszym, chwała Bogu, powoli zmniejsza się. Za pośredni-

ctwem więc brata naszego, ks. biskupa, obraliśmy najlepsze i najwłaściwsze *forum*, sąd przyjacielski polubowny, którego wyrok raz na zawsze wszystko ukończy.

Idzie teraz o wybór osób, my z naszej strony podaliśmy pana wojskiego dobrodzieja, w nadziei, że nam téj obywatelskiej posługi nie odmówisz.

—A właśnie po wydaleniu się dziś brata na tutejszy parnas— rzekł stolnik, przybył posłaniec z Mosarza *) z listem, w którym pan Brzostowski zgadza się chętnie na naszego arbitra, to jest w pana, panie wojski dobrodzieju, a za swego obiera pana Jerzego Sorokę, podczaszego oszmiańskiego, i razem proponuje, aby obrani arbitrowie sami sobie superarbitra **) obrali. Uważam w tém delika-

*) Majątek Brzostowskich, i dziś w ich imieniu, w powiecie dziśnieńskim.

**) Prezydującego.

tność pana Brzostowskiego, i zdaje mi się, że wypada nam, mopanie, akceptować obie jego propozycje.

—Pana Sorokę? i owszem; znamy go dobrze— rzekł wojewoda.

—A ja szczególnie go weneruję i kocham za to, że kiedyś niemca ściał — dodał stolnik.

—Co to ma znaczyć, bracie kochany, niemca ściał? — zapytał zdziwiony wojewoda, rozumiejąc, że stolnikowi wino już w głowie zamieszało.

—Jakto, wapan tego nie wiesz, o czém cała Litwa wie i rozpowiada?

—Nie wiem, dalibóg nie wiem— odpowiedział wojewoda i patrzył na wojskiego, który uśmiechał się i węża pokręcał.

Było to na dworze S***, na którym Soroka młodość swą przepędził. Był tam jakiś Niemiec, Bóg go tam wie, rezydent,

konsyliarz, słowem do wszystkiego i do niczego, a nos w górę zadzierał jakby co dobrego, poniewierając dworskimi uczciwą szlachtą. Mienił się być jakimś kolligatem saskich Brüllów, być może że go dla tego książę na swym dworze cierpiał; zresztą księciu pochlebiał, a wszystkim dokuczał. Kilka razy zabierali się dworscy wyłatać mu skórę, ale mieli wzgląd na *decorum* dworu i tak dyssymulowali do czasu; lecz raz przebrał niemiec miarkę, bo publicznie na pokojach wdał się w żarty z panem Soroką, mówiąc mu: *Waspańska nazwała się sroka, no to jedno so wrona.*

Soroka nie odpowiadając odwrócił się do księcia, i rzekł: — Żart tego cudzoziemca, mopanie....

—Czyż i Soroka ma przysłowie mopanie? — przerwał uśmiechając się wojewoda.

—No, mniejsza o to mopanie: —ale So-

roka rzekł do księcia — żart tego cudzoziemca jakiegoś, jest obelgą mojego szlacheckiego imienia, nie podlejszego od wszelkich innych; i darujesz wasza książęca mość, że tego mu płazem nie puszcę, bo w rzeczy samój byłbym wroną. Szanuję prezencją w. ks. m., bobym mu wraz zamknął gębę po naszymu, a przez wzgląd na to, że on tu razem z nami je chleb i doznaje względów w. ks. m., musi mi dać honorową satysfakcyę, choć nie wiem kto on jest, i czy wart ręki i szabli szlacheckiej? Jeżeli zaś książę na to nie zezwolisz, to najpokorniej dziękuję za łaski w. ks. m. pańskie dla mnie, i za chleb na który pocziwie i wiernie zasłużyć starałem się, i opuszczę z żalem dwór w. ks. m.; ale temu chłystkowi dam sto bizunów, tak mi Jezu dopomóż!—
Wszyscy dworscy uścisnęli kolegę i wszyscy assystować mu postanowili.

Niemiec patrzył jak kozioł na wodę na

perorującego Sorokę; nie mógł wszystkiego zrozumieć, choć szwargotał niby po polsku; a gdy mu książę wytłómaczył o co idzie, uśmiechnął się i odpowiedział, że gotów jest służyć panu Soroce, ale że się bije na tę broń tylko którą przy boku nosi, to jest na szpady. Rozumiał on, że tém odstraszy Sorokę, bo już dawniej często rozprawiał o swych pojedynkach, o swém męztwie i swój zręczności.

Ale nie na swojego trafił mopanie. Soroka odpowiedział — że każdy na swoją broń bić się będzie, to jest, że on stanie z pałaszem i że pod tym warunkiem zgadza się na jego szpadę.

Książę tegoż dnia wieczorem wyjechał gdzieś w sąsiedztwo. Nie mógł on zaprzeczyć pojedynkowi, bo i szacował bardzo Sorokę, i po manifestacyi oczywistej swych dworskich, poznał, że wszyscy mu podziękują za służbę, jeżeli Niemca pro-

tegować będzie; kazał więc tylko doktorowi nadwornemu, aby był obecnym pojedynkowi, dla ratunku w potrzebie, i aby cudzoziemcowi służył *per modum* za sekundanta, jeżeliby on sobie innego nie znalazł.

Nazajutrz więc rano, na wyznaczony plac wyjechał Soroka, a z nim cały dwór księcia, i przybył niemiec z doktorem.

Znacie wapanowie pana Sorokę. Mąż co się nazywa! całą głową wyższym być może od pana wojskiego; dziś w poważnym wieku, nie jednegoby jeszcze fryca za płot przerzucił, a wtenczas gdy był młodym, toć był ozdobą dworu na którym przebywał. Niemiec zwątpił o sobie spostrzegłszy go i zbladł; ale sztuczka subtelna, nie stracił rozumu i w niebezpieczeństwie, tylko że chybił na planie przestraszenia adwersarza; a nakoniec tak on i mniemał, że nim Soroka się

złoży, i jak tylko podejmie rękę, on go pchnie swoim różnem i przeszyje na wskrós.

Rozmierzono zatém mety, do których każdemu rejterować się można było, a tymczasem niemiec dobył swojej szpady, dłuższej dobrze od krzywego pałasza Soroki. Opatrywał ją sam i pokazywał wszystkim ję koniec ostry jak igła; potem zrzucił z siebie frak, więc Soroka zrzucił pas i kóntusz—on odwiązał chustkę z szyi, toż samo uczynił Soroka; a nareszcie dobył krédkę z kieszeni, przystąpił do Soroki, i kłaniając się grzecznie, niżeli ten mógł pojąć co on myśli, na gredyturowym czarnym jego żupanie krédą na piersiach serce namalował, mówiąc: —*Pan Soroka, ja tu bęzie pchal jak z pistoleta.... i waspan trup!*

—To ty mnie doprawdy chesz zabić? rzekł Soroka.

—*A tak, tak, doprawdy zabil bęzie, od raza jak z pistoleta.*

Soroka obróciwszy się do kolegów rzekł: —Pamiętajcie panowie te jego słowa, abyście i tu przed ludźmi i tam przed Bogiem byli mi świadkami!... A tymczasem niemieze strzeż swojej gałki..... bo zleci!

—*So to galka?* — zapytał niemiec doktora.

—To głowa— odpowiedział ten— i pan Soroka ostrzega waszmości, abyś strzegł swojej od jego pałasza; a razem dodał, że ma zlecenia od księcia, i sam, jako chrześcijanin, prosi wszystkich obecnych aby tę sprawę pogodzić raczyli.

Niektórzy z dworskich protestowali, że szpada niemca dłuższa od pałasza Soroki; niektórzy uważając rezolucję jego i pewność z jaką cel nawet na piersiach Soroki wymalował, —a licho go wie?— mówili— niemiec a diabeł prawie wszyst-

ko jedno; pomiarkuj się panie Jerzy, może cię naszpikować.

Niemiec natenczas jakby od niechcienia rzekł: —*a mosze i pogoziłem się jest.*

Soroka poskoczył do koni, wyrwał od jednego masztalerza kańczuk, a wróciwszy trzęsąc nim pod nosem niemcowi, —Mopanie!— zawołał— Dobrze, zgoda! ale wprzód *centum bizunos accipies* na tym placu, a potém wyliżesz językiem tę białą plamę, coś ją na moim żupanie namażał, bo plama ta niezemszczona, została-by na moim honorze i świadczyłaby żem się uląkł. Czy zgoda?

Więc już nie było rady. Soroka porzucił bizun a dobył pałasza i stanął w kroku. Niemiec rozciągnął ręce jak krzyż na rozstajnych drogach, i szpada mopanie poszła *de loco* z pałaszem, to jest, które z nich godniejsze być przy boku u ludzi. Nie łatwo jednak szło Soroce; od-

bijał on wprawdzie i skręcał zawsze sztychy tego diabła, ale jego dosięgnąć nie mógł, bo on szpadę i rękę trzymając wyciągniętą, był zawsze na dwa łokcie od pałasza Soroki; a stukał nogą, a hukał, a skakał, i śmieliby się spektatorowie, gdyby nie widzieli oczywiście, że koniec jego szpady bardzo często koło malowanego celu uwija się. Nakoniec niemiec raptem krzyknął i przypadł na jedno kolano, zbliżył się więc tak, że szpada jego dotknęła piersi Soroki i byłaby go przeszła, ale tak silnie z góry po niej uderzył on, że aż ku ziemi spadła, a wtenczas w mgnieniu oka tak płytko i zręcznie pałasz po szyi niemca puścił, że temu zdało się pewnie, jakoby go ktoś biczem po szyi świstnął.... nie podjął się jednak na nogi i tak trwał przyklęknięty.... a wtém skoczy Soroka, pęc go w pysk! i głowa na ziemi. *Ocknął się Holofernes, aż bez głowy!*

Wojewoda polegał ze śmiechu, wojski także.

—Co to za śmiech, mopanie? nie było tam śmiechu! *Obstupuerunt omnes intentique ora tenebant.* *)

—Nie byłoby śmiechu, kochany bracie, gdyby to była prawda; czyliż sam pan Soroka to ci opowiadał?

—Nie, mopanie, *relata refero*; ależ przecie wszyscy toż samo i tak mówią.

—Nieraz— odezwał się wojski— i na długich *kondescencyach* **) kolegując z panem Soroką, opowiadaliśmy sobie wzajemnie rozmaite kazusa, jemu na dworze księcia jenerała, mnie na dworze księcia hetmana w Nieświeżu wydarzone; naturalnie nie zapomniało się i o tym pojedyńku z niemcem, zwłaszcza, że chcia-

*) Oslupieli wszyscy i z otwartymi ustami stali.

**) *Kondescencya*, w prawniczym języku dawnym znaczy sąd zjazdowy.

łem dowiedzieć się prawdy, nasłuchawszy się wprzód takich, jakie nam pan stolnik uczynił, relacyj. Mogę tedy zaręczyć, panuleńku, bo pan podczaszy jest człowiek uczciwy a werydyk z natury, że on niemca nie ściał; był wprawdzie pojedynek i *praeter propter* cyrkumstancye są takie lub podobne, ale Soroka ranił tylko szeroko po gębie Holca, tak się on nazywał, i chowając szablę, gdy ten zęby swe liczył po ziemi, rzekł: —«Za gębę, masz w gębę, i pamiętaj z twoim różnem na poczciwy pałasz nie porywaj się, szołdro ty jakiś!»

Dworscy cieszyli się z upokorzenia preżumpcyi cudzoziemca i z tryumfu kolegi, a Holc, przeleżawszy ruski miesiąc, ze skrzywionym pyskiem opuścił dwór księcia.

—Za cóżby, mopanie, pan Soroka po tej akcyi musiał się rejterować do Turec-

czynny i czekać tam żelaznego listu? a pono aż w Konstantynopolu się oparł, i to konno, mopanie, konno!

—Pomieszano jedno z drugim, panuleńku. Soroka w lat kilka później miał drugi pojedynek, na tymże samym dworze, o którym jeżeli kiedy zdarzy mu się wspomnieć, to zawsze z ciężkim żalem, a nawet ze łzami w oczach. Wyzwany przez Szwykowskiego, młodego człowieka rezydującego na dworze księcia, musiał strzelać się z nim tuż na miejscu, gdzie się pokłócili, to jest w stajni, przy koniach. Napróżno zaklinał go Soroka, aby się upamiętał, napróżno błagał o zwłokę, przekładał potrzebę świadków; Szwykowski stanął ode drzwi z pistoletem w ręku, i najobelżywiej go traktując, odgrażał się strzelić doń, jeżeliby odmawiał pojedyнку. Soroka dotąd zgadnąć nie może przyczyny takiej nienawiści, dość, że musiał wziąć pistolet w rękę.

Wtenczas Szwykowski kazał jednemu z kuczerów komenderować: raz, dwa, trzy! co gdy ten drząc ze strachu wymówił, strzelili razem i Szwykowski padł ugodzony w piersi, lubo podczaszy Bogiem się świadczy, że nie mierzył nawet. Takie już to były sądy Boskie! Otoż wtenczas Soroka musiał uciekać z kraju, bo familia Szwykowskich możną jest na Litwie. Książę, przekonany o niewinności jego, dla zapewnienia swobodnego szlaku dał mu pisma do Konstantynopola, i prawda, zajechał on aż na miejsce konno; ale to nie wielki dziw, bo tam inaczéj podróży nie odbywają. Potém, panowie Szwykowscy, ludzie zacni i sprawiedliwi, przekonawszy się, że kolligat ich zmusił niejako Sorokę aby go zabił, zaprzestali kroków prawnych, a książę wyrobił u króla i przysłał mu list żelazny, za którym wrócił on do kraju; lecz już porzucił dworszczyznę, która mu się

tak nie powiodła i osiadł we własnym domu. Odtąd służy braciom jako godny obywatel i sprawiedliwy a mądry urzędnik; więc winszuję tego wyboru panom Brzostowskim, i moim dobrodziejom życzę, panuleńku, abyście go śmiało za arbitra akceptowali.

—To i akceptujemy— rzekł wojewoda — ale też, wojski dobrodzieju, racz nam także nie odmawiać swój łaski i fadygi, a zasiąść w tym kompromisie ze strony naszej.

—A, panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju, taka usługa nie odmawia się nikomu, choćby obcemu nawet, a témbardziej łaskawym sąsiadom i przyjaciom. Bodajby mi tyle aniołów przy śmierci, ile razy sądem polubownym udało mi się położyć koniec długim processom, a nawet po dekrete, od którego nie było apellacyi, zawziętych nieprzyjaciół do zgody świętej nawrócić.

—To zasługa przed Panem Bogiem, mopanie: Błogosławieni pokój czyniący— rzekł Stolnik — wszyscy to znamy; bo chociaż prawdę mówiąc, prawujem się częstokroć byle prawować się. Ja sam mam z pięć aktoratów dla *rekracyi*, ale mamy i przysłowie, że *lepsza zgoda łyczana, jak proces rzemienny*; dla tego konsyderujemy zwłaszcza takich, którzy jak wapan pannie wojski są biczem na piniaczów, chociaż skrzynka wapana pisarska na tém cierpi.

—Więc kochany bracie— rzekł wojewoda— odpisz panu Brzostowskiemu, że się zgadzamy na wszystkie jego propozycye, i zastawujemy jemu samemu oznaczenie terminu.

—Ale panuleńku— odezwał się wojski— jest jednak trudne *impedimentum* dla nas obu z panem podczaszym, wybrania sobie superarbitra prezydującego; mate-

rya delikatna; weźcie to państwo *ad deliberandum*.

—Zapewne— rzekł wojewoda — lecz zdaniem mojem, nie wypada nam zaprzeczać temu, przez co Brzostowscy chcą widocznie dać poznać swoje umiarkowanie i swoje zaufanie w arbitrach. Ułoży się to jakoś panie wojski dobrodzieju, a tymczasem dziękujemy ci serdecznie i....

—Wypijemy twoje zdrowie, mopanie! —kończył stolnik— jako naszego już sędziego, niosąc ci razem gratulację, żeś na ten sejmik nasz dał *afirmative*. Prócz tego mam niektóre *dubia* względem tego wina — mówił dalej podejmując próżną butelkę — a jednak jest to *res magnae importantiae* co do wieku, a zatém waloru i cnoty jego. Bo jeżeli pieczętowane Kościeszą, to jest herbem twoim, mopanie, to sam i wiesz metrykę jego; ale jeżeli go nabyłeś z cudzym sygnetem, to znowu co innego.

—Nie pamiętam dobrze, panuleńku—
odpowiedział wojski, śmiejąc się razem ze
swemi gośćmi— nie pamiętam dobrze,
ale przyznaję, że tę ważną kwestyę doj-
rzale rozważyć należy.— I rozkazał przy-
nieść drugą butelkę.

—A może to mopanie potrzeba będzie
dołączyć do rejestru tych *raritates* i *anti-
quitates* Oczakowskich; może to wino któ-
rém się Lot upił, gdy go te błaźnice, je-
go córki, potraktowały!

—Do czegokolwiek doprowadzi nas ten
mądry twój egzamin, proszę cię jednak
bracie, aby się na téj drugiej butelce skoń-
czyło— rzekł wojewoda; i gdybyś podług
swego gościnnego we własnym domu
zwyczaju, i tu nie wyjechał z ulubioną
swą sentencyą: *Omne trinum perfectum*.

Uśmiechnął się stolnik i pomyśliwszy
chwilkę, rzekł: — No, daję słowo mopa-
nie, że jój dziś nie użyję.

—Chwała Bogu! przynajmniej nawpół tylko pijani wyjedziemy.

Przyniesiono butelkę. Pan stolnik zapomniał rozpatrywać herbu na korku. Ale gdy z nalaną lampką powstał wojewoda i rzekł:

—A więc zdrowie twoje, kochany nasz wojski dobrodzieju!

Stolnik własną do ust podnosząc, i wskazując na pełną także w ręku wojskiego, zawołał:

*Protinus ex illa, vita tua renata sit! *)*

—Bravo kochany bracie! bravo!—zawołał także i wojewoda— zgodne z sercem naszym tve życzenia.

Wojski dziękował czule; szczerść i serdeczność obudzona winem, a zwykle u nas w takim razie na jaw wypływająca, zwilżała już ich źrenice.

*) Bodajby z tej (szklanki) życie tve odnowiło się.

—*In prosperis et adversis* *) sługa wasz, panuleńku na zawsze!— mówił on ściskając ręce obu; lecz gdy ze stolnikiem złączył prawicę, ten wstrząsając ją mocno:

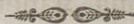
—*Quae male juncta perit, quae bene juncta ferit!* **) rzekł: a że nasze dłonie, mopanie wojski, *testis est Deus sunt bene juncta*, więc trwać będą *teterrimo cultu, in soecula soeculorum...* ***)

—Amen!— dodał wojewoda, przykładając swą rękę do dwóch złączonych;— i śmiało powiedzieć można, że trzy prawdziwie sobie życzliwe złączyły się dłonie.

*) W szczęściu czy przeciwnościach.

**) Złe złączone ginie, dobre złączone zwycięża.

***) W najszczęśliwszej czci na wieki wieków.



VI.

Szklanki za zdrowie wychylono duszkiem, i nalano drugie, które pozwoli wśród miłej konwersacyi ciągnąć się miały.

—Zkąd u licha, kochany bracie panie stolniku nauczyłeś się tylu i tak stosownych do każdego zdania sentencyj?— zapytał wojewoda.

—A już to pewno, nie na waszém *Abreże*, nad którym mię męczyć niegdyś chciano, a z którego mi nic chwała Bogu do głowy nie wlażło. Sentencye mopanie, każdy statysta, każdy orator, każdy moralista w głowie mieć powinien; bo

jedną dobrze użytą, dowodniej przekonasz, niżeli długą legendą słów próżnych. W każdej jest nauka, jest sens moralny, jest mądrość przez najtęższe głowy wyprobowana. To jak dryakiew, mopanie; kiedy ją zadasz uczciwie a regularnie, wraz się cyrkulacya myśli regularnie i w głowie się rozwidnia. A u wapanów teraz co? *vox, vox, preterea nihil*. Wapan sam, panie wojewodo, kiedyś króla jadącego do Kaniowa witał w Pińsku, napisał mowę po swojemu wyborną, ale że odemnie żadnej do niej nie pożyczyłeś sentencyi, lubom ich kilka natenczas po bratersku i *gratis* wapanu nastreczał i dawał, to i nikt tej pięknej oracyi nie pamięta. Król jegomość, wielki orator, w odpowiedzi wapanu, rzucił kilka słów i po łacinie, ale my poznaliśmy że to była jałmużna z ła-ski pańskiej, *moribus antiquis*, i nam kontuszowym ich zwolennikom rzucona.

Przerwał ten dyskurs pana stolnika ten-

tent konnego na dziedzińcu, wojski spojrzawszy przez okno: —to daleki posłaniec — rzekł; po czujce i kapiszonie poznając, że ze szlachty Wybranieckiej *Nieświężskiej*, bo ich zawsze kilkunastu miałem pod swoją komendą na zamku, na posyłki. *)

Jakoż wszedł posłaniec i oddając wojskiemu list:

—Od księcia pana— rzekł.

Odpieczętowane pismo było w tych słowach:

«Mnie Wielce Mości panie Wojski oszmiański, mnie wielce Mości panie i kochany bracie! Pełniąc ostatnią posługę zesztym z tego świata ś. p. Jaśnie ośw. Księżnie Jejmości hetmanowej wielkiej W. Ks. Lit., matce mojej, i Jaś. Ośw. Księciu Jegomości podkomorzemat,

*) Szlachta Wybraniecka, tak zwana, składała wielkie osady w dobrach ordynackich Radziwiłłowskich: z niej formowała się milicya nadworna ksiązęca, a potem pełniła służbę w zamku, na posyłki i t. p.

bratu mojemu, postanowiłem ciała onych z przyzwoitą okazałością złożyć w grobie przodków moich, przy kościele farnym tutajszym, a razem odnowić pamiątkę i żałobne nabożeństwo po ojcu moim, JO. Księciu hetmanie w. W. Ks. Litewskiego *) i wojewodzie Wileńskim — na którą smutną uroczystość, dnia 20-go następującego miesiąca czerwca zaczynającą się, gdy wszystkich domowi mojemu sprzyjających zapraszam, nie mogę pozostać bez zanieśienia usilnej prośby, w szczególności do Wpana, jako zdawna kumnie przychylnego, ażebyś ku ozdobie tego aktu i zaszczytowi spodziewanego zgromadzenia, na przewidziany termin, do Nieświęża zjechać raczył. Czekać będę z otwartym sercem, z gruntu o-

*) Michał Radziwiłł, hetman wielki W. Ks. Lit. i wojewoda wileński, umarł w r. 1763. Wspaniały obchód pogrzebowy odbył się tegoż roku 6-go maja, a przy złożeniu w grobach familijnych zwłok matki i brata, książę Karol odnowił nabożeństwo i po ojcu.

nego wyznający się etc. Z Nieświeża, 15-go maja 1787 roku.» *)

Przeczytawszy, wojski wzniosł oczy na portret i długo nie zwodząc zeń oka patrzył, otarł łzę, potem usiadł w milczeniu przy stole.

—Obchód to będzie wielki i wspaniały— rzekł wojewoda.— Jadąc tu, wstąpiłem do księcia Karola; widziałem listę zapraszać się mających gości; ledwo nie tyle będzie, co przed dwóma laty na przyjęcie króla; na téj liście jesteś i ty, bracie; mnie ustnie zaprosił książę i obowiązał nawet, abym odezwał się ze wspomnieniem cnót ojca jego, w imieniu trybunału Litewskiego, którego on był w swoim czasie ramieniem i tarczą. Od stanu rycerskiego przemówi pan Mikołaj Łopaciński, wojewoda mściśławski.

—O! wart szczerego wspomnienia ten

*) Z oryginału.

pocziwy i bogobojny a wspaniały pan—
mówił wojski — wart; nie wojował on
wprawdzie, choć hetman, bo nie było
z kim; święty pokój panował w naszym
kraju za jego hetmaństwa; ale pewny
jestem, że w potrzebie nie żałowałby
krwi swojej.

Posłaniec, na którego nie uważano,
stał jeszcze przy drzwiach.

—Idź waść, wypocznij— rzekł więc doń
wojski— jutro dam rezolucję.

—Powiadano mi— odezwał się ten—
wyprawiając z Nieświeża, że tu gdzieś
blizko mieszka i pan stolnik Chomiński,
do którego mam list także.

—A tom ci jest, mopanie; oddaj więc
list.

Szlachcic podał list, który w treści był
taki sam, jak i do wojskiego.

—Gotujże mowę, mopanie wojewodo
—rzekł stolnik— termin niedaleki, le-
dwo dwa tygodnie.

—Zacząłem już pisać — odpowiedział wojewoda.

—A ja wapanu mogę skutecznie dopomódz; mam w mojej księdze kilka gotowych takich a wyśmienitych oracyów; wybierz którąkolwiek, przerobisz tylko trochę *ad casum*.... ot, zaraz i przeczytać możemy. Gumbiuszu! przepraszam, *Monsieur de Gumbi!* przynieś mi z altany mój raptularz.

—Zabierz i moje razem książki i papiery — dodał wojewoda.

Już to po trzeciej lampeczce starego winka spełniali goście z gospodarzem; pot występował na czoło każdego, gdy *de Gumbi* przyniósł i na stole położył papiery wojewody i księgę stolnika.

—No, otoż masz, mopanie; wybieraj *ad libitum*.

—Cóż mi po tém, kochany bracie, powiedzą, żem *ex libro doctus*... i tam dalej.

—Oho, ho! po łacinie przecie; ale bądź wapan spokojny, o wapanu tego nie powiedzą, bo przecież *fama publica* głosi, żeś mądry i że nie potrzebujesz cudzej głowy; więc tém tęższy przyznają wapanu rozum, że obosieczny i po modnemu i po staroświecku; a książę *panie kochanku* pewnie bardziej rad będzie, że o jego ojcu takim samym sensem mówić będziesz, jakim on za życia przemawiał.

—Panuleńku! — odezwał się wojski— ile znamy księcia Karola, stolnik trafił na prawdę.

—A przecież—rzekł wojewoda—w obu do was listach, ani jednego łacińskiego słowa niéma.

—To ten kanalia Mikuc^{*)}, sekretarz księcia; niedawno wyszlachcił się, mo-

*) Mikuc, włościanin Radziwiłłowski, którego król w czasie swój bytności w Nieświeżu nobilitował— sekretarz księcia Karola.

panie, i już pańskim stylem pisze, a książę nie czytając podpisuje; dam ja jemu, jak przyjadę do Nieświeża...— Tymczasem przerzucił karty swęj księgi i rzekł: —Oto masz, mopanie, naprzykład: *oratio funeralis*— i czytał deklamując:

«Ma to nad inne wszelkie nieszczęścia *fati acerbitas* *), że się żadnemi ukoić nie da remedyami. Nie szczerze ten żałował, kto żałować przestał i łzy tylko na popis bystrym płynęły pędem, które na smutnych osychając jagodach, nie oparły się na sercu, aby jeno nowym odwilżały się żalem. Są *adversa*, które uleczyć się dadzą i z czasem niszczeją, albo *medicamentis* sekundowane być mogą; lecz *factorum cicatrix* nieuleczona, i komu raz *venenata* zaszkodzi *mortalitas*, by się na to wszystkie wydystylowały aforyzmy, skutecznego nie wymyślą *remedium!* i dla te-

*) Z dawnego rękopisu.

go wielką stratę rzadko równy żal opłakać potrafi, choćby się w obfitą łez przemieniał krynicę! choćby się każda źrenica we łzę, a każda łza w źrenicę przemieniła! «— No, tu dalibóg wszyscy płakać powinni.... a wapan śpisz, mopanie wojewodo! — zawołał stolnik i rozśmiał się.

—To nic bracie! to nic; skutek to gościnności kochanego wojskiego i twojej ochoty; wino mocne....

—Ale zdrowe, zaręczam panuleńku.

—Oto mopanie nowomodne głowy, od kilku kropel już śpią!.... Mopanie wojski! *omne*....

—Bracie, a słowo? — przerwał wojewoda.

—Prawda mopanie, prawda! nie powiem tego, nie powiem.... mopanie wojski: *Boh trojcu lubit!* A widzisz bracie; dotrzymuję słowa.

—Wybornie, nie przewidziałem tego—

odpowiedział śmiejąc się wojewoda. — Ale ja nie dotrzymam wam placu, bo gwałtem oczy się kleją, i nie będę mógł użyć pięknego wieczoru, powracając piechotą, jakem to sobie obiecywał.

Mamy karete mopanie, więc niema niebezpieczeństwa, bo któryż wojewoda piechotą chodził o pół mili? W żadnych kronikach takiej pokory czy postpozycyi senatorskiej godności nie znajdziesz. Że zaś widocznie nie aprendujesz mojej oracyi, przeczytajże nam własną; mówiłeś żeś ją zaczął już pisać; pewnie masz ją tu w swoich papierach, bo *omnia tecum portas*; *) będziemy komparować obie.

—Cóż mam czytać? początek tylko?— rzekł wojewoda, a jednak przerzucił papiery.

—*Exordium*, mopanie, *exordium* wiele

*) Wszystko masz z sobą.

znaczy; wprawdzie *finis coronat opus*; *) ale też *dimidium facti habet qui incipit*. **) A nakoniec mopanie, ja wapana mojem *exordium* uspiłem, więc mam prawo wzajemnej braterskiej żądać usługi. Pan wojski będzie czuwać za nas obu, i rozsądzi *merita* naszych oracyj; znowu go za arbitra obieram.

Wojewoda wynalazł swoje *exordium*, nie dla komparacyi wszakże, na którą go brat wyzywał, lecz z téjże samej żądy deklamacyi własnego pisma, (którą niech Bóg wszystkim autorom odpuścić raczy), z jaką i sławny monolog Teramena deklamował; biorąc się więc do czytania, —ja tak zaczynam— rzekł: »Gdy mi przychodzi w imieniu najwyższej w kraju tym magistratury, przemówić na tym smutnym obchodzie pamiątki zmarłego przed

*) Koniec wieńczy dzieło.

**) Połowę zrobił, kto zaczął.

dwudziestu kilku laty wielkiego w narodzie męża, znając nieudolność moję, pojmuję jednak razem, że jeżeli czułość żalu z doskonałego utraty poniesionój rozważenia wzrost biorąca, szérzyć się i jątrzyć w tych umysłach zwykła najboleśniej, które jak przytomnego dobra wielkość szacować najprzyzwoiciój, tak z pozbytego szkodę najśłuszniej zmiarkować mogą — to zaiste, wyćwiczona w rozeznaniu krzywd sprawiedliwość, w zejściu JO. księcia wojewody wileńskiego i hetmana wielkiego W. ks. L. nieodżałowanym i po dziś dzień najżywiój dotknięta być się nalazła żalem. Taż sama albowiem sprawiedliwość, która dostojności powagi i praw swoich, gruntownie utrzymaną całość, jego przeważnym staraniom znając się winną, która świątynię swoją z jego nieustannój troskliwości i z jego wyboru ludźmi zdolnymi osadzoną być widziała, wiekowi jego przeciąg najdłuż-

szy przysądżając, lata jego mnóstwem dzieł dla dobra pospolitego najzbawieniejszych liczyć miała nadzieję. Ale to wszystko z powszechną żalobą zawodny zniszczywszy wyrok, najsprawiedliwsze chęci najdotkliwszą zasmucił niewzględnością. Wszakże, próżna już dalsza skarga, daremne narzekanie! I twoje, JO. książę wojewodo, synu, wnuku i prawnuku wojewodów wileńskich, łzy rzewne a obfite, tak świeżym z przezacnego domu twego wydartym ofiarom, jako i pamiątce ojca twego poświęcające się, nieodwołalnej nie wrócą straty, i jeden nam tylko, ale publicznego oświadczenia godny, do leczenia smutku pozostał dług i sposób, wyznać, że sprawiedliwość nasza miała za co być mu wdzięczną, i że wdzięczność nasza ma w czém być jemu sprawiedliwą!

Pod ogólném sprawiedliwości imieniem, dwa jój rodzaje być rozumiem; szczegól-

na jedną, która w samym sercu ludzkim zamknięta, chęci wszystkie, a z nich postęпки wszystkie doskonale rozrządza; drugą, powszechną, która dla wszystkich otwartą będąc, a do rządu krajów i uszczęśliwienia ich należąc, pomocne sobie sprawy między najmilsze ojczyźnie policza zasługi. Nierozdzielnie te obie w zesłym księciu złączone były; na pierwszym ich strzeżeniu polegały cnoty; wielkiemu mężowi najprzyzwoitsze; na drugiej utrzymywaniu zasadzała się gorliwa kraju miłość, pierwszemu w kraju urzędnikowi najwłaściwsza.» *)

—Oto mój wstęp— rzekł wojewoda.

—A widzisz wapan, że ja nie śpię. Sądźże teraz, panie wojski, coś tu u pana wojewody *est, est, sed non vult exire.* **)

*) W rękopisie ówczesnym ten tylko wstęp znajduje się.

**) Jest, jest, ale wyjść nie chce.

—Owszem, panuleńku, panie stolniku dobrodzieju; widać wraz z początku, że orator ma zamiar dowieść, że zeszyły książę posiadał i domowe i publiczne cnoty, których zasadą była sprawiedliwość, i znaczo, że szczerze jest przekonany o tém co mówi, że nie myśli, aby się pochwalić tylko własną retoryką, pochwytaną zewsząd, ale chce przekonać *publicum* o prawdziwój zasłudze zmarłego. Taką mowa, panuleńku, może nie wzbudzi wielkiego płaczu, ale treść takiej mowy zostanie w pamięci ludzkiej, a razem cnoty zeszyłego i chwała mówcy.

—To taki twój wyrok, mopanie wojski? oracya moja poszła pod ławę! ale wybaczej, niema na to zgody— rzekł stolnik — bo pamięć ludzka tak jak rzeka, *sicut fluvium*, tam się tylko zatrzymuje, gdzie ją palami spoprzeczysz. Otoż łacińskie słowa jędrne, mopanie, są to pale, na których zaczepia się i zatrzymuje myśl

nasza, a bez których unosząc wszystko, co kto na nią rzuci, płynie i płynie *ad mare aeternitatis*. *)

—Prawdziwie, bracie kochany, coraz wymowniejszym jesteś; czy to nie wino pana wojskiego takie wyborne robi skutki?

—A naturalnie, mopanie, naturalnie! ot tak jakoś rażno i wesoło, że aż miło drugiemu... — Stolnik pokręcał węża— choć do tańca, mopanie! i wapan panie wojewodo, gdy tę jeszcze lampeczkę, która stoi przed wapanem nie zaczęta, spełnisz....

—Jakto nie zaczęta? — zawołał zdziwiony wojewoda i ujrzawszy w rzeczy samej pełną swą lampkę, którą wojski nieznacznie w czasie czytanego *exordium* dolał— to będzie nadto... — lecz mu nie dał dokończyć stolnik, wykrzykując:

*) Do morza wieczności.

—Ej! niech żyje nasza staroświecka
pocziwość i cnota! mopanie wojski, wy-
pijemy jak prawdziwi przyjaciele!

*Amicitia benigna,
Deorum digna! *)*

A kto nie wypije, ten....

—Nie kończ, panie bracie, nie kończ!
—przerwał wojewoda i wypił.

—Bravo!— zawołał stolnik— bravo!
Vivat wojewoda braćławski! *Vivat!*—
krzyczał zacierając z radością ręce— *vi-
vat tutamen et decus **)* domu naszego!
Obaczysz, mopanie, obaczysz, jak ci i
śpiączka ta przejdzie i wena zaraz po-
płynie, jak wnet mógłbyś *currente calamo*,
za jednym zamachem napisać naprzykład
panegiryk sprawiedliwości hetmana, a
waleczności.... sędziego trybunalskiego.

*) Przyjaźń miła,
Bogów godna.

***) Tarcza i ozdoba.

—Rozumiem— odpowiedział wojewoda uśmiechając się— ale przypomnij sobie, że ja mam mówić w imieniu trybunału, to jest w imieniu juryzdykcyi sądowniczój; a tém trudniój będzie zapewne mówić o męztwie, gdy żadnój zesły hetman nie miał zręczności dania swego męztwa próby. Ot, gdyby mi przyszło mówić o tym hetmanie— rzekł wskazując ręką na Sobieskiego— obaczyłbyś bracie, czy umiałbym godnie sławić bohatera!— Tu wstali wszyscy trzej i wpatrywali się w portret....

—A wiecież wapanowie, jakie jemu *Elogium* po zwycięztwie wiedeńskiem na kolosie tryumfalnym w Rzymie napisano?— zapytał stolnik.

—Pierwszy raz o tém słyszę— rzekł wojewoda, bo ubior cały hiszpański z li-tėj materyi, perlami bogato naszywanój, i kapelusz także hiszpański, sznurem wielkich pereł obramowany, a przy nim ko-

karda z brylantów, przysłane naówczas przez papieża Janowi III-mu, widziałem w skarbcu Nieświeżskim.

—I każdy z nas to widział panuleńku; ale o tym kolosie i o *Elogium* nie słyszałem, i nie wiem.

—A ja wiem, mopanie, i napis ten wam panom przeczytam.

—Więc masz go w księdze twojej? A to nieoszacowana ta twoja księga, kochany bracie, czegoż w niej niema?

—Jest, jest w niej wiele rzeczy, o których nie wiecie, a successorowie moi znajdą w niej kiedyś i naukę i zabawę, *utile dulci*, mopanie! Otoż słuchajcie. *Grandibus* i *Aureis litteris* tak było, czytał:

«Joanni tertio! Electione Polonico et Lithuanico: libertatione Austriaco, Pannonico, Profligatione Othomanico, Thracico, Scythico, Religione Christianissimo, Pietate Catolico: Zelo Apostolico. Inter Duces bellicosissimo, inter Reges sapientissimo, inter Impera-

tores Augustissimo— Cui gloria militaris regnum peperit, Clementia stabilicit, meritum perennavit. Qui raro pietatis et constantiae exemplo propria deserens, docuit quo pacto federis jura ineantur, custodiantur, compleantur. Othomanicam lunam fulgentissimo Crucis vexillo aeternam Ecclipsim minuitatem, adeo prospere feliciterque e Christianorum finibus eliminavit, ut unum idemque illi fuerit: venisse, vidisse, vicisseque. Inter in numeros igitur Christiani orbis plausus: inter vindicatae religionis et Imperii laetitiam: inter cruce lunae extrema deliquia, agnoscant praesentes, credant poster! Non tantum enascenti Evangelio quo promulgaretur; sed et adulto ne profligaretur, utrobique a Deo, missum fuisse hominem, cui nomen erat Joannes. *)

*) Janowi trzeciemu, wybraniem polskiemu i litewskiemu, a) oswobodzeniem austriackiemu, panoniickiemu

a) Układający ten napis, daje Sobieskiemu przydomki na wzór Rzymskich, Scypio Africanus i t. p.

—Czy uważacie wapanowie — mówił stolnik przeczytawszy— jak to na końcu mądrze i głęboko wzięto: że dwóch Janów Bóg zesłał na świat. Pierwszego aby

mu, zwycięstwem ottomańskiemu, trackiemu, scytyjskiemu, religią areychrześcijańskiemu, pobożnością katolickiemu, gorliwością apostołskiemu, między wodzami najwaleczniejszemu, między królami najmędrszemu, między monarchami najwyższemu, który chwałą wojenną królestwo odrodził, łaskawością i zasługą utwierdził, który rzadkim enoty i stałości przykładem własny kraj opuszczając, nauczył jak się przymierza wiązać, zachowują i spełniają.— Księżyc ottomański wiecznym zaćmieniem jaśniejącej krzyża chorągwi grożący, tak szczęśliwie z granic chrześcijańskich wygnał, że jedno i toż samo mu było przyjść, widzieć i zwyciężyć, wśród niezliczonych, więc świata chrześcijańskiego oklasków, wśród radości dzwignionej religii i cesarstwa wśród ostatecznego krwawego księżyca upadku. Niech znają współcześni, niech znają potomni! że nietylko dla rodzącej się Ewangelii ogłoszenie, lecz i dla obrony dojrzałej, w obu czasach (utrobique) posłany był od Boga człowiek, któremu było imię Jan.

Ewangelię ogłaszał, a drugiego by ją obronił. *Utrobique*, to znaczy z obu końców Ewangielii, i kiedy myślałem nad wytłómaczeniem tego po polsku, to te *utrobique* najtwardsze mi było.

—Piękna historyczna pamiątka, dobrze żeś ją wpisał— rzekł wojewoda.

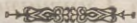
—Jest tu wiele takich mopanie— mówił on przewracając karty swój książki.

—Ot może chcecie to wam przeczytam o *cudach świętego Cypryana*. Albo bardzo ciekawą historię o pewnym żydzie, który żył za czasów pobożnego cesarza *Justyniana*, i odkrył wszelkie tajemnice ztwardziałej niewierności żydowskiej. Albo może co weselszego wierszem, na przykład: Respons damy piętnastu kawalerom....

—O panuleńku, to już pewnie fikcyja poetycka! — rzekł wojski. — Jak świat światem nigdy zdaje mi się piętnastu razem konkurentów do jednej nie bywało.

—No, to może opisanie pielgrzyma,
który przeszedł wszystek świat...

—A na miłość Boga! kochany bracie—
przerwał wojewoda — nim tę wędrówkę
odbędziemy, to dnia i nocy nie stanie;
przejdźmy wolój, za pozwoleniem pana
wojskiego dobrodzieja, na ganek, ochłodzi-
my się nieco, a potem go pożegnamy.



VII.

Ganek pana wojskiego wkłęsły wewnątrz domu, kratką zagrodzony, z wygodnemi ławkami do siedzenia, umyślnie zdawał się być urządzonym na to, aby gospodarz po pracy mógł wieczorem oglądać zeń całe swe mienie, i dziękczynnemi paciorkami dzień kończyć: taki właśnie był zwyczaj pana wojskiego.

Gdy usiedli na ławkach, milczenie trwało przez czas niejaki.... Wojewoda nieco winem rozmarzony, poglądając na piękny zachód słońca, którego ostatnie promienie padając na staw, szeroko ozłacały wodę, to na gaje za stawem rozlegające się,

w *poetyczném* czy w *polityczném* zdawał się być zadumaniu....

Stolnik wychodząc na ganek popuścił pasa, pokręcił węża i poważnie rozparłszy się:

—*Mosiur de Gumbi*, podaj mi fajkę!— zawołał. Miał ją zawsze na pogotowiu *de Gumbi*, podał więc nałożoną knastrem i na długim cybuchu osadzoną. Wziąwszy ją w usta, stolnik czekał patrząc na Gumbiusza; ten dobył z kalétki krzesiwko, hubkę na skałce położył, podniósł rękę.., i spójrzał na pana....

—*Czynk!*— zawołał stolnik— skry się sypnęły!...

—*Na zdrowie waszeci!*— rzekł Gumbi, kładąc zapaloną hubkę na knastrze.

Wnet gęste kłęby dymu rozwinęły się około oblicza stolnika. i coraz dalej falowały się w spokojném powietrzu... i myśl jego w rokoszném jakimś upojeniu na

falach dymu swobodnie i mile kołysać się zdawała....

Wojski milczał także, sam nie wiedząc dla czego; chciał on koniecznie, jako gospodarz, rozpocząć jakikolwiek dyskurs, ale nie mu się nie wiązało.

Nakoniec stolnik, oglądając się około siebie, jakby czego zapomniał:

—A lampeczki?— rzekł.— Ot milczym, jakbyśmy oniemieli, bo humor i elokwencya nasza przy nich w pokoju zostały się.... i wapan, panie wojewodo, coś często zadumanym bywasz, gdyś senatorskie zajął krzesło; przedtém tego nie bywało! nawet moja pani toż samo onegdaj postrzegła.

—*O tituli, scopuli, titulo meliori vocandi!* *)

—Oj tak, tak! *tytuły to szkopuły*....—
Tu podano lampeczki rozpoczęte.—Lecz

*) Tytuły, szkopuły, lepszym tylko tytułem nazwane.

by nam zdrowia nie psuły— mówił dalej stolnik — dokończmy na waletę, mopa nie wojewodo, bo *tempus tempi*, czas się skępi....

Wtém, krówki, wracające całém stadem z pola, weszły na dziedziniec i rycząc, biegly skwapliwie do stawu, by się napić i ochłodzić. Cichy dziedziniec pana wojskiego ożywił się niejako i w ruchliwy wiejski zmienił obrazek; daleki gwar wracającego z pola robotnika dochodząc aż tutaj, oznaczał porę dnia, w której jak pszczoły do ulów, lud pracowity z plonami lub nadzieją plonów wraca pod strzechy....

Wojewoda powstał, a przypatrując się jeszcze czas niejaki temu, co przed sobą widział, z widoczném wzruszeniem ujął rękę wojskiego i:—

—Zazdroszczę ci— rzekł— zazdroszczę ci tych wiejskich, pożytecznych razem i

miłych prac rolniczych.... Ja na to nie mam czasu!

«Szczęśliwy, kto na łonie domowej ustroni,
Przed krajowych się niezgód nawałnością chroni,
A lubój zażywając w zaciszu ochrony,
Własnymi woły orze ojezyste zagony!

—Mopanie!— zawołał stolnik— *pater-na rura bobus exercet suis*, to toż samo wapana wytłómaczyłeś.

—A tak, toż samo wytłómaczyłem, i widzisz bracie, że w każdym języku, i tak dobrze w naszym jak w łacińskim, można wyrazić to, co głęboko za serca chwyta.

—A w to mi graj, mopanie! z łacińskiego! i jak wybornie się udało! Ale ta zazdrość wapana nam gospodarzom dowodzi prawdy mojej sentencyi *o tituli, scopuli*. Wszakże, mopanie wojewodo:

Qui nihil videntur agere, majora agunt. *)

*) Którzy nie czynić nie zdają się, więcej czynią.

I wapan, *majora agis pro bono publico*, a wysokie wapana dostojęństwo, którém się wszyscy w familii cieszym, kompensuje kłopoty urzędu; gdy zaś senatorstwo bardzo wapanu dokuczy, przyjeżdżaj do nas! Nadzieja w Bogu, że przy tém *antidotum* wszelkich biéd ludzkich, którego naznaczonej dozy dokończ wapan z lampeczki, i przy nas, twych kordyalnych mopanie wojewodo przyjaciołach, nie umrzesz z nudy. Hej! Rozmachajło! za-jeżdżaj! bo widzicie wapanowie, ponieważ on tego biczem macha, więc się zowie Rozmachajło i zfrancuzić go żadnym sposobem nie mogę.

Stangret, jakby dla usprawiedliwienia swego przezwiska, palnął huczno i kilkakrotnie z bicza, a kareta stanęła przed gankiem.

—Panuleńku, panie wojewodo dobrodzieju — odezwał się wojski — konsylia pana stolnika są wyśmienite i zbawien-

ne, spełniać je należy; o altanie mojej, w której jako on mówi, raczysz *vacare Musis*, z chlubą sukcesorom moim rozpowiadać będę. Przybywaj więc do niej jak najczęściej; domek mój szlachecki i serce otwarte zawsze dla cię!... a tymczasem i dozę *antidotum* tego dokończyć należy panie wojewodo.

—Koniecznie, mopanie, koniecznie!

Res infinita, tanquam non incepta, *)
i musiałyby się chyba *a capite* zacząć.

—Niechże tego Bóg broni! — zawołał wojewoda.

—A tak, mopanie, tak!

Incidit in Scyllam, qui vult evitare Charibdim **); wybieraj, panie bracie!

—Więc na *valetę* kończę — rzekł wojewoda, wychylając do dna lampeczkę — i

*) Rzecz nieskończona, tak jak nie zaczęta.

***) Wpada w Scyllę, kto chce uniknąć Charybdy.

niechże twój *Mosiur de Gumbi* wspiera nasze kroki.

—Wara, Gumbiuszu! ani tu, ani w domu!... wara! moja pani pomyśliłaby, że kto wie co!...

—Mopanie wojski dobrodzieju, jutro piątek, szczupak na szaro czekać będzie wapana na obiadku; suplikuję, nie przyjmując żadnej exkuzy; a na potuszenie stanie mój węgrzyn, który jako pański stary francuz Kościeszę, tak on Poraja na łbie nosi. Będzie i ksiądz proboszcz, dla dopilnowania i postu i zdrowia naszego. *Zatém ad coram* mopanie!

Oba bracia uścisnąwszy się z gospodarzem, siedli do karety, do której *de Gumbi* wyniesione wprzód z pokoju książki i papiery wrzucił.

Pan wojski usiadł znowu na ganku....

Wieczór cichy, miły, spokojny objął dwór i całą okolicę.... Słowik ozwał się w ogrodzie, kończąc swe wiosenne piosenki; strumień wyrrywając się ze stawu, mruczał po kamieniach.... i na ganku to głośniejsze, to cichsze odzywało się mruczenie.... wśród którego dosłyszeć można było słowa: *Omni Die, Dic Mariae, mea laudes anima!*...



KONWERSACYA MŁODZIEŃCZA

PRZEDTRZYDZIESTOKILKOLETNIA.

EPILOG

LAT TRZYDZIEŚCI PÓŹNIEJ.

FOR WERZACIA HODZIRNCA

THE FIRST BRISTON (LONDON)

1810

THE FIRST BRISTON (LONDON)

CIENIOM I PAMIĘCI

JULJANA KORSAKA

poświęca

autor.

„Lat trzydzieści kilka jednostajnego i zawsze stałego stosunku, to nie fraszka! Czém jest próba ognia dla złota, tém jest czas dla serca ludzkiego i jego uczuć. Nasz stosunek samotrzeci, związała przyjaźń młodzieńcza, podtrzymywało jedno dążenie, i jeden cel życia: naukowa praca i kształcenie się religijno-moralne — nakoniec utwierdziło powinowactwo familijne po naszych żonach. Sam przyznasz, że to jest jedno z arcy-rzadkich zdarzeń, które troje ludzi oplata tyłu rzeczywistemi węzłami. Szczyć ci Boże w twój pracy! a usiadłszy w cieniu chłodzących i szu-

miących lip twojej altany, marząc w **remi-
scencyach** młodości naszej o projektowanej
konwersacyi, wspomnij przyjaznego ci Julja-
na serdecznie i szczerze, jak ja cię zawsze wspo-
minam i kocham.”

(Wypis z ostatniego listu Juliana Korsaka
do Ignacego Chodźki.)

KONWERSACYA MŁODZIENCZA

PRZEDTRZYDZIESTOKILKOLETNIA.

«Tuż za domkiem mały sadek,
 Krążony biegiem wód czystych;
 Mych dziecinnych pieszczoł świadek,
 Potem zapałów ognistych!...
 Powiernik myśli samotnych,
 Roskosz tkliwych, lez ronionych,
 Moich nadziei stokrotnych,
 Niestety! stokroć zmylonych!!!

W nim lipa stoletnim cieniem,
 Przed spiekłym słońca promieniem,
 Ukrywa zefirek chłodny:
 Między jój gęste konary,
 Wiję się motylek szary,
 Jak myśl — żywy i swobodny!...

J. Ch....

I.

Ludzie mają swe przeznaczenie, zda się że i miejsca niektóre na ziemi mają także swoje. *Ludzie* wybrani mają przerna-

czenie wielkie, szerokie, potężne: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają na wypadki także wielkie i długo pamiętne. *Ludzie* obdarzeni talentem przeznaczeni są, aby rozlewali pokój, miłość i naukę po świecie: *miejsca* niektóre przeznaczonemi być się zdają, aby uspakajały, rzewniły i miłością powszechną upajały serca ludzkie. *Ludzie* szukają miejsc stosownych do swych pojęć, uczuć i zamiarów: *miejsca* zdają się same nastęrczać i przywabiać ludzi. *Gieniusz* i *potęga* na szczytnych i dogodnych wielkim zamiarom, wznoszą grody, twierdze i wspaniałe Bogu świątynie, lub pamiętnemi czynami, *miejsca* z *czasem*, to jest z dziejami wiążą. *Talent* i *serce* obiera sobie ciche ustronia, pięknej natury wdzięczne przybytki, zdobi je i uwieńcza kwiatami, ocienia drzewami, upowabnia owocem, i wśród nich podobając sobie, z lutnią w ręku, śpiewa hymn Bogu, lub pieśń dla

ludzi.... która brzmiąc w późnych pokoleniach, imie mędrca lub poety, i *miejsce* mu ulubione, urokiem czci i wiekuistego wspomnienia okrywa. Któż z nas niechciałby uderzyć czołem w *Czarnolesiu?* lub podumać pod lipą, pod którą nieśmiertelny wieszcz nasz *«piérwszy Muzom polskim pozaplatal kosy.»* *)

W skromniejszym zakresie, ogród który z piérwszój *konwersacyi* poznaliśmy, zdaje się jednak mieć swe poetyczne przeznaczenie. Zbiegiem rozmaitych okoliczności, i powabem miejsca przyciągani tu od czasu do czasu, i w rozmaitych epokach literatury naszój uczeni goście, nieraz w lipowój altanie, to układali i przedłużali swoje prace, to próby talentów

*) Słowa Jana Kochanowskiego.

swych głośząc, zawieszali w niej niejako obrazy swego natchnienia, jak błędni niegdys minstrele swe pielgrzymie wota.

Tu, jak wiadomość domowa i z kolei pamięć zasięga, X. Ignacy Chodźko *Societatis Jesu*, przebywając w domu rodzinnego brata swego pana *wojskiego*, przetłumaczył na język polski wierszem miarowym bajki Fedra *), które później po skassowaniu zakonu z textem łacińskim i francuzkim wydrukował, i Kommissyi Edukacyjnej przypisał.

Tu, jak widzieliśmy, *Ksawery Chomiński* wojewoda mściłowski, *Delila* i *Rassy-na* tłumaczył; a to już był u nas zachód łaciny, a wschód francuzkiej gwiazdy. Gdy zaś ona w całej swiej świetności jaśniała, tu *Jan ze Świsłoczy* (Jan Chodźko)

*) Drukowano w Wilnie 1774 w drukarni Akademickiej, z pracowitym komentarzem łacińskim.

synowiec pana wojskiego, kształćąc swe na jój wzorach zdolności, pisał i deklamował swoją tragedję *Bolesław Krzywousty* *), którój z większém ukontentowaniem i znajomością treści, jako z dziejów ojczystych, słuchał ósmdziesięcioletni już natenczas *wojski*, i rodzina chlubiąca się familijnym talentem.

Tu natenczas igrało około niego siedmioletnie chłopie, syn jego i dziedzic jego zdolności, który potém w czasach już téj *konwersacyi*, jako głęboki orientalista, tłumacz pieśni nowo-greckich i perskich kassydów zasłynął **), a natenczas wpatrując się w twarz ojca poetycznym zapałem promieniejącą, dziecinném zdumieniem i pojętym wzrokiem, zwiasto-

*) Tragedya *Bolesław Krzywousty* nie drukowana, lecz po wszystkich teatrach narodowych nieraz reprezentowana; ostatni raz w Wilnie 1821 r.

***) Poezye Aleksandra Chodźki, drukowane w Petersburgu 1829.

wał literaturze naszej znakomitego wie-
szcza. Obok stał mu brat jego starszy,
który godło Wiary naszej *Krzyż święty* na
szczybie *Araratu* miał utkwąć!!!

Upłynęły potem lata, zmieniły się wy-
obrażenia: altana ze swém przeznacze-
niem nie zmieniła się wszakże.... Wnuk
nastąpił po dziadu, i pochopy do poezyi
jakby z altany natchnione, objęły go tak-
że; bo któż za młodu czując żywo, uno-
sząc się polotnie, kochając się płomien-
nie, tych pochopów nie uczuł? I znowu
altana zabrzmiała rymami, lecz nie sły-
szanej w niej dotąd treści. Tkliwe skar-
gi, pochwały wdzięków, zaklęcia i przy-
sięgi, w rozmaitych formach i tytułach,
tworzyły się w niej, a rozlewały się po
sztabuchach, lub się wkradały w piękne
rączki, rumieniących się na te czułe wy-
znania dziewic.... a że i sama altana mia-
ła w poezjach dziedzica swój udział, do
wodem godło nad tém pismem umieszczo-

ne, z tamtoczesnych jego poezyj przypominiane.

Był to czas u nas poezyi, że tak się wyrażę, *sztambuchowój*: zalotnej, miękkiej, dziecinniej, zakołychanej w błogie *far-niente*, wśród którego pieszczona, jednotonna, mniej więcej czuła i szczerą, mniej więcej żywa lub tęskna, odzywała się melodia. Żadnej nigdzie całości ani dążenia, żadnych uczuć prawdziwych serca, żadnego podniesienia ducha; a przytém wszystko cudze, wszystko jeszcze francuzkie, wszystko mniej więcej naśladowane, i wszyscy czytelnicy i poeci, pięknymi wierszykami, jak dzieci cackami się bawili. *)

Pojawiały się wprawdzie gdzieniegdzie pojedyncze talenta: *apparent rari nantes*

*) Nie mówimy tu o prozie, bo tej, prócz naukowej elementarnej u nas natenczas rzeczywiście nie było.

in gurgite vasto; bo kiedyż u nas nie było talentów? Lecz i te znacząc się tylko to wyborniejszą treścią, najczęściej z walk rycerskich wojennej natenczas Europy natchnioną, to milszém i dowcipniejszém jój oddaniem, błyskały jak świetniejsze gwiazdy, na tle zasypaném migocącemi się iskierkami.

Epoka Stanisławowska zasłynęła poetami oryginalnymi, którzy narodowe treści w klassyczne formy, francuzkim szychem ozłoczone, wciskali. Ta, której pobieżny rys kreślę, jakby jeszcze słabszego usposobienia i ducha, już się na oryginały zdobyć nie mogąc, tłumaczeniami się zajęła— wszakże, w niedostatku innych głównych zasług, tłumacze ci, wyborem celniejszych poematów starożytnych i nowój zwłaszcza francuzkiej literatury, oraz pracowitemi, gładkiemi i ile można sumiennemi przekładami, za-

służyli się prawdziwie literaturze naszej. *)

Lecz wzrastało i dojrzewało nowe pokolenie, szczególnie w Wilnie, którego duch młodzieńczy miał rozsadzić krępujące go dotąd formy; przebić i rozświetlić, jak iskrą elektryczną, tę mgłę nieruchomą a ciężącą dotąd nad każdym talentem, stare jej pierwiastki zubożnić, rozbudzić uczucia, rozszerzyć wyobrażenia, i nowym popędem ducha ożywić prawdziwą poezyę — *«Miěj serce i patrzaj w serce!»* zawołał jeden — *«Zewnątrz*

*) Mógłbym tu pod każdym ogólnikiem podłożyć imiona i określać czasy; ale ten rzut oka nie ma historycznego celu; służyć on tylko może do dziejów nowszej literatury naszej każdemu, ktoby je pisac miał, jak lekki ślad wśród gęstej puszczy, który rozpatrującemu ją wędrownikowi zbłądzić nie daje.

serca, niéma życia!» a zatem niéma i poezyi—zawołał inny.... Młodzież ówczesna czysta, niepokalana, pełna miłości dla nauki i dla wszystkiego co było piękne, serdeczne i własne, przyjęła z oklaskiem i miłością przykład, który natchnieniom ich, marzeniom ich nawet młodzieńczym, własne, rzewne, uczuciem i prawdą tchnące podawał nóty.

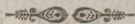
Wielu jednak, ba! i bardzo wielu, nie myśląc głębiej, i powierzchownie znowu do naśladowania nowój obczyzny, (bo już po Europie, tak nazwany romantyzm nad klassycyzmem brał górę) do imienia, do form nowych i do tytułów się przywiązując, we wskrzeszeniu średniowiecznej *minstrelów* i *trubadurów* poezyi, doskonałość widzieli, i nowe *Donkwiszoty*, staroego *Pegaza* na *Rossynanta* jakby przehandlowawszy, we własne go tylko i swoje, mniej więcej zręcznie podrobione, stroili rzedziki. Średniowieczny misty-

cyzm, świat duchów, ich widomy wpływ na sprawy ludzkie, wszedł natenczas w poezję powszechną; a u nas znalazł się pod ręką w podaniach ludowych, w mnóstwie zabytków i przesądów bałwochwalczej Litwy, w cudownych objawieniach, będących jakby własnością każdego prawie domu, każdej rodziny, zapas obfitych treści, z którego poczerpnięte sypnęły się na nas hurmem ballady, czary, upiory, i cała czereda piekielna ze swemi fantastycznemi marami.... Jakby przelękniony takim zjawiskiem, pierzchnął bez powrotu liczny zastęp bogów mitologicznych, niedozwalający dotąd, niby hufiec granicznej straży, przestąpienia kardynałnych okręgów wyobraźni, i układający maszyny do bohaterских poematów; a nowa nazwa poezyi *romantycznój* i poetów *romantyków*, weszła i u nas na świat literacki.

Ale wyższe talenta pojęły wnet siebie

samych, i nowy a rozległy horyzont, który się przed wzrokiem ich duszy rozwinął, i bez żadnych kolejnych przejść i postępów, jednym dzielnym rzutem genialnego polotu, od pierwszego poczucia do szczytu się wzniosły— a literatura nasza wzbogaciła się w arcy-dzieła poetyczne i w imiona nieśmiertelnych wieszczów!...

Stłumiona i zdziwiona rzesza naczelných wyznawców starych prawideł, mentorów literatury, z pod których władzy i przewodnictwa swobodna wybijała się młodzież, rozwinęła swój klassyczny sztandar, około którego, jak około chorągwi Mahometa, gromadzili się wierni.... i zaczęła się walka na śmierć i życie! Wśród takiej to wojny domowej, jedna z podjazdowych utarczek, odbyła się w altanie.



II.

Młodość, wiosna i miłość! trzy pokusy życia ludzkiego — trzy nadobne siostry, same uwieńczone kwiatami, i wieńczące młode czoło człowieka.... Gdziekolwiek one są razem, wnet tam jest czwartą *poezya*, i gdybyśmy trzy pierwsze w materialnych postaciach wyobrażali, *poezya* byłaby duchem płomiennym *Pigmaliona* ożywiający je. A czyli się ona natenczas na jaw, z przepełnionego serca wylewa, czy w duszy tylko gore i ją unosi, zachwyca, rozmarza — zawsze w tém połączeniu, ona z piękności natury tworzy rajskie ideały, i najulubieńsze chwile ży-

cia naszego urokiem natchnienia i najczulszych rokoszy napawa.

Te trzy czarodziejki z towarzyszką swą czwartą, panowały teraz nad domem, nad ogrodem i nad sercem pana *Ignacego* młodego dziedzica po panu *wojskim* wnuka jego: a altana w której przed laty widzieliśmy poważną starców *konwersacyę*, zaprzeczającą francuzkięj *klassycznęj* i *dramatycznęj* Muzie praw do greckiego *Ko-turna*, była ich teraz głównym przybytkiem. Konwersacya zatém, która, jak *kameleon* kolory, zmienia się z czasem i z wyobrażeniami ludzkiemi, i do nich się stosuje, i tu się zmieniła zupełnie: a w tęg jednej zmianie, ileż to zmian razem!!!

Dom pana stolnika w starożytnym swym kształcie stał nietknięty, jako i teraz trwa jeszcze; wnętrze nawet jego też same — wejdź weń, a znajdziesz się

w przedstowiecznej rezydencji naddziadów naszych. Obszerne sale i pokoje, wielkie kominy, zestarzałe na drewnianych ścianach i sufitach *freski*, przypominające jeszcze dzisiaj w godłach i sentencyach ulubioną pana stolnika łacinę. Nad jednymi naprzykład drzwiami, *pelikan* rozpościera skrzydła, i zasłania swą dziatwę przed orłem unoszącym się nad gniazdem, dzióbem zaś wydziera pierś swą na ich pokarm; napis u spodu: «*Suos amat atque tuetur*» *); piękne zapewna godło ojca rodziny. Na głównym kominie, wielkie namalowane ognisko i napis: «*Sine lignis, non fiat ignis*» **), i kilka tym podobnych. W sieniach powita cię *Mosiur de Gumbi*, którego wierny konterfekt, w naturalnej postaci, u drzwi głównych pan stolnik wymalować kazał. Są więc tam i dziś

*) Kocha swoich i opiekuje się niemi.

***) Bez drewek nie będzie ognia.

pamiętki, wśród których gdy się znajduję, zda mi się, że z-za którychkolwiek podwoi wysunie się poważny stolnik, i rad z gościa, zawoła wesoło: »*Hospes venit, mopanie, Christus venit*«— koniki do stajni.

Ale dom ten z czasem inna objęła rodzina, a w starożytne ściany jego, los pełną dłońią, jakby kwiaty wiosenne, rzucił wdzięki dziewic litewskich. Przebiegały one lekkimi stopy i uweselały te posępne sale i komnaty, budząc wyobrażenia tylekroć opiewanych niegdyś piękności po starych zamkach zamieszkałych. Tu więc były *młodość* i *wiosna*, a o pół mili w altanie *miłość* i *poezya*.

Głową téj rodziny był brat jój najstarszy, pan Krzysztof M. kapitan. Przybył on przed kilką laty do domu z wojen, które się upadkiem mocarza francuzkiego zakończyły. Po bitwie Lipskiej, ozdobiony krzyżem legii honorowój, walczył

potém na ziemi francuzkiéj; wrócił nakoniec z ostatkami ojczystych szeregów do kraju, a wywołała go z nich śmierć ojca i nowemi obowiązkami gospodarza, opiekuna młodszego rodzeństwa, i z kolei męża (bo się wkrótce ożenił) obarczyła.

Wnuk pana wojskiego był to młody człowiek, który skończywszy nauki w Uniwersytecie wileńskim, po świeżej stracie rodziców osiadł także w domu, wolny, swobodny, niezależny, i zaczął wieść gospodarkę z konieczności, z przymusu nawet, lecz wcale nie z upodobania, które go raczój do literatury, do poezyi, niżeli do pługa nakłaniało. A żywioł do poezyi miał tuż, w pięknych swych sąsiadkach— więc imionami ich zabrzmiała altana, a cyframi zdobiły się jój drzewa. Talent, czy tylko pretensyę do talentu,

wyniósł on z lekcyj literatury polskiej, wykładanych w Uniwersytecie przez *Euzebiusza Słowackiego* *), najściślej w ówczesnym klasycyzmem i francuzczyzną technicznych. Więc naśladowując wielkich ówczesnych mistrzów narodowych, lub bez ceremonii tłómacząc i przywłaszczając sobie francuzkich, gdy nawet do téj chwwały doścignął, że Dziennik wileński jego rymy drukował, przez czas niejaki za najgorszego gospodarza, ale za wielkiego poetę uchodził.

Częstokroć serce i uczucia młode, podały mu jakąś myśl żywszą, jakiś wyskok w bok lub w górę od przyjętych reguł, natenczas mimo instynktowe przekonanie, że tak nieźle byłoby, odrzucał to śmielsze uniesienie, pomysł lub wyraz tylko, jak herezyę, gładząc nawet pracowicie jój ślady.

*) Tłómacz *Henryady* i autor tragedyi *Mendog*.

Pisał więc pan Ignacy szumne *Ody*, mi-
 lutkie *Anakreontyki*, słodziutkie *Tryolety*
 i *czterowiersze*; niekiedy złośliwym *Epi-*
grammatem dopieknął rywalowi, a niekiedy
 zdobył się na wiersz *quasi modo* bohater-
 ski, równo od początku do końca trzy-
 nasto-miarowy, na chwałę kolegi *Poety*,
 który mu wzajemną odpłacił monetą.
 Ktoby dziś dojrzałym a bezstronnym są-
 dem roztrząsał te poezye, i wszelkie in-
 ne z tamtego czasu, bo wszystkie podo-
 bnego sobie są kroju, znalazłby w nich
 wielką umiejętność rymowania, polituro-
 waną gładkość wiersza, niekiedy dow-
 cip, w niektórych wyraz przypominają-
 cy Trembeckiego rzymską polszczyznę;
 lecz nigdzie poezyi ducha, nigdzie samo-
 istności....

Jeden tylko ówczesny poeta, kochanek
Emmy, jak niegdyś czuły kochanek *Ju-*
styny, jest tu wyjątkiem, i jak stoi w li-
 teraturze naszój osobny z tłumem Stani-

sławowskich rymopisów, tak i ten własny i nienaśladowniczy, lutnię swą podług serca strojąc, roni z niej tkliwe poezye, wchodzące w duszę i pamięć wszystkich. Nie szuka on chluby ze swego talentu, nie pragnie wieńców ani oklasków, ale z uczuciem głębokiego przywiązania do ojczystej ziemi, wszelkie swe nadzieje i żądze w rzewnej do Boga wznosi modlitwie.

«Tu ja (mówi on) w krótkiej modlitwie naprzykrzę się Bogu.

»Daj zdrowie, póki życie dajesz Władzco Nieba,
I kęs dziękowanego Tobie tylko chleba!
A gdy grób mój śmiertelne nacisną kamienie,
Niech jeszcze w ustach ziomek żyje moje pienic! »

Lecz nowe gwiazdy, jakem to powiedział, jawić się poczęły na firmamencie literackim i gasić dawniejszych lumina-
rzy. Pan Ignacy niewiele odbiegły wie-

kiem od akademickiej młodzieży, wśród której się te fenomena reformy objawiały, znał ich prawie wszystkich, a kochał i był kochany od tych szczególnie, z którymi go wzajemna poetyczna zbliżała sympatya. Pan *Edward* i pan *Juljan* najbliższym złączeni z sobą, chętnie i ochoczo zawiązali miłe wzajem z panem Ignacym stosunki; bo on w ich towarzystwie przedłużał swą młodość i wszystkie jej ułudy; oni w jego większym ze światem otarciu się, jako starszego, niewyczerpane mieli źródło dowcipnych postrzeżeń, podniecających młodzieńczą ich wesołość:— a wszyscy trzej w poetycznych projektach, poufnych powierzaniach się i zachętach, coraz to nowe roskosze serca, coraz to większe powody wzajemnej przyjaźni, znajdowali.

Byli to właśnie nowi renegaci *klassycyzmu*. Nowi, bo pan *Juljan* niedawniutki i wyborny tłumacz liryków *Horacyu-*

sza, uczynił teraz wyznanie nowój wiary szczytną swą poezją *Czas i Geniusz*, i brnął dalej i dalej nie rozstając się z *Göetem*, z *Szillerem*, z *Bayronem*, z których coraz to świeże, i jak na złość panu Ignacemu, coraz to piękniejsze tłómaczył ustępy; a pan Edward załamawszy pióro na połowie przekładu *Ifigienii* Rassyna, całemi dwóma tomikami ślicznych poezyj i ballad własnych oryginalnych i tłómaczonych, dał jawny dowód swój apostazyi, a co gorsza apostolstwa.

Oburzony i przerażony pan Ignacy tak nagłą reformą, taką konfederacją buntowniczą, wołał głosem wielkim na zaprzańców dawniej poetycznej wiary:

«Czyś ty z głązu wycięty, czy wytopion z miedzi?

Pisał on do Edwarda.

Czy zły duch, Panie odpuść, w sercu twojem siedzi? *)

*) Drukowano w Dzienniku Wileńskim.

Że cię ni żadne prośby, ni żadne przestrogi,
 Z tak zwanęj romantycznęj nie sprowadzą drogi.
 Ściśle z Appolinowym spokrewniony ludem,
 Jak mołna za koranem, rabin za talmudem
 Tak ty młodych dowcipów wspierany gromadą,
 Za twoją czarnoksiężką obstajesz balladą:
 Co w waszych rymach piękna, lecz w zmysłeniach gruba,
 W miejscu Feba, na scenę wiedzie Belzebuba.

.
 Nie na to cię niebieskie natchnęły dziewice,
 Bys je dręczył w balladach, jakby czarownice.
 Godniejszym twych talentów językiem przemawiaj,
 Porzuc straszyc, a raczej nauczaj, zabawiaj!
 Ozdób mowę w tłómaczów zwięzłych niebogata,
 Jakes zaczął, Rassyna polską odziej szatą:
 Lub w własnych dziejach czerpiąc pracy twęj osnowę,
 Dla Barbary, Ludgardy, utwórz siostry nowe:
 Znam cię— do wszelkich treści twe talenta nagniesz,
 I wszystkiego dokonasz, gdy szczerze zapragniesz” i t. d.

Ale gdzież tam! Edward po długiej
 zwłóce, ot co odpowiedział:

»Piętnasty już to *Dziennik* na pociecchę Litwy
 Błękitny lot rozwinął, jako mię do bitwy
 Wyzwałeś w nim Ignacy— a jeśli nie skoro
 Stałem ku odsieczy, wyznaję z pokorą,
 Żem zagnał napadniony, nie mógł się ośmielić,
 Wzajemnym argumentem napaści odstrzelić.

Lecz dziś kres twym tryumfom. Nie na trudność względny,
 A chwałę tylko ważąc, jako rycerz błędny,
 Pójdę kędy mnie słuszna będzie zemsta wiodła,
 Zadrżnij więc!— już mi muza hipogryfa siodła,
 Wskoczę nań — zamiast dzidy pióro w rękę chwyćę,
 I ot broń się, bo zginiesz — rzucam rękawicę!

.....

Wiem ja, co cię tak długo utrzymując w błędzie,
 Raz pierwszy na mylnego wystrychnęło sędzię;
 Mniej świadom pieśni Renu, a wcześniej zaznany
 Ze słodkością poetow Tybru i Sekwany,
 Gdzie rym wiecznie pod berłem zimnego rozsądku,
 Raz prawem wskazanego pilnuje porządku,
 Gdzie gieniusz jak starzec co w pustych szpalerach,
 Uroczytym się krokiem błąka w Tiuilierach,
 Ubitych strzegąc szlaków; dla śmiechu bojaźni
 Nie śmie szukać dróg nowych w kraju wyobraźni.
 Na tych młodzieńcze pióro zaprawiwszy wzorach,
 Po ich tylko na Parnas dostępując torach,
 Nie łatwo możesz wierzyć w piękność muzy, która
 Niecierpiąca przymusu, wolnych ludów córa,
 Często rada ku bocznym ozdobom krok niesie,
 By niemi bardziej strojna, stanęła przy kresie;
 Posłuszna tylko sercu, uczuciom i wierze,
 Przez nie wskazane kwiaty, do swych wieńców bierze;
 Nie dziw więc, żeś nie umknął zwyczajnego losu
 Uprzedzonych przed sądem, sądzących z odgłosu,

Gdy przeciwnym jęj tylko obmowom wierzący,
Sklonić ucha na chwilę nie chciałeś obrońcy... *) i t. d.

Z panem *Juljanem* szło jakoś łatwiej.
On w pięknym rymowanym liście, przy-
pominając gościnę swą u pana Ignace-
go, i zachęcając go do autorskiej pracy,
rzekł:

«Pomnisz, jakesmy nieraz łajali ci za to, **)
Że bezczynnie upływa piękne dni twych lato:
Kiedys ziarno talentu zasiał w wieku wiosnie,
Czemuż ich dojrzałości owoc nie dorosnie?
Masz-li więc jak ów skąpiec co z laty długimi
Uzbierany skarb kryje we wnętrzościach ziemi.
Nie korzystać sam z darów zesłanych od nieba?
Że odtąd będziesz pisał, przysiąż mi na *Feba!*
Mówisz: źle na wsi pisać— wszak śpiewak *blanduzy* ***)
Żył na wsi, przecież śpiewał za przyjaźnią muzy;
Pisz więc— jeszcze do sławy otwarte ci wrota;
Nie chcesz wierszem, idź prozą w ślady *Walterskota!*» i t. d.

No, pomyślił sobie pan Ignacy, to jesz-
cze nie stracona nadzieja, jeszcze on za-

*) Poezye E. O. drukowane w Wilnie 1824.

**) Poezye Juljana K. drukowane 1830 w Petersburgu.

***) O Fons blandusiae splendidior vitro!... *Horacyusz.*

klina się na *Feba*, jeszcze cytuje Horacyusza, jeszcze więc pamięta, jak będąc studentem i siedząc na ławie uniwersyteckiej, słuchał ze drzeniem, gdy profesor literatury polskiej, Leon Borowski (po Słowackim), czytając z katedry i krytykując jego przekład *Od* Horacyusza i ułamków z poetyki o harmonii naśladowniczej, wywieszczał w nim znakomitego poetę i tłumacza, pod warunkiem studyowania starożytnych mistrzów.

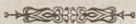
Nie uznał się więc zwyciężonym pan Ignacy, ale uczuł potrzebę osobistej rozprawy; i dla tego obu swoich młodych przyjaciół na Zielone świątki do siebie zaprosił, kończąc list swój wyznaniem X. Gaudentego z Monachomachii, zastosowaném *ad casum*:

«Naszym na chwałę, a wam na pokutę,
Plac tu w altanie— czekam na dysputę.»

W *postscriptum* zaś dodał: «Jeżelibyście stchórzyli lub zalenili, spójrzyjcie w ka-

lendarz, w ciągu tygodnia znajdziecie
imie, które wiejskim podwieczórkiem ob-
 chodzić będą— *sat sapienti!*»

Imie to było *Zofia*.



III.

«Jednak, cały szczęścia watek,
 Składa jakaś cudów chwilka:
 Jakiś obraz, uczuć kilka,
 Kilka z młodszych lat pamiętek.» *)

Kilka pamiętek!... prawda, nie masz zdaje się życia, któreby kilku przynajmniej takich nie miało pamiętek; a nawet wiele ich mieć nie można, boby serce niedotrzymało wrażeniom, i pękłoby przepelnione rokoszą — nie mieć zaś ich zupełnie, jest to żyć bez przeszłości.

Myśli moje i pisma nigdy, jak mnie-

*) Zaleski.

mam, nie wprowadziły czytelników mo-
 ich w świat fantastycznych urojeń, fał-
 szywych uczuć, marzeń niebezpiecznych,
 wiodących za sobą niesmak życia i jego
 zwyczajnych warunków, a żądzę i pra-
 gnienie niedoścignionego szczęścia, które
 zaklęte, w pałacach gdzieś hiszpańskich
 mieszka. Jeżeli rozbudzam często czul-
 sze wspomnienia, jeżeli wzywam czytel-
 nika aby poszukał w przeszłości swojej,
 tych *kilku z młodszych lat pamiątek*, to dla
 tego, że je mam we własnej, że ich nie
 wymyślam pracowicie, nie układam sztu-
 cznie a fałszywie; istnieją one ukryte
 w duszy każdego kto ich doznał, a wy-
 wołane pamięcią, przesuwiają się jak za
 mgłą lekką fantasmagoryczne urocze o-
 brazy, na które poglądając, widzi człek
 jakim był niegdyś, rozmyśla jakim jest,
 i wznosząc z rozrzewnieniem oko w nie-
 biosa, duma czém będzie !!!...

Powodując więc do takich zadumań

czytelników moich, mniemam że ich nie nudzę.

Święta nasze uroczyste, nietylko w domach Bożych zgromadzają nas i jednoczą, nietylko wspaniałością i powagą obrzędów, wzbudzają cześć dla Stwórcy i gorące tam doń modły, ale wszędzie, w pałacach panów, jak i pod strzechą wieśniaka, rozpowszechniają niejakiś rozweselenie, swobodę, i zostawują nigdy niespowszedniałe, choć corocznie powtarzane wspomnienia.

Jeszcze echa od *Alleluja* nie ustają, jeszcze

«Z gór obfite płyną wody,
Z oczu łzy dla dusz ochłody,
Kwitną serca i ogrody,

Alleluja!» *)

a już nowém weselem obdarza nas reli-

*) Autorka w *Imię-Boże*.

gia. Pamiątkę zstąpienia Ducha Bożego na świat, obchodzi Kościół nasz w porze, gdy cała natura duchem Bożym ożywiona, odradza się na wiosnę, i stroi się w niewymównie ozdoby. Zdaje się że duch Boży unoszący się nad ziemią, jak niegdyś nad wodami gdy ziemi nie było, zapładnia ją teraz na przyszłe plony ziemskie, na wszystkie dobrodziejstwa Boskie dla ludzi! Umajamy więc wejścia do domów naszych, na oznakę radośnych dni tych; woń balsamiczna młodych brzołek pozatykanych przed każdym chrześcijańskim progiem, ogarnia zmysły i rzeźwi je, a ruch powszechny zwiastuje święto witane i obchodzone całą duszą, całym sercem....

Zaproszeni, pan *Edward* i pan *Juljan*, przybyli do pana *Ignacego* w wigilię Zielonych świątek w nocy, i znużeni kilkunasto-milową podróżą, rozbudziwszy gospodarza, ledwo się z nim wzajem uści-

snęli, wnet zapragnęli łóżek. Nazajutrz słońce wysoko już w górę się wzbiło, gdy gospodarz niepewny czy goście do południa się ockną, postanowił ich przebudzić i nie dać im stracić pięknego poranku, i uroczystego w blizkim parafialnym kościele nabożeństwa. Wchodząc zatem do pokoju gdzie ich umieścił, — No śpiochy! — zawołał.

«Rannym ogniem wschód się pali,

Dalej z łoża! dalej — dalej!»

— Czy na polowanie masz nas prowadzić? — rzekł *Edward* przecierając oczy, — że budzisz moją myśliwską pieśnią?

Pan Ignacy deklamował nieodpowiadając:

«Wschód się pali, gore, płonie:

A czeka kawa na Helikonie!»

— Na *Helikonie*? — odezwał się poziewający *Juljan* — wiesz co? każ ją wolój tu przynieść, albo dać w twojej altanie; bo do Helikonu daleko, nim dojdziemy tam,

ostygnie; a ja lubię gorącą, *notabene* z kożuszkami i sucharkami, rozumiesz panie gospodarzu?

—Rozumiem, i wiem twoje gusta smakoszu; wszystko gotowe, wstawajcie: a na Helikon nie tak bardzo daleko, kilkanaście kroków za altaną—odpowiedział pan Ignacy.

—To co nowego, jakaś niespodzianka?

—A jużciż oczekując poetów, przygotowałem *Helikon*; nic naturalniejszego.

Pan Ignacy powiększył ogród dziadowski i poangielszczył go trochę, zajął wien część pięknego brzozowego gaju, który go od północy zasłaniał; powyprowadzał rozmaite ścieżki, na potoku porzucił mostki, pozasadzał klomby, i tym sposobem rozweselił jego staroświecką powagę.

W tej nowej części ogrodu, znalazły się cztery ogromne brzozy z jednego pnia rozrosłe: wśród nich zatém wysoko nad

ziemią, osnowano z brzozowych także ba-
lek bezpieczną galeryę, ogrodzoną i wy-
moszczoną, a przypartą do brzoż tak, że
się razem z niemi od wiatru kołysała, i
razem z niemi wzrosłą być się zdawała.
Wschodki podobnież brzozowe, ślimakiem
skręcone, bezpiecznie na nią wiodły, a
tam stolik i ławeczki dla kilku osób wy-
godnie służyły. Na frontowej zaś barye-
rze, z białych brzozowych prątków sple-
cionej, wielkie litery ze mchu zielonego
ułożone, wyrażały szyld poetycki: **Helikon**.

Apetytem i ciekawością pobudzeni *Ed-
ward* i *Juljan*, wrzucili na się szlafroki i
szli skwapliwie za gospodarzem.

Przeprowadziwszy ich przez altanę, pan
Ignacy wywiódł na punkt, z którego He-
likon się ukazał, i zielony napis wyraźnie
czytać się dawał.

—A-a-a!— okrzyk zadziwienia gości
—wybornie! wyborcie!— wołali oni:—
wyśmienity koncept, wyśmienity! jaka

piękna i niepospolita ogrodu twego ozdoba!— i w mgnieniu oka wszyscy trzej byli na helikonie.

Na stoliku tam przygotowano kawę, (bo natenczas herbatę chorzy tylko pijali), do niej faworytne pana Juljana sucharki, przemieszane sąsiedzkiemi smórgońskimi obwarzankami; płaskie garnuszeczki ze śmietanką smakowitemi zaciągnięte kożuszkami, i nakoniec kilka fajek, puszka wybornego tureczyna, i koszyk z krzesiwkami i hubkami.

—No Julianie,— rzekł Ignacy— nalewaj nam kawę podług swego gustu, to nam dogodzisz, a ja ci za to fajkę przygotowuję.

—Co za rokosz tu!— wykrzyknął Edward — jaki chłód miły! a też zielone warkocze brzozowe, które nam czoła pieszczą: to dalibóg wachlarze umyślnie tu nawisłe, aby komary opędzały. Ach! jak się kołyszymy w najczystszej eterze!..

Juljan uśmiechał się, a to był nieomylny i jedyny znak jego zupełnego zadowolenia; rzadko się uśmiech taki jawił na jego zadumaném zwykle obliczu; lecz gdy się okazał, ogarniał je całe, a łagodne i wyraziste oko jego, niezwykłym natenczas promieniło się blaskiem.

—A cóż to będzie, moi panowie? a cóż to będzie?— rzekł pan Ignacy— gdy na tym helikonie ujrzycie *Muzy*? piękne jak anioły dziewice! padniecie wtenczas na kolana wy romantycy, przed takim czarującym godłem klassycyzmu: widzialne śmiertelnemu oku *Muzy* na *Helikonie*! Po jutrze wam ten cud wywołam.

—A będą?— zapytał z niedowierzaniem Edward.

—Niezawodnie.

Wszyscy trzej zatém poili się kawą, dymem sułtańskiego tytoniu, którego kłęby z długich cybuchów i złotych burstynów ciągnione, pomiędzy gałęziami

drzew się rozwijały, i roskoszą wewnętrzną.... słodsza nad wszelkie nektary.

Po chwili milczenia Edward powstał, powiódł szeroko wzrokiem, i obracając się do Ignacego, słuchaj— rzekł:

«Choćbym się wdarł gdzie najwyższy
Szczyt Monblanu w chmurach tonię;
Nie czułbym się Nieba bliższy,
Jako na twym Helikonie!

—oo—

Nie szczędź pracy, mój Ignacy,
Wieszczę lutnię ujmij w dłonie,
A uwieńczą cię rodacy
Laurem, na twym Helikonie.

—oo—

Obym kiedy świat zwiedziwszy,
Spoczął tutaj w muz twych gronie!
Nigdzie nie byłbym szczęśliwszy,
Jako na twym Helikonie.» *)

—Helikon poświęcony!— zawołał Igna-

*) W roku 1824.

cy ściskając rękę Edwarda, i odtąd ma swoją wartość i pamiątkę.

Tak spędziwszy ranek, wszyscy trzej pojechali do kościoła.



IV.

Od samego wschodu słońca na dniu trzecim po Zielonych świątkach, wielki był ruch w domie, a szczególnie w ogrodzie pana Ignacego, w którym on miał wystąpić z podwieczórkiem dla swych pięknych sąsiadek, i na solenizację imienin jednej z nich. Gracowano ścieżki, okładano świeżym darnem kanapki, koszone murawy i trawniki; ogrodnik dobrawszy sobie kilku zręczniejszych chłopaków, plotł długie girlandy z kwiatów, które w nadobnych festonach, pod dyrekcją samego pana Ignacego, w altanie po lipach rozwieszał, zdobiąc, jakby na ucz-

tach rzymskich, sędziwych starców w młodzińcze wieńce.

Do strojącój się tak altany, weszli *Juljan z Edwardem*.

—Dzień dobry— rzekli, a oglądając się w około — ślicznie! — zawołali —występujesz kochany panie Ignacy, niéma co powiedzieć. A helikon?

—Helikon, moi panowie, symbolicznie ubrany: stoją tam wazony róż, ofiara moja damom, które tam wstąpić raczą, a które.... jakżeby to powiedzieć?...

—Rozumiem, — rzekł Edward — nie łąam sobie głowy; śmiało klassycznym konnałem powiedz im:

«Wdziękiem i świeżością razem

Te róże waszym obrazem!»

Rozśmieli się wszyscy.

—Ale jest tam jeszcze, — mówił pan Ignacy — tak sobie jakby od niechcienia, jakby z przypadku porzucony wazonik mirtu; bo wiercie mi, ile razy zdarzy-

ło mi się widzieć dziewczynę przy kwiatkach, a znalazł się *mirt* obok *róży*, to ona pieszcząc niby różę, ciągle ukradkiem na mirt rzuca oczkiem, wyraźnie czuje doń sympatyę, i tęskni do chwili, gdy zeń wianeczek na główkę jęj uplotą.... tęskni może do tego, kogoby rada mirtową gałązką obdarzyć — uszczęśliwić. Zrywa różę.... marzy.... czasami żrenica łezką zajdzie.... Uważajmyż i tu, jak *symbolum* to małżeństwa działać będzie? A kto wie Edwardzie? może Zosia uszczknie gałązkę i....

Edward się wzruszył. — A kto wie Ignacy, — odpowiedział wzajemnie — może Ludwika uszczknie gałązkę?...

— Daj Boże, — odezwał się Julian — aby obie uszczknęły dla was po gałązce, i abyście się oba pożenili; serdecznegobym uciał mazura na waszém weselu.

— A potem śpiewać będziesz — rzekł Edward — piosneczkę Brodzińskiego na-

pisana przezem dla jakiegoś starego kawalera:

«Chłopcy się żenią,

A ja nie;

Lata się mienia,

Nudno mnie!

Każdy ze swoją żoneczką,

Ja tylko z moją laseczką!»

—*Ja tylko z moją fajeczką,*— rzekł Julian— do której i teraz biore się, i do kawy ostygłej do licha! czemużes jej znowu nie kazał zanieść na helikon?

—Bo tam ciasno jak róże stanęły, a zwłaszcza na większy stolik, na którym tu przygotowałem wam pracę. Przyjęliście z ochotą ofiarowane wam *sztambuchy*, oto są; dziś je oddać potrzeba, więc do dzieła moi panowie!

—Aj aj aj, prawda, przyjeliśmy *sztambuchy*! wojska affektów zarekrutowanych.... bo taki tytuł przydałby się najwłaściwiej tym pięknie oprawnym ksią-

zeczkom, napełnionym najczęściej duse-
rami, jak ozłoczone puszcзки z cukierka-
mi — mówił Juljan — obaczmyż w jakim
tu towarzystwie będziemy? Już to panie
Ignacy jesteś tu dawno.

—A naturalnie, sąsiad tak blizki i
wierszokleta.

Edward wziął do ręki sztambuch Zofii.

—A!— zawołał— otoż i pan Ignacy.

«Zofio! może nie czujesz,
Jak ufność wzbudzasz i zdradzasz;
Imieniem mądrość zwiastujesz,
Okiem z rozumu sprowadzasz!»

—Brawo! jest koncept, jest! zawsze to
nie ckliwy madrygał.

—O! dawna znajomość, —zawołał Ju-
ljan.

«Szczęśliwy! powiem otwarcie,
Kto się na tej wpíše karcie;
Ale szczęśliwszy daleko,
Kto pod Kupida opieką,
Tą się nadzieją kołysze,
Że się w twém sercu zapisze!»

—Dalibóg! przynajmniej w dziesięciu

sztambuchach czytałem te wierszyki; tu podpisał się jakiś K... P...

—Dodaj środkowe litery,— dodał śmiejąc się Ignacy — niech cudzego nie kra-
dnie.

—No, a to już na seryo!— czytał da-
lój Julian.

«Jam jest twój sługa stateczny:

O bodajbym został wieczny!»

—Niejakiś *Tadeusz M...* A co wasan
na to panie Ignacy? toż oczywiście rywal.

—Wiém o tém, i znam go; ale mam
nadzieję w Bogu, że zaśpiewa on piosen-
kę swego patrona.

—A jakież litery dodać panie Ignacy
do tych *J. Ch...* za okradzenie Trembec-
kiego?

—Jakto? pokaż!— zawołał Edward, i
odebrał sztambuch z rąk Juliana.

«Podobniejszaś niebiankom, niż córkom Adama,

I póki między rodem ludzkim raczysz gościć,

Pół świata ezieć cię będzie — drugie pół zazdrościć?»

—Przebóg! panie Ignacy, — mówił Edward — czyż już ani w głowie, ani w sercu nie znalazłeś treści do wyrażenia swych uczuć dla téj którą kochasz, że aż cudzego, oklepanego użyłeś pochlebstwa?

—Ha! mój kochany, trudno bo coś równie pięknego wymyślić; a widzisz, zem cudzego nie przyswajał, bom podpisał «z *Zofjówki*», a potem własną cyfrę.

—Trudno coś równie pięknego wymyślić? poczekaj, rzekł Edward chwytając pióro, i zaczął pisać na téj samej karcie.

—Na miłość Boga! — krzyknął przełęczniony Ignacy — co tam piszesz? czy zwaryowałeś?

—A tak, — rzekł Edward — waryuję tę samą temę, ale na milszą nótę; i oto masz pod *Trembeckim* waryantę *Czczota*, którejby i Trembecki się nie powstydził.

»I póki między ludźmi świat cię więzić zdoła,
Nie doliczą się w niebie jednego anioła.«

—No, a co?

—Nie można tak naprędce osądzić co lepszego— odpowiedział Ignacy.

—Nie idzie o mądre estetyczne komparacye i sądy, nad dwóma wierszami,—mówił Edward;— ale chciałem ci tylko odpowiedzieć i przekonać, że nie trudno coś równie pięknego, a bodaj i piękniejszego napisać.

—Kto tam u licha gwizdże od rana po gaju i uszy nam świdruje przeraźliwym piskiem?— zapytał niecierpliwie pan Ignacy.

—A to ekonom poszedł w grzyby,— odpowiedział ogrodnik.

—Jako ekonom w grzyby? wszak dziś niéma święta.

—Nie, niéma święta, i on mówił, że miał dziś wiele koło pola roboty, ale jak pan zabrał robotnika to do ogrodu, to rozesłał po kwiaty, tak on sobie świszcze po gaju; a za to, on mówił, że pan bę-

dziesz świstać po pustych stodołach i odrynach.

—Głupi i on, i ty z nim razem.

—Da to prawda, ale niechaj sobie;— mruknął ogrodnik kiwnąwszy głową, i dalej girlandy rozwieszał.

—Ależ tu jak w sklepie Norymberskim,—mówił Juljan, nieuważając na tę małą gospodarską dygressyę;— pełno wszystkiego: i wierszów, i prozy, i kwiatów, i rysunków i wypisów moralnych.

—*Varietas delectat*, *)— rzekł Edward, —i to bodaj jest najlepszą zaletą takich książeczek, w których jednakże między dziecinnymi fraszkami często znaleźć zdarza się i coś ważniejszego, coś prawdziwie zajmującego; zwłaszcza gdy piękna

*) Rozmaitość bawi.

kwestarka niekoniecznie tylko słodyczami, jak łakome dziecko się opycha, ale i zdrowsze zapasy na dalszą drogę życia, zbiera.

—Wmówże to ośmnastoletniej a ładnej dziewczynie!— rzekł pan Ignacy.

—A przecież i te sztambuchy, jak uważam— odezwał się przerzucając kartki Juljan— bardziej w takie piękne pamiątki, niżeli w dusery bogate; więc to dobrze zaleca ich właścicielki. Ot, ktoś wpiisał śliczną sztrefkę Brodzińskiego:

K o b i ę t a.

«Trzy razy żyjąc na świecie,

Świat cały tulisz do łona.

Przy piersiach matki jak dziecię,

Szczęśliwa, nie wiesz o świecie!

Kochanka tuląc do łona,

Jak w świecie w nim zatopiona,

Zapomnisz wcale o świecie;

A tuląc własne twe dziecię,

Świat cały tulisz do łona!»

—A tu lepiej, bo autograf naszego mi-

łego poety; bajeczka wyborna, jakich on wiele napisał— czytał Edward

Pszezoły i Człowiek.

«Wychwalał siebie człowiek opatrując ule,
— Jak to ja z wami pszezołki obchodzę się czule!
— Prawda, rzekły, lecz dobroć z jakiego powodu?
Alboż dla nas to robisz? dla naszego miodu.»

— Sens moralny oczywisty, — mówił Edward; — bo naprzykład pszezołką niech będzie bogata panna na wydaniu, pszezołarzem aspirant do jej ręki, a miód posagiem:

«Jak to on do niej będzie zalecać się czule!
Jak błagać wzajemności — myśląc o szkatule.»

— Dopisz tę waryantę improwizowaną,
— rzekł śmiejąc się Ignacy.

— Oto coś prawdziwie pięknego, — o-
zwał się z kolei Juljan — nie komplement,
ręka kobieca, sztrofki francuzkie; posłu-
chajcie:

«Seigneur! on dit que lę poëte,
Comprend le doux chant des oiseaux;

Et tout le bruit de la tempête,
Et le murmure des ruisseaux.

—∞—

La poésie est pour l'enfance,
Une goutte d'eau dans la mer;
Mais dans l'âge de la souffrance,
C'est un ruisseau dans les deserts,...

—∞—

Elle charme la solitude,
Elle rend le nom immortel;
Et n'est peut-être qu'un prélude
De chants dont retentit le ciel!...»

—Pięknie! — wykrzyknął Edward—
dalibóg pięknie! kto podpisany?

—H. T.— odpowiedział Julian.

—Czy nie wiesz panie Ignacy, kto to?

—Wiem, ale ponieważ się nie podpisa-
ła, więc nie chce widać aby jój imie wie-
dziano; upewniam was tylko, że młoda
i piękna jak anioł! sercem i talentem, jak
widzicie, poeta; a skromna, bo nie dru-
kuje swych poezyj, piękniejszych od wie-
lu drukowanych.

—Więc to jój własne?

—Właśniuteńkie.

—Litwinka?

—Najprawdziwsza.

—Czytałeś więcej jój poezyj?

—Czytałem, i wszystkie piękne.

—Czy wszystkie francuzkie?

—Wszystkie dotąd, i naturalnie, to szkoda.

—Przeczytaj jeszcze raz Juljanie.

Juljan przedeklamował znowu.

—Powiedziałbym,— rzekł Edward,— że to najlepsze *Lamartina*.

—A dodam wam jeszcze,— rzekł pan Ignacy, że ani podejrzewać jój o naśladowanie nowszych poezyj francuzkich nie można, bo ich nie czyta. *Delile, Rassyn, Kornell*, to jój wzory wierszowania; a myśli i uczucia znajduje we własnej głowie, a najbardziej we własnym sercu... i wiész co Edwardzie? wyborna myśl mi przychodzi. Co masz głowę łamać i nastrojać

gwałtem twoją lutnię na niezwykle ci sentymentalne melodye, zwłaszcza, że to jest sztambuch Ludwika a nie Zosi, i Kupidu po twych strónach brząkać nie będzie,— wolój przetłómacz te piękne sztrofki, ot tak wraz jak stoisz, i wpisz je tu; będzie to prawdziwa literacka pamiątka, i podwójna ozdoba pamiętnika. No, co na to mówisz?

—Prawda, myśl wyborna! — dodał Juljan.

—Wyborna? to ją sam spełnij, — odpowiedział mu Edward,— ty sławny tłómaczu *Horacyusza* i *Bayrona*. Co za extrema w czasie i treści!

—Na ciebie los padł panie Edwardzie, — rzekł Ignacy, a sam biorąc pióro w rękę, dodał: — ja będę stenografem improwizacyi. Juljanie, czytaj po jednéj strofie.

—Juljan zaczął z zapałem:

»Seigneur! on dit que le poëte...

—Dość!— zawołał powstając Edward,
pamiętam wszystkie....

Tu oczy trzech młodzieńców nadzwyczajnym zajaśniały życiem... poezya ogarnęła ich... wszyscy trzej czuli ją w sobie... Edward miał być tłumaczem nie tylko francuzkich sztrofek, ale i stanu ich duszy.... on powstał, i z całą siłą natchnienia, mówił jakby wiersz własny:

«Panie! mówią, że wieszcz umie
Pojąć cały świat widomy,
Że przenika, że rozumie
Głosy ptasząt, niebios gromy!

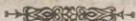
—oo—

W pełni życia, w dniach zapalu,
Pieśń, to puhar godowniczy!
Wzmaga rokosz, lecz w goryczy,
Ach! to strumień wśród upału!

—oo—

Duszę w niebo zwie za sobą,
Lub moc uczy czerpać z siebie;
I jest może tylko probą
Harmonii, co brzmi w niebie!

Pan Ignacy zapomniał stenografować, Juljan upuścił fajkę, obaj wzrok pałający utkwili na Edwarda; i oba rzucili mu się na szyję gdy skończył, klaszcząc w dłonie, śmiejąc się radośnie, i razem zwilżone ocierając źrenice.... Czytelnik przypomni sobie może, co to jest rzewna młodzieńcza wesołość!!!



V.

Przerwała to poetyczne uniesienie wchodząca do altany figura— staruszek łysy, czerstwy i szlachetnej twarzy, w chędogięj kapocie, a biały fartuch i nóż za nim, wydawał jego professyę.

Pocziwy to *Michał*, Kaleb dworu pana Ignacego— kucharz dziadowski. Traktował on niegdyś z panem wojskim trybunalskie publiki, a dziś wymyślniejszym gustom wnuka, często dogodzić nie mógł; ale i w takim razie młody pan ustępował z pobłażaniem, i ledwo nie z pokorą re-monstracyom i upominkom staruszka, nagradzającego ojcowską prawie życzliwo-

ścią i wiernością, zrządę i upartą przewagę sługi.

—Moszczi dobrodziejju,— rzekł on wyszczerbioną mową, a dworsko i politycznie prostując się— Obiad?

—Ach! tak Michale, obiad. Dobrze byłoby abyś dziś sam o tém pomyślił, widzisz żem bardzo zajęty,— odpowiedział pan Ignacy.

—Dziękujemy panie Michale, za smaczne sucharki do kawy,— odezwał się Juljan, chcąc udobruchać staruszka, bo oba z Edwardem znali go dobrze, jego cnoty i humory.

—Na zdrowie paniczom—odpowiedział kłaniając się z respektem.

—Otoż Michale,— mówił pan Ignacy,—obiadu dziś nie będzie....

—A to co znowu?—zawołał Juljan—chcesz nam dać «*Bajkę* na obiad, *Ode* na wieczerzę!» na to niéma zgody; wszak wiesz com gdzieś napisał:

«Że jako prawy uczeń Epikura trzody,
Lubię i kuchnię smaczną i miękkie swobody;
Lubię, bom w niczém nigdy nie był stoik ścisły,
I co duszę zachwyca, i co łechce zmysły. *)

—Mieć będziesz i jedno i drugie, ale na podwieczórek— rzekł gospodarz.

—Ale przegłodnieję, i nie będę miał apetytu; a co za tém idzie i dobrego humoru,— mówił Julian.— Pozwól tylko, ja sam pogadam z poczciwym Michałem. Ot tak bracie,— rzekł doń obracając się,—już to dzisiejszy podwieczórek narobi ci biedy; obiadek więc dasz nam krótki. Na pierwsze naprzykład: *chłodnik z rakami*.

—Raków nie łapano, moszczi dobrodzieju.

—A niechże Bóg broni panie Ignacy,— zawołał Julian,— jaki u ciebie nieład! raków nie łapano, a rzeczka pod nosem.

*) List drukowany do M. K.

Wołajcie mi tu zaraz tego świstuna ekonoma, ja mu pokażę gdzie raki zimują, a tém bardziej gdzie ich latem łapać.

Edward z Ignacym śmieli się serdecznie z gniewu Juliana.

—No, ja raki biorę na siebie— mówił on dalej,— choćby mi przyszło samemu brodzić po uszy: chłodniczek tedy będzie, tylko nie żałujcie śmietany i jaj świeżych, po *ekonomsku!* *Probatum*, że najsmaczniejszy chłodnik ekonomski, zwłaszcza gdy *Imość* dla *Jegomościa* przyprawia.

—Ale zdaje mi się,—mówił pan Ignacy,— że blat raków przydałby się i na podwieczórek, a nawet i stółby ozdobił.

—Co tobie w głowie? — opryskliwie odpowiedział Julian —co tobie w głowie? dziewczęta ani się dotkną raków. Chceszże aby piękne, różowe ich paluszki, łamały i kaleczyły się łamiąc twarde skorupy? Nie wdawaj się, proszę cię. Na

drugie, mój panie Michale, *kurczęta*; troje tylko, po jedném na osobę. Ale zrób tak: jak się tylko dobrze na rożnie podrumienia, zdjąć je, a tymczasem utrzyć na tarce chleba, zarobić go w masę z zimnym świeżym masłem, dla zapachu dodać trochę kopru; pokrajać piersi kurczętom, nakłść tam massy téj, i po wierzchu nią każde kureze nałożyć grubo; potem na patelnię, drugą przycisnąć, i na kwadrans do gorącego pieca. Dajże to potem prosto z pieca na stół, broń boże nie rozbierając, a ręczę wam, że i sułtan *Wampun* obżartej pamięci, nie nigdy tak smacznego nie jadł.

Na *trzecie*, coś lekkiego mój Michale; naprzykład *omlecik*, to jest jęczniczkę na świeżym słonince, zielonym szczypiorkiem, cebulki i pietruszki potrząśniętą. Bo to widzicie, jęcznica u nas prosta potrawa, a gdym raz w Warszawie u *Chovota* pod kolumnami, *dans le grand salon de gastro-*

nomie, bo taki szumny był jego szyld, kazał sobie z arkuszowej karty dać «*omelette aux fines herbes*» rozumiejąc że to coś osobliwszego, to mi podano naszą pocziwą litewską jęcznicę, taką zupełnie jaką informuję, z różnicą, że prawdziwie po francuzku, bo diabelnie mało na talerzu. No, więc obiadek będzie, mój kochany panie Michale,— kończył słodziutko Juljan, gładząc starego pod brodę.

Michał stał ze spuszczonei oczyma i milczał. Nie dobrze to wróżyło. Podjął nareszcie głowę i obracając się do swojego pana — Czy jegomość dobrodziej nie pofatygujesz się ze mną?— rzekł.

—Mój pocziwy Michale, wiem co mi będziesz gadał, — odpowiedział pan Ignacy, — wiem że mnie będziesz gdérał, żem gości pozapraszał, nieporadziwszy się z tobą o zapasach naszej spiżarni; ale to już nic nie pomoże, goście będą. A że tych paniczów, jako moich przyjaciół nie uwa-

żam za gości, więc wolój wszyscy razem radzić będziemy o podwieczórku dzisiaj. Widzisz, że pan Juljan zna się na kuchni, on nam bardzo pomoże: mów więc otwarcie czego nam brakuje?

—Wszystkiego moszci dobrodzieju.

—Jak to być może panie Michale?— rzekł Juljan, — przecież nas karmiłeś chwała Bogu dobrze, i jedliśmy wyśmienicie.

—I zjedliśmy wszystko, to rzecz naturalna— odezwał się Edward z uśmiechem, przerywając wpisywanie do sztambucha swego przekładu, które w czasie tych gastronomicznych konsyliów zaczął; — a ztąd łatwa — mówił dalej — dyspozycya podwieczórku: *Nic*. Pamiętaj wszakże panie Michale, że jedna z mających tu przybyć panienek, bodaj że będzie twoją panią.

Argument trafił widać do celu; bo sta-

ry jakby się ocknął, i bystro spójrzał w oczy panu, niby zapytując, czy prawda?

Pan Ignacy się uśmiechnął: — jakże mój Michale? odpowiedziałeś mi ni w pięć ni w dziewięć; wstyd mi za ciebie; przecież nie jesteśmy pustodomki. To chcesz, abym się wstydził, martwił i zachorował ze zmartwienia? — Te ostatnie słowa tak sentymentalnie wymówił pan Ignacy, że w mgnieniu oka z mrukliwego dziada zrobił się najpowolniejszy sługa.

—A niech Pan Bóg broni moszczi dobrodzieju, gdybyś pan zachorował! nie dbaj pan, znajdzie się wszystko co potrzeba. Mamy mięso, mamy i kurczęta, mamy cytryny, mamy oliwki, kapary i limonie, (były to najosobliwsze i jedyne w owym czasie zaprawy kuchenne), a z kanału, moszczi dobrodzieju, można wziąć czy szczupaka, czy karpia, a jest i kilka pęczków téj trawy, którą teraz podobno panowie lubią, ogrodnik mnie

dziś przyniósł piérwszy raz, ale ja jój gotować nie umiem.

—Jaka trawa?— zapytał Juljan.

—On to mówi o szparagach — rzekł Ignacy.

—A ja cię nauczę panie Michale, jak tę trawę gotować i dawać. Łaska Boga! jest jak widzę dostatek wszystkiego, więc będzie i obiadek i podwieczórek kochany Michale, — mówił Juljan, zacierając ręce.

—Będzie moszci dobrodzieju, będzie; tylko nie według dyspozycyi jegomości, bo kureząt.... nie można expensować, ale będzie chłodnik i zrazy.

—No, mój Juljanie, — rzekł Ignacy, — musisz dziś zmodyfikować twój apetyt, i część jego na podwieczórek zachować.

—Cóż robić? Bóg świadkiem, dobra ze mnie dusza, — odpowiedział wzdychając Juljan. — Cygan dla przyjaźni dał się

powiesić, więc ja dam się wygłodzić.
Mówmyż o podwieczórku panie Michale.

—A na wiele sztuk? moszczi dobrodzieju?

—Jakto na wiele sztuk? czy osoby na sztuki rachujesz?

—Nie moszczi dobrodzieju, wiele sztuk stołu zastawić półmiskami?

—A! dawny obyczaj, znać starego kuchmistrza. Nie, mój Michale,— mówił Juljan,— policzymy piérwój wiele będzie-my mieli półmisków, i co na nich damy? a potém łatwiej stoły zastawiać i rozsuwać.

Niechaj sobie i tak moszczi dobrodzieju. Na środku staną na wielkim blacie biszkekty...

—Ej, to znowu po dawnemu— przerwał Juljan.

—Jakto moszczi dobrodzieju, bal bez biszkoktów? Da fe!

—Ale bo to nie bal mój Michale, ale podwieczórek tylko, powinien być krótki a smaczny.

—To moszczi dobrodzieju, jak dawniej *per modum podkurek?*

—Co to jest *podkurek?*

—Ehe! — już i zapomnieli o podkurkach,— rzekł Michał trzęsąc głową — to moszczi dobrodzieju bywało u pana starosty Burzyńskiego, ot tu blisko w Wojstomiu, jak zbierze się kompania, a całą noc piją i tańczą, o pierwszych kurach przededniem, trzeba było zastawić stół, ale na cztery sztuki tylko; to znaczy jak jegomość dobrodziej powiadasz: *krótko a smaczno*. Mnie nieboszczyk pan mój oddał tam na naukę do kuchmistrza Niemca. Aj, pamiętam ja tego szołdrę! cały dzień napracowawszy się bywało, zalesiesz gdzieś w kącie na noc, a tu nie-

miec ciągnie za uszy i wrzeszczy — *«Michalka kanalja szpi! a podkurka?»* bo i Niemcowi nie było żartów z marszałkiem naszego dworu panem rotmistrzem Ławrynowiczem; raz go trzcina swoją marszałkowską wyłatał za to tylko, że jednostajnym sosem dwa półmiski podlał. Aj, był to moszczi dobrodzieju, całą gębą marszałek! *personat!* kiedy bywało w gredyturowym kontuszu, z pasem litym i z szablą, wyjdzie na ganek, a pokręci węża.... to cały dwór *czuj-duck!* To kiedy ustawi podkurek na stole w sali, krzyknie bywało: *wolać kogutów!* więc nas chłopców prą z kuchni do pałacu, i my jak wrzaśniem pod oknami: *kukuryku! kukuryku!* to cała kompania w pokojach, choćby w tańcu, zastanowi się, a pan marszałek nasz wchodzi pięknie, i stuknąwszy laską powiada: *»kur na podkurek pros!*», drzwi do sali otwierają się, a on idzie naprzód i prowadzi całą

processyę. Potém pan Ławrynowicz po śmierci pana starosty Burzyńskiego, przeszedł na marszałka do P. wojewody Żaby; a potém, co jemu stało się! Zajeżdża tu raz do nas na dziedziniec bernardyn kwe-
starz — patrzym — w imie Ojca i Syna! aż to nasz pan marszałek, pan rotmistrz Ławrynowicz. Jegomość nieboszczyk nie mógł się oddziwować; musi być taka była wola Pana Boga; zatrzymał go dni z pięć, i za każdy dzień dał mu po baranie. Bywał potém co rok u nas, i bywał....

Juljan widząc, że stary gaduła nie rychło skończy, przerwał jego legendę, i zwrócił się do głównego przedmiotu.

—Ale mój Michale, wiemy już o podkurkach, idzie o podwieczórek. Biskoktów nie trzeba; cztery półmiski mój bracie, to i dość. Ot tak: kurczęta, karp na zimno, szparagi, i coś lekkiego czwartego wymyślim.

Edward, który dotąd pisał w obu sztambuchach, — rzekł powstając i kładąc pióro — zapominacie o głównej rzeczy. A wino? przecież wypić trzeba będzie zdrowie, *primo*: solenizantki, *secundo*: wszystkich dam, *tertio*: pana kapitana, wojaka z nad Elby i Renu, i nakoniec *quarto*: kochajmy się! A do tego toastu trzeba będzie zmusić, aby piękne usteczka choć po kropelce zakosztowały; będzie to *philtrum* na ziszczenie się hasła toastu.

—O! po czterech toastach, i po takim hasle, dojdziemy może aż do tego, że z trzewiczków pić będziemy — rzekł Juljan.

—Ale zapytajmy wprzód Michała, czy będzie co?

Pan Ignacy spójrzył niespokojnie na starego, i nieśmiało go zapytał— Wieleż mamy wina?

—Butelka jedna cała, moszczi dobrodzieju, i w drugiej troszeczka....

—Lury ze *Smórgoń*,— rzekł Edward śmiejąc się.

—A wino stare dziada mojego, z żółtą pieczętką?

—Oho! kiedy już jego niema! Wszak pan wiész, że Francuzi wszystko wypili.— To mówiąc stary, mrugał na pana, aby zakłętego skarbu nie wydawał.

—Co bredzisz?— rzekł obruszony pan Ignacy— kiedy to już byli Francuzi, a ja niedawno jeszcze widziałem w sklepie kilkanaście butelek tego wina.

—Jak na lekarstwo, moszczi dobrodzieju, jak na lekarstwo.

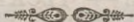
—No, to będziemy się leczyć,— rzekł Juljan,— a nie żałuj dając panie Michale, bo lekarstwo nie pójdzie na zdrowie. Wszystko się więc wyśmienicie układa! Idź teraz bracie i zawiń się koło kuchni. Do kurcząt i szparagów, ja sam przypa-

szę fartuch; a podziękujemy ci wszyscy.

Stary odszedł gładząc łysinę.

—Proszę cię Julianie, — rzekł Ignacy —
nie ustawaj w dobrej chęci, pilnuj starego
mruka; wszystko zdaję na ciebie.

—Bądź spokojny, — odpowiedział Ju-
ljan, — pójdzie wszystko jak z programy.



VI.

Po tém walném i z dobrą nadzieją odbytém *concilium*, zwrócono się znowu do przerwanéj pracy.

—Ja moje skończyłem, rzekł Edward.

—Ludwice wpisałem obok textu francuzkiego, improwizowany wolny przekład tych pięknych sztrofek. A Zosi powinszowanie imienin. Teraz na ciebie kolej Juljanie.

Juljan wziął pióro w rękę, podsunął sobie sztambuchy, i namysławając się—Cóżby tu wpisać?—mówił.

—No, dla Ludwiki,—rzekł potém,—która śpiéwa jak słowiczek, wpiszę mo-

ją *Barkarolle* *), piosenka, której nie zna-
cie jeszcze.— Wpisał więc i potem czytał:

«Po dolinie
Brenta płynie,
Po niej płynie cień gondoli;
Z szumem wiosła
Fala niosła
Tęskną nótę *Barkarolli*.

—oo—

Moja luba,
Dziewie chluba!
Gdzieś mię czeka na krużganku;
Łamie dłonie,
We łzach tonie,
Myśli, marzy o kochanku.

—oo—

Troska dzienna,
Noc bezsenna,
Z nas jak upiór krew wysysa;
Aż nim skroni
Nie osłoni
Grobowego cień cyprysa.

—oo—

*) *Barkarolla*— Pieśni w języku gwinnym weneckim.

Każdą nocą,
 Z chmur migocą,
 Wciąż na ziemię patrzą gwiazdy;
 Jak świat światem,
 Zimą, latem,
 Nieskończone kończą jazdy.

-∞-

Rosy leją,
 Lecz nie mdleją,
 Jak płaczący w smutku człowiek;
 Nie kochają,
 Lecz nie znają,
 Nie wypłaczą złotych powiek.

-∞-

Serce chore
 W nocną porę,
 Jak kwiat nocny się otwiera;
 Bo rozpacza
 Bez słuchacza,
 Miłość czuła, przyjaźni szczerą.

-∞-

Płyn, płyn łodzi,
 Księżyc wschodzi,
 Ot, i luba na krużganku!

Łamie dłonie,
 We łzach tonie,
 Myśli, marzy o kochanku.

-∞-

Blask księżycyca,
 Pięknej lica,
 Kołem światła opromienienia;
 Gdy ją zoczył,
 Na brzeg skoczył,
 I zmięszali łzy, westchnienia.

-∞-

Po dolinie,
 Brenta płynie,
 Po niej pływa cień gondoli,
 Lecz omdlała
 I skołała,
 'Tęskna nota Barkarolli.»

—Piękna jest, rzewna i śpiewna two-
 ja *Barkarolla*,— rzekł Ignacy— «*Po dolinie
 Brenta płynie*, ale wybaczej, ja wolę:

«Potok płynie doliną,
 Nad potokiem jawory» i t. d.

naszego poczciwego a tkliwego kochanka
 Justyny; to nasze! to prawdziwie nasze!

«Raz się chmurka zebrała,
Piorun skruszył dębinę:
Tyś mię drżąca ścisłała,
Mówiąc: z tobą nie zginę!

—Jaki miły obrazek!... lękliwe dziewczę tuli się do łona swego ulubionego.... drży.... ona z bojazni.... młodzieniec drży z roskoszy i szczęścia, czując jój serce tak blisko własnego bijące!... Mój Boże, mam tu potok, mam dolinę, stoi blisko dęb stary.... oby mi choć raz taka się chmurka zebrała!...

Uśmiechali się słuchacze, a pan Ignacy z zapalem powtarzał: —To nasze! to prawdziwie nasze! to matki nasze śpiewały....

—A żony i córki śpiewać nie będą — odpowiedział Juljan.

—Niestety! tak jest — rzekł wstrząsając głową Ignacy. — A czyjaż w tém wina?

—Czyjaż, jeżeli nie wasza?— odezwał

się seryo Edward— wy Koryfeusze i niepoprawieni naśladowniki francuzczyzny! wy kanarki na turlecikach paryzkich wyuczzone płochych nótek, w których ani uczucie prawdziwe, ani serce nigdy się nie odezwało!...

—A wy! wy nowe stado szpaków niemieckich!— zawołał również seryo Ignacy— *insperate* na nas naleciałe, i gwizdzące nam przeraźliwie nad uszami: «*Mein libster Augustyn!*»

Śmiech głośny Juljana, i potem wszystkich trzech razem, przerwał te wzajem rzucane sobie inwektywy. —Ale— deklamował dalej pan Ignacy — ale

«Jak Arabcy skwarem spiekłe,

— Miotają błuznierstwa wściekle,

Przeciw słońcu co je pali;

Próżne wycia, marne wrzaski!

Wrą pod ich nogami piaski,

Słońce posuwa się dalej! *)

*) *Koźmian*. Oda na zawarty pokój w Tylży.

—*Sta sol! ne movearis!*— wykrzyknął Edward wyciągając rękę;— a nawet to twoje wspaniałe porównanie, bardziej na naszą jest stronę; bo to wy *klassycy*, wy *Araby* *spiekle*, miotacie *bluźnierstwa wściekle*, na wschodzące jasne słońce naszego młodzieńczego ducha, i deklamował z zapalem:

«Niechaj kogo wiek zamroczy,
 Chyląc ku ziemi poradłone czoło,
 Takie widzi świata koło,
 Jakie tępemi zakreśla oczy.
 Młodości! ty nad poziomy
 Wylatuj, a okiem słońca,
 Ludzkości całe ogromy
 Przeniknij z końca do końca!....
 Tam sięgaj, gdzie myśl nie sięga,
 Tam, czego rozum nie złamie!
 Młodości! orla twych lotów potęga,
 Jako piorun twoje ramie!...
 Hej ramie do ramienia! zgodnemi łańcuchy
 Opaszmy ziemskie kolisko,
 Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,
 I w jedno ognisko duchy!
 Dalej z posad bryło świata,
 Nowemi cię pchniemy tory,

Aż spleśniałej zbywszy kory,
Edeńskie przypomnisz lata! *)

—Co to jest? — zapytał skwapliwie Ignacy — co to jest? to dalibóg pięknie!

—A co? — rzekł Edward — *Oda* na przeciw *Ody*, porównaj!.... Ale powiedz mi, z kąd ci te niemcy wleźli w głowę? z kąd myśl, że idziemy w ich tropy?

—A jakże inaczej sądzić? — odrzekł pan Ignacy — słysząc jak u was bezustannie *Birger*, *Gete*, *Szyller* z ust nie wychodzą. Ty sam czyż nie wytłómaczeniem *Ballady Myśliwca Birgiera* zacząłeś swą romantyczną karierę? i dowiodłeś, żeś *relapsem* od naszej świętej klassycznej wiary.

—Tłómaczenie, mój panie, nie jest naśladownictwem — mówił znowu Edward; — *piérwsze*, zawsze pięknie wzbogaca wszelką literaturę, gdy obce, nie fraszki ulotne, ale

*) Oda do Młodości.

arcydzieła, daje poznać swym ziomkom; *drugie* wszelką literaturę najczęściej kazi i szpeci, bo jest małpiarstwem szkodliwym nawet duchowi narodowemu, gdyż go wykrzywia, i dając cudze za własne, uwodzi nieoględnych, lub niedojrzałych czytelników. Tym właśnie sposobem zepsuła nas i zdemoralizowała literatura francuzka, filtrując się w naszą rodowitą, jak subtelna trucizna do codziennego zdrowego napoju.... i rzecz dziwna, ty, co się tak unosisz nad piosenką Karpińskiego, dla tego że jest naszą i prawdziwie naszą, trzymasz się jednak oburącz szkoły, w której wszystko nie nasze, wszystko, mówiąc twoim wyrazem, jest na cudzym tropie. Prawdzi się mój kochany na tobie przysłowie: *»Nalóg drugą naturą.«*

—A co? — rzekł Julian uśmiechając się,— przyparł cię Edward i wierszem i prozą, jak podwójnemi widłami do płotu.

Pan Ignacy pokręcił głową. — No, — rzekł potem, — ponieważ zapieracie się niemieckiego pochodzenia, choć mówiąc *intra parentesim*, mógłbym, sięgnąwszy wieków średnich, dowieść wam tego historycznie, ale toby nas daleko zaprowadziło; to przynajmniej względem Litwy, względem Wilna dam wam pytanie z Grammatyki na klasę pierwszą, stosując je do *romantyzmu*: «*Unde venis? quo tendis?* *) bo mnie się dotąd zdawało, że idziecie z Niemiec, a dążycie prosto do piekła, i to bardzo naturalnie. Bo na-przód w naszym popularnym wyobrażeniu, diabeł i niemiec w bardzo blizkiej konneksyi, a powtóre, w waszych balladach macie najwięcej do czynienia z marami piekielnemi, więc «*kto z kim przestaje, takim się sam staje.*»

—A widzisz,— rzekł Edward, obraca-

*) Zkąd przychodzisz? dokąd dążysz?

jąc się do Juljana, — przyparłem go jak widłami do płotu, a on *hec* konceptem za płot.... ale to nic nie pomoże mój panie, i tam cię dosięgnę. Abyś mi więc dowiódł, że w naszym litewskim romantyzmie ani krzty niema niemieckiego pierwiastku, i razem odpowiadając na pierwszą część twego grammatycznego zapytania *unde veniemus?* opowiem ci po krótku historią romantyzmu między nami, i historią pierwszej ballady w Litwie.

«Nie z niemczyzny, nie ze szkoły, nie z książek, nowa nasza powstała poezya: wypłynęła ona z tych samych źródeł, co i wszystko dobre pomiędzy nami, to jest między naszą obecną młodzieżą. Źródłami temi są: zamiłowanie rzeczy własnych, zastanowienie się nad samemi sobą, prawda uczuć i myśli, a nadewszystko miłość,

i z niej natchnienie. Ten sam, który dziś między nami jest jakby głową i sercem, bo nas wszystkich w jedném uczuciu prawdy zjednoczył, autor *Grażyny*, jest i pierwszym wskrzesicielem nowój idei w poezyi. Wszyscy przybywający na uniwersytet, którzy w szkołach już pisali wiersze, ani słyszeli nawet o poetach niemieckich, a szli na oślep za przykładem współczesnych starszych współbraci; to jest, tłómaczyli lub naśladowali z francuzkiego, a już najwięcej kiedy z łaciny. *Adam* w szkołach Nowogródzkich wierszował z polskiej prozy Kamińskiego, *Numę Pompiliusza*, *Floryana*; ja także i tymże samym sposobem, zrymowałem w Borunach całe dwie księgi *Gonzalwa z Korduby*, tegoż samego autora, i tegoż samego tłómacza. W Wilnie, dawny twój professor *Słowacki*, i nasz czcigodny pan *Leon* (Borowski) wiesz że tylko w klassycyzm wierzyli, choć już dziś

ten ostatni, sam obeznawszy się gruntuwniej z nowszą literaturą Europy, i pokonawszy w sobie dawne uprzedzenia, skarby jój przed nami otwiera; i tylko pod względem zdrowej logiki, smaku i poprawności stylu i języka, co naturalnie i w każdej poezyi głównie na celu mieć należy, surowo zasad klassycyzmu przestrzega. Ale przed kilką jeszcze laty, tolerancyi téj zgoła nie było. *Horacyusz*, *Boileau*, *Laharpe*, to byli jedyni prawodawcy w poezyi i krytyce, których jak sam professor, tak i uczniowie ze ślełą wiarą słuchali.

«Dopiero piérwszy pan *Tomasz* *) innemi naukami na *serio* zajęty, a miłujący tylko poezyę jako rozrywkę, który z niój ani o chwale dla siebie, ani o niój jako o sztuce nie myślił; uprawiał ją po swojemu i podług natchnień swojego serca, nie

*) *Tomasz Zan*, niedawno zmarły.

troszcząc się o przepisy książkowe, kochając wszystko i wszystkich. Każde miłe wrażenie które zewsząd wyciągać umiał, pragnął wnet z kolegami podzielić; za środek zaś ku temu obrał poezję. Opisywał zatem wierszem swoje własne uczucia i myśli, swoje rekracye i przechadzki, swoje wakacyjne zabawy, różne drobne rzeczewiste zdarzenia, i czytaniem ich przed przyjaciółmi, ożywiał ich wieczorne zebrania. W wierszach tych na pozór lekkich, tyle było powabu, tyle wdzięku i uczucia, tyle niekiedy rzetowności szczerój i tkliwój, że jedną z jego Elegij na odjazd panny *F*... pensyonerki z którą przez cały rok w domu wspólnych przyjaciół, zwykle dni niedzielne przepędzał, i szczegóły właśnie tych niewinnych zabaw opisał, Adam nosił zawsze aż do zupełnego zszarzenia się przy sobie i czytając powtarzał: «nie sądziłem, aby «w potocznych szczegółach rzeczywistości,

«mogło być tyle skarbów poezyi.» Myśl ta utkwiła w jego duszy, i pojęcie o *prawdzie w poezyi*, albo raczój o *poezyi w prawdzie*, z potocznego w duchowe życie przeniosła. Zasada więc ta wyrodziła się wprzód w myślach i sercach naszych, niżeli oznajmiać się i zgłębiać zaczęliśmy poezję niemiecką i angielską, w których właśnie tenże sam pierwiastek znajdował się; a wyrodziła się, jak widzisz, nie ze szkoły, nie z książek, nie z prostego naśladowania Niemców lub Anglików, ale z życia, z prawdy, z miłości, czyli jedném słowem z natchnienia, które przez jednego, za łaską Bożą, na nas wszystkich spłynęło.

Umilkł Edward. Ignacy słuchał go z uwagą, siedząc przy stoliku z głową opartą na dłoni. — Tak!... — rzekł potem przeciągle i z zastanowieniem — tak... a ballady?

— Ballada, mój kochany, — zaczął zno-

wu Edward, — jest tylko jedną z form, którą od obcych przyjęliśmy dla tego, że się być zdała stosowną do wydania w niej własnych naszych religijnych pojęć i podań ludowych, wspólnych o tyle wszystkim narodom chrześcijańskim, o ile jest wspólny niekiedy ton pieśni i baśni gminnych, z których właśnie powstały ballady. Zresztą, samą tę formę i nawet nazwanie ballady nie bezpośrednio naprzód wzięliśmy od Niemców. Chcesz? to ci powiem jak to się stało?

«Na tym samym kurytarzu w murach Śto-Jańskich, gdzie mieszkali pan *Adam*, pan *Tomasz* i najbliżsi wówczas ich przyjaciele, *Czczot*, *Jeżowski* i *Franciszek Malewski*, mieszkał też syn profesora literatury Rossyjskiej *Czerniawski*, chłopiec młody, żywy, wesoły i lubiony przez wszystkich. Ten więc razu jednego, gdy wszyscy byli razem zebrani, wpadł do nich z uniesieniem, i z nowo wyszłą na-

tenczas balladą Żukowskiego «*Ludmiła*» mistrzowskim tłómaczeniem, a raczój przetworzeniem ballady Birgiera «*Lenora*» napisanej, jak widać, przez niego z pieśni gminnej, wspólnej i naszemu ludowi, tak dalece, że też same głównejsze zwrotki znajdują się w niemieckiej i i w naszej. *) Okoliczność ta równie jak urok samej poezyi, uczyniły na wszystkich jak największe wrażenie, i pan Tomasz zaraz nazajutrz napisał swoją *Nerynę*, pierwszą balladę w języku polskim, za którą wkrótce nastąpiły jegoż *Cygan-ka*, *Pan Twardowski*, a dopiero po nich *Świtezianka*, *Lilie* i t. d. napisane pierwój,

*) Miesiąc świeci,
 Martwiec leci,
 Sukieneczka szach, szach,
 Panienczko, czy nie strach?

*Der mond der scheint so helle,
 Die Todten reiten so schnelle,
 Graut Liebchen auch dir nicht?*

niżeli niemieckie ballady w oryginale tu poznane zostały. Widzisz więc panie bracie *unde veniemus*; a co do samej ballady, widzisz że ona nie jest ani martwém naśladowaniem książkowej litery, ani prostém naśladowaniem cudzoziemców; że źródło nawet pierwszego do niej natchnienia naszego, na sławiańskiej wytrysnęło ziemi.» *)

Pan Ignacy, który i w najpoważniejszej rozmowie nie mógł zatrzymać konceptu, gdy ten mu się na myśl nawinął, powstał z miejsca i zawołał z przesadą:

«*C'est du nord à present que nous vient la lumière!*»

Edward machnął niecierpliwie ręką: — Wolter! czysty Wolter! — i rzekł dalej: — witam w altanie duch nieboszczyka arcy-mistrza kłamstw i konceptów,

*) Ustęp cudzysłowem oznaczony, jest dosłownie P. Edwarda.

którego ty naśladowiesz wiernie, bo i on gdzie nie mógł przekonać, to się wydrwił.

— Posłuchajcie, — ozwał się nakoniec Juljan, który dotąd palił fajkę w milczeniu, — posłuchajcie mnie. Wpadliśmy, jak widzę, niespodzianie w dysputę, na którą nas wyzwalał panie Ignacy. Edward ją historycznie rozpoczął, kontynuujmy więc nie żartem. Jesteśmy młodzi, widać *«sic fata tulerunt»*, że wszyscy trzej tak lub owak, mniej lub więcej, należec mamy do nowój ery literatury i poezyi, która oto teraz po całej Europie, i u nas bodaj szczególnie w litewskich talentach się objawiła. Dla czegożbyśmy więc nie zwrócili poważniejszej rozwagi na to, co się około nas i z nami dzieje? dla czegożbyśmy nie rzucili okiem na

punkt z którego wychodzimy, i na horyzont, który się przed nami otwiera.

—Oho Julianie! *ex cathedra* kontynuujesz lekcye Edwarda.

—Czyliż mię słuchać nie chcesz?— zapytał Julian.

—Jakto słuchać nie chcę? owszem słuchać będę z uwagą i roskoszą. Maszże mię za upartego pedanta, który wierzy tylko sam w siebie, i mniema że wszystkie rozумы pojadł? *Mów abym cię poznał*, powiedział jakiś filozof.

—A potem konceptem odbił przekonanie,— dodał Edward uśmiechając się.

—Otoż, pytanie tve panie Ignacy,— rzekł Julian,— na żart rzucone, jest, zdaniem mojem, najwłaściwszem przy objawieniu się każdój nowój idei w towarzystwie: *unde venis? quo tendis?* Tém bardziej teraz, gdy w ważnej kwestyi naukowego interesu wszędzie już nastąpiło przesilenie, a u nas trwa jeszcze jakaś

walka form starych, naprzeciw nowym fantazyom, a raczėj zarozumiałėj pedanteryi, naprzeciw porywczėj młodości; bo w tych dysputach dzisiejszych, dotąd jeszcze, zda mi się, treści nie dotknięto. Walka ta wszakże wkrótce ustać musi, zwłaszcza u nas w Wilnie, bo jeden jeszcze tylko pan *Gulbi* *) z butną poniewierką rzuca na młodzież szubrawskie sarkazmy; a tymczasem młodzież ta pełna nauki i zapału, przeszła już cała na szlak nowych idei, opanowała uwagę publiczności, osypującej ją oklaskami, zachęcającej współczuciem. Walka więc ustanie u nas «*faute des combattans*» jak mówią Francuzi. Nie idzie jednak zatém, ażebyśmy lecieli na oślep nie wiedząc i sami zkąd i dokąd? dla tego że nam nikt nie zawadza.

*) Szydłowski, w Towarzystwie Brukowych wiadomości nazywający się *Gulbi*.

Klassyczność, Romantyczność— Ballady, Legendy! I cóż to wszystko znaczy?... Nazwy, imiona, tytuły i nic więcej, bo jużciż nie bez nazwania być nie może; ale superficyalne tylko i niedojrzałe pojęcia biorą je za godła prac swoich, i do nich się przywiązują. Duch, nie forma stanowi poezję, i *Ludmiła* Żukowskiego dla tego tylko wspominaną być może w dziejach tu naszej poezyi, że jak ci to Edward powiedział, ona pierwsza jak iskra dotknąwszy nagromadzonych już i przygotowanych uczuć wewnętrznych w młodych sercach rozpłomieniła je. Duch ten gotowy do wybuchu objawiał się już śmielszym polotem, śmielszym językiem i głębszym interese, w utworach tychże samych młodych a prawdziwych talentów, pod wpływem jeszcze dawnych idei piszących *). A zkađ on do nas nie-

*) Poemat *Warcaby*, wiersz do profesora Historji po-

widomie przyszedł, *unde venit?* zapytaj całej Europy: z kąd upadek racjonalizmu XVIII-go wieku, który wszelkiej literatury i sztuki był dotąd treścią, a nawet dla poezyi formy i granice określał?

—A tak mój panie,— przerwał Ignacy,— *«est modus in rebus, sunt certi denique fines»* *) jeżeliś nie zapomniał jeszcze Horacego, i mniemam że w tej sentencji jest prawda.

—Prawda, że jest prawda,— mówił znowu Julian— *sunt fines*, są granice, ale nie jednakie dla wszystkich. Różnica zasady, determinuje różnicę drogi, i różnicę jej granic. *Klassycyzm* na wzorach Greków i Rzymian się ukształcił, z ich *Teogonii* zrobił swą wiarę poetyczną, ich pra-

wszechniej. *A. M.*— Poemat *Góra*, *A. E. O.*— Poemat *Zgon tabakiery*, *T. Z.*

*) Jest pewny sposób w rzeczach, są nakoniec pewne granice.

wideł ściśle się trzyma, i we wszystkich swych wyższych utworach wzywając natchnienia cudzych bogów, w których naturalnie nie wierzy, niéma rzeczywście natchnienia; ale jest prostém tylko naśladownictwem, i prostą robotą rozmysłu i stylu.... Natchnienie, mój panie, prawdziwe natchnienie, przychodzi jedynie z tego, w co się prawdziwie wierzy i ufa! z czém duszą naszą zjednoczeni jesteśmy! co nas w głębie nieskończoności unosi! lub w sercach naszych tkliwym głosem głębokiego także wzruszenia się odzywa!...

—Te wszystkie źródła prawdziwej poezyi, — rzekł znowu Edward — objawia nam i ofiaruje religia. Gdzie niéma religii, tam niéma i poezyi, która jest razem i darem i najszczytniejszym wyrazem religii.... Wiek XVIII-ty zatem wyzuty z jednej, nie mógł mieć i drugiej. Poezja jego, to jest klassycyzm, nie mia-

ła duszy, a zatém nie miała i prawdy!...
 Będzie ona obrazem wieku, nigdy obra-
 zem ludzkości!!! Dziś poezya we wszyst-
 kich ludach chrześcijańskich, musi stać
 się religijną, a zatém będzie narodową,
 bo Religia jest narodowością po-
 wszechną! będzie popularną, bo się złą-
 czy ze wszelkimi uczuciami i podaniami
 ludów; a pierwiastek religijny wszędzie
 i zawsze w tych podaniach ukryty,
 z wdziękiem i słodyczą rozwinie! Dziś...

—Stój! stój!— przerwał Ignacy— nie
 postrzegłeś się, że mi proroczą deklamacyą
 odpowiadasz już na drugą połowę mego
 grammatycznego zapytania *quo tendis?* do-
 kąd dążysz? Wypowiedzieliście mi wsze-
 lak rzeczy niepowszednie, nad któremi
 nie zastanawiałem się dotąd; pojęliście
 dobrze swoją zasadę. Zaczynam nie wie-
 rzyć w definicyą Golańskiego *)— mówił

*) Dzieło X. Golańskiego *o wymowie i poezyi*, z które-
 go dawniej uczono po szkołach.

uśmiechając się *«Co jest poezya? jest naśladowanie natury.»* Ale mój kochany Edwardzie, rzucasz wnioski wielkiego znaczenia, nie dość, zda mi się, złączone z samą zasadą, rzucasz jakby tytuły rozdziałów wielkiej treści, której dowodzić jeszcze potrzeba.

«Związek religii z poezją. Brak religii a zatem i poezyi w XVIII-tym wieku. «Klassycyzm nie miał duszy, a zatem i «prawdy. Będzie on obrazem wieku, ni-gdy obrazem ludzkości....» Oto są twoje rozdziały.

—Rozdziały te,— ozwał się znowu Edward,— napisze czas w dziełach gieniuszu i talentu, w dziełach mistrzów sztuki.... Po wzorach, pójdzie potem jak zwykle rozważa i nauka; ona rozwiąże kwestye, które my dziś uczuciem bardziej niż rozumowaniem pojmujemy. Ona zapełni pozorne przerwy, któreś między wnioskami naszymi upatrzył, treścią

z dziejów społeczeństwa, i z dziejów serc i umysłów ludzkich. Uderzające nas dziś nowością zdania i pojęcia o poezji i sztuce w ogólności, staną się wtedy kommunalami, dla tego, że oczewistość ich uznania i upowszechnioną będzie, a powtarzający je natenczas nie zjedna najmniejszej uwagi, tak jakby kartę dawniej gazety czytał.

My dziś stajemy na pierwszej mecie wielkiego szlaku, po którym swobodnie bujać i unosić się będą talenta narodowe. Wielkie przykłady już dane, bo i my, że zastosuję tu parę wierszy ze znanego powszechnie a wybornego rymu, bo i my już

«Przeszliśmy z klassycznego lskniącego się czystu,
Do *Geadów* zamkniętych na klucz z ametystu.»

Tą *Geadą* jest serce ludzkie, klucz z twardego a szlifowanego ametystu, to klassycyzm, który je zamykał... Otwarte nakoniec, okazało nam tajone w niém dotąd nieznanne, a raczej zapomniane bo-

gactwa i skarby, których, sami w sobie nosząc, użyć nie umieliśmy.

—Przepraszam pana,— przerwał Ignacy — dawnożeś pan dobrodziej złapał to piękne porównanie? tę figurę retoryczną?

—Oto teraz do usług pańskich,— odrzekł Edward z ukłonem.— Zapewna nie dość klassyczna, nie wymierzona cérklem, nadto śmiała?

—Ha! śmiałość jest dziś waszém godłem — odpowiedział Ignacy; — ale powiem wam, że w tém co tak pięknie pojmujecie i wyrażacie, jest więcej wróżby niż dowodu, niż gruntownego rozważenia. Zapał młodzieńczy i poetyczny unosząc was, góruje w rozumowaniach waszych.

—Bo ci nie *prelekcyje* mówimy—rzekł Julian,—bo może dziś w całej Litwie nie znajdziesz jeszcze ani jednego literata, któryby w téj materyi na kurs porządny mógł się zdobyć. My mówimy co czujem, ozna-

czamy punkt, pierwszą metę, jakem ci to powiedział, dzisiejszych myśli i przekonania naszego, we względzie wielkiej i ważnej przemiany ducha, dopełniającej się w krainie literatury i sztuki. Jak zaś ta przemiana dalej pójdzie? w jaką główną ideę się skupi? jak wpłynie na społeczeństwo? i wzajem społeczeństwo na nią? jak wpłynie na nas samych? czém się sami dojrzewając staniemy? co wy-czerpniemy z ogólnego dążenia, i czém się doń przyłożymy? słowem czém służyć będziemy *«pocziwój sławie»* i ziomkom, jeżeli nam Bóg życia i zdolności udzieli—tego dziś ani wywróżyć, ani zgadnąć nam niepodobna. Dziś pogłębiamy naprzód, doczekajmy chwili gdy się w tył obzie-rać będziemy; wtenczas zdamy sobie sprawę z prac i usiłowań naszych, jak dzisiaj zdajemy z nadziei.

Umilkli tu wszyscy trzej. Julian «gęste dy-
«my ciągnac z cybucha, modrym się okrył
«obłokiem», a Ignacy chodził zadumany po
altanie.... Nakoniec obrócił się i zawołał;

«Cudo przemiennego wieku:

Stary rozum w młodym człeku!»

Powinienbym powiedzieć: w młodych
ludziach, ale nie byłoby kadencyi, i to
nie mój koncept, wyjątek to z dłuższego
wiersza białoruskiego a dowcipnego poe-
ty *Rysińskiego*, którego widać jakiś mło-
dzik, jak wy mnie, w kozi róg zapędził.
Powiedzcie mi jednak, czy w poezyi tak
nazwanój klassycznej, w utworach ty-
lu znakomitych ludzi Stanisławowskiego
wieku, nic niéma dobrego i pięknego?
a przeciwnie, co *ballada* to arcy-dzieło?
to nasz *Krasicki*, *Trembecki*, *Naruszewicz*,
a potem *Feliński*, *Koźmian* i inni, darmo
bazgrali papier?

—A wiesz co?— rzekł żywo Edward,
—że gniewasz nas takim pytaniem. Tyl-

ko co nam przyznajesz rozum nad lata, a występujesz z kwestyą jak studentom z trzeciej klasy.

—Dajże mu cięgi i za mnie— rzekł Julian,— za to podstępnie rzucone pytanie. Oho! chce on nas wyprowadzić na bezdroże szczegółowych rozpraw i komentarzy, a potem pojedynczo nas pobić, jak *Horacyusz Kuracyuszów*; dajże mu za to! a ja idę przygotować mu argumenta w jego własnej kuchni. Damy dziś z Michałem obiad *klassyczny*, a podwieczórek *romantyczny* — suto, zawieszisto i *smaczno* w pierwszym; pięknie, słodko i *smaczno* w drugim. Uważaj panie Ignacy, że ten wyraz *smaczno* do obu wchodzi. *Sat sapienti!*— i poszedł.

—Rozumiesz go?— zapytał Edward.

—Rozumiem, ale on mię niesłusznie posądził, bom ja w dobrej wierze zapytał.

—Skutek jednak byłby tenże sam, gdybyśmy ogólne pojęcia piękna do szczegó-

łów zastosowywać chcieli. W piękném, mój panie, trudna różnica i trudna granica.... rozbiory więc nasze i sprzeczki byłyby nieskończone i niepewne. Rozważaliśmy zresztą zasadę nie talenta; a daj Boże aby na niwie ojczystej poezji naszej, własnej, obczyzną nieskażonej, takie zawsze objawiali się pracownicy, jak ci których chwałą uwieńczone wspomniałeś imiona. Gdziekolwiek oni zapomnieli francuzczyzny, (niestety, bardzo to się im rzadko zdarzało) i narodowemi być chcieli, tam piętno prawdy na ich dziełach wybitne, tam metal czysty, a nie pozłota. Wiele z ich poezyj na pamięć umiemy, wiele w przysłowia poszły, a cokolwiek w pamięć głęboko wchodzi, w tém z jakiegokolwiek względu musi być prawda.

Dla braci zaś romantyków, którzy prócz tytułów nic więcej nie pojmując, każdą balladę, zwłaszcza przez siebie napisaną, mają, jak ty powiadasz, za arcy-

dzieło, ułożyłem wzorową balladę, wzorową nie dla nich, lecz z nich, bo wzory z ich poezyj i intelligencyj czerpałem. Słuchaj.

Ballada — Romantyczność.

«Szło dwóch w nocy z wielką trwogą,

Aż pies czarny bieży drogą:

Czy to pies?

Czy to bies?

Rzeczcie jeden do drugiego:

Czy ty widzisz psa czarnego?

Żaden nic nie odpowiedział,

Żaden bowiem nic nie wiedział,

Czy to pies?

Czy to bies?

—oo—

Lecz obadwa tak się zlekli,

Że weszli w rów i przykłąkli.

Drżą, potnieją, włos się jeży,

A pies bieży— a pies bieży....

Bieży, bieży, już ich mija,

Podniósł ogon i wywija—

Czy to pies?

Czy to bies?

—oo—

Już ich minął, pobiegł dalej,

Oni wstali i patrzali;

Czy to pies?

Czy to bies?

—∞—

Wtém, o dziwy! w oddaleniu,

Na zakręcie, znikł im w cieniu,

Czy to pies?

Czy to bies?

—∞—

Długo stali i myśleli,

Lecz się nie dowiedzieli,

Czy to pies?

Czy to bies?

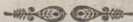
Śmieli się oba i autor i słuchacz, a wtém ozwał się dzwonek. —To na obiad! —rzekł Ignacy; i szybkim krokiem wszedł Juljan.

—No, panowie!— zawołał on— dzieło na stole, basta teorya! pójdźmy rozebrać je w treści. Twój Michał P. Ignacy, to *klassyk* prawdziwy! jego obiad, to dramat *klassyczny*. *Chłodnik*, to zimna expo-

zycya sztuki, to akt piérwszy. *Zrazy* bite, gorące, duszone, że aż piszczą w rądlu, to akcyja dalsza wrząca, zapalczywa, ognista. Ingredyencye rozmaite, to podniecające interes namiętności. *Pieprz*, to gorzka rozpacz i nienawiść. *Cébula*, to miłość nieszczęśliwa co łzy wyciska. *Bobkowy liść*, to laur bohaterá... Ale imaginiujcie sobie co to za głęboki poeta ten Michał! Trzebaż było koniecznie rozwiązania sztuki, piątego aktu— on daje *Pezy!*.. a to jest napuszysta *narracya* kończąca zwykle klassyczne tragedye, i kortyna zapada.

—Brawo!— zawołali wszyscy— brawo!

—Idźmyż jój klaskać... zębami!— dodał gospodarz.



VII.

Siedzący od godziny chłopiec na komi-
nie, krzyknął nakoniec — *jedzie!*

Na to hasło kawalerowie, którzy po
obiedzie zatrudniali się każdy po swoje-
mu przygotowaniem do przyjęcia gości,
to jest, Edward z Ignacym w ogrodzie,
a Juljan na konferencyach z Michałem,
przerywanych wpisywaniem do sztambu-
chów poetycznych pamiątek; na to hasło
z komina, wszyscy trzej dosiedli koni, i
galopem ruszyli na spotkanie.

Naprzeciw nich zbliżał się biegący ko-
szyk z kwiatami; bo śmiało porównaniem
tém ozdobić można było, piękny, płaski

naówczas a wysoki, złotem i lakierem lsknący się koczyk, napełniony młodziutkiemi i ładnymi dziewczętami, których świeżość i wdzięki, jak roszkoszna woń róż rozwijających się otaczała. Jechała w nim razem, młoda ich bratowa, żona pana Krzysztofa kapitana, o którym już wspomnieliśmy, i nakoniec między niemi malutka Józia, córeczka ich kilkoletnia, do obrazku Amorka z czarnemi figlarnemi oczkami służącyby mogąca.

Kapitan jechał także konno. Gdy ujrzał trzech kawalerzystów naprzeciw siebie, zakomenderował: *baczność! stój! równaj się!* Koń jego zarżał wesoło, zestrzygł uszami, i wyskoczył rzeźwo — przypomniał komendę.

Nastąpiły powitania. Oczy tu bardziej niż osoby się witały. Jeźdce nie mogli z koni dotknąć pięknych rączek, we wzroku więc ich tylko pałała radość i uczucie, przed którym spadały powieki

Ludwiki i Zofii, a żywy rumieniec oblewał dziewicze ich jagody.

—No, panowie!— zawołał kapitan znowu: —*Trójkami naprzód! marsz!* a nieźle jeździecie, jak na literatów.

Ale komenda ta nie dała się wykonać, bo pan Ignacy jechał z jednej strony koczka, gdzie siedziała Ludwika, a pan Edward z drugiej, gdzie się doń uśmiechała Zofia; pan Juljan więc tylko towarzyszył panu Krzysztofowi.

—Dzielny koń pański— rzekł Juljan, patrząc na jego piękny tok, i zręczne wyskoki.

—Stary on już— mówił kapitan,— ma lat z piętnaście, ale go kocham i pieczę; bierze on podwójną rację obroku, i dla tego rzeźwy jeszcze; bo to, mój panie, towarzyszył mego wojskowego życia, i nie-

raz to życie ratował. «Nosił mię, nosił daleko po świecie» — mówił z niejakiem rozrzewnieniem, głaszcząc konia po szyi. — Uważałeś pan jak się rozpalił na głos mój? poczciwy! pamięta jeszcze komendę, i gdybym krzyknął: — *z miejsca nacieraj!* toby jak strzała ruszył do szarży. *Drezno, Lipsk, Hanau, St Dizier*, wszędzie byliśmy razem; i gdy nań teraz wsiądę niekiedy, wnet mi się te dni przypominają, w których, opiece jedynie Boga winienem, żem wyszedł zdrowo i cały, gdy tysiące obok mnie ginęły.

— Piękne wspomnienia zachowasz pan dla dzieci swoich.

Kapitan się zadumał. — Tak, — rzekł potem — dzieci, a może i wnuki nasze, nie ujrzą zapewne takich walk olbrzymich, takiego starcia się narodów, jakiego my byliśmy świadkami, a niektórzy uczestnikami. Ale to chwała Bogu przeszło....

—Tęgi to był koń — mówił on dalej, zwracając się z poważnej na potoczną rozmowę — a sadył panie przez rowy i płoty jak sarna. Imajnuj pan sobie, w bitwie Lipskiej *) szarżowaliśmy na węgierskich huzarów: szwadron jeden na cały pułk, bo już cesarz nie miał dość kawaleryi, musieliśmy zatém nadstarzczać jak można było. Nie dotrzyaliśmy jednak tak potężnej sile, i *rejterada w tył*... Dowodził nami natenczas waleczny pułkownik *Sucharzewski*; w awansie on zawsze na czele, w rejteradzie on zawsze ostatni; a trzeba było przebyć fossę, którąśmy w szarży ominęli, a na którą nas teraz Węgry nagnali. Ścisnąłem ostrogami gniadosza, przesadził... ale obejrzę się za siebie, aż pułkownika naszego rąbią huzary; koń mu się zwinął nad fossą i upadł. *Wiara!* krzyknąłem przerażony,

*) Prawdziwe.

wiara za mną! pułkownik nasz ginie!... W mgnieniu oka gniadosz był znowu za fossą, i tuż za mną kilkunastu tęgich wiarusów. Rzuciliśmy się na kupę Węgrów niespodziewających się nowego ataku; pierzchli więc szpikowani lancami, a my podjęliśmy kochanego naszego dowódcę z głową porąbaną okrutnie. Tymczasem drugi szwadron przybywający nam w sukurs, uderzył Węgram z boku, mieliśmy zatem czas przenieść pułkownika do ambulansu, a gdy sławny chirurg cesarski *Larey* obandażował mu głowę, odwiozłem go do Lipska, i zalokowałem, ile można było, najwygodniej.

Droga się tu zwężyła i Edward musiał opuścić kocz, a zbliżyć się ku jadącym konno, i dosłyszawszy ostatnich wyrazów kapitana — A sam wróciłeś pan — rzekł — na plac boju, lubo mogłeś zostać przy swoim pułkowniku i uniknąć niebezpieczeństwa, nie uchybiając swój powinno-

ści, ani wojskowemu honorowi, boś był jego adjutantem, czy adjutantem pułkowym, co na jedno wychodzi.

—A z kąd to pan wiesz?— zapytał ciekawie kapitan.

—Przed rokiem będąc w Warszawie, poznałem jenerała *Kurnatowskiego* *), z którym pan kampanię francuzką za Renem robiłeś. On mię jako Litwina wypytywał o litewskich oficerach z którymi służył, a szczególniej o panu, i przypomniał sobie przytém, ten dowód sumiennego poświęcenia się pańskiego obowiązkom służby. Rozkazał mi serdecznie odeń pana pozdrowić, co aż teraz spełniam, bom dotąd nie miał zręczności przypomnienia sobie tego.

—Dziękuję, oh! bardzo dziękuję! To mię nie zapomniał jeszcze mój jenerał!— rzekł wzruszony kapitan.— W nowój or-

*) Prawdziwe.

ganizacyi wojska naszego we Francyi, czynionój 1-go stycznia 1814 roku przez generała *Flaheaut*, adjutanta Napoleona, on naznaczony będąc dowódcą brygady kawaleryi, wezwał mię do swego boku. Był to dowód łaski i przyjaźni dla mnie, bo w zmniejszonych bardzo i zredukowanych numerach pułków naszych, wielu oficerów wyszło nad komplet i zostało bezczynnymi.

I mniemam — przerwał Juljan, — że się nie rozgniewali za to, bo ta ostatnia walka we Francyi, obcą już dla nich była.

— Mylisz się pan — rzekł kapitan, — póki pałasz przy boku i szlifa na ramieniu....

— A krzyż na piersiach — przerwał znowu Juljan, przenikając myśl kapitana i wskazując na pierś jego.

— Naturalnie — odpowiedział on skłaniając głową, — w takiem położeniu tém bardziej te rzeczy inaczéj się pojmują.

—Ostatnią tedy kampanię — mówił dalej pan Krzysztof, — i ostatnią bitwę pod *St-Dizier* naprzeciw korpusu generała *Witzengerode*, odbyłem pod wodzą generała Kurnatowskiego. Bóg mię i tu ratował od szwanku, lubo kilkakrotnie w gorących byliśmy opałach, tak, że generałowi kartacz zbił kaszkiet z głowy; musi on go chować na pamiątkę. A jakby na dobre zakończenia mego wojskowego zawodu, podała mi się tam zręczność ratowania znowu od śmierci pułkownika, choć nieprzyjacielskiego natenczas wojska.

—Jakto? — zapytał Edward.

—A tak. Po bitwie, kazano mi objechać plac boju, dla zebrania rannych; gdy więc pomiędzy trupami i jęczącemi rannymi w różne strony przebiegam pole, odzywa się mi z boku głos słaby i zaledwie zrozumiały: «*Au nom de Dieu! qui*

que vous-êtes, sauvez moi....» *). Rozumiałem że to francuz jaki; ale zbliżywszy się poznałem po ostatkach munduru, że to oficer Rossyjskich lejbhuzarów. Znaliśmy ich dobrze, bo nam często zazierali w oczy. Dałem mu połknąć kilka kropel tegoż wina, które go orzeźwiły nieco, i wtenczas mi opowiedział, że był dowódcą tego pułku, a zostawiony na placu za zabitego, przyszedł do przytomności, gdy rany się zapiekły i resztę krwi od upłynienia zatrzymały. Że zaś żyć nie spodziewał się, chciał aby przynajmniej żona, którą w kraju zostawił, i krewni wiedzieć mogli, że zginął jak wiernej swojej broni żołnierz.... Serce mi się ścisnęło na te jego słowa, bom pomyślił, że i ja może dachu rodzinnego i sędziwego ojca mego nie ujrzę; tém czuliej więc zająłem się ratunkiem dlań i pomo-

*) Prawdziwe.

ca. Miałem obok siebie kilku chirurgów, ci wnet się nim zajęli. Rany były liczne i ciężkie, pomoc gwałtownie potrzebna, za kilka godzin jużby była próżna; ale się pocieszył, gdy mi oni opatrzywszy go pilnie, powiedzieli, że wszakże rozpaczać nie należało, bo czerstwy skład ciała i wiek nieprzejrzały rannego, a mógł mieć lat trzydzieści, dozwalały wróżyć, że natura wspomóże lekarskie staranie. Promień nadziei, który natenczas mimo srogich boleści rozpogodził jego oblicze, ściśnienie méj ręki, i łzy w oczach, najśłodszą mi były nagrodą, i dziś jeszcze najmilszém mi jest wspomnieniem.

—A nazwisko jego?

Kapitan skinął ręką. — Wiem że żyje — rzekł, — a przynajmniej żył przed laty kilką; wiem, że opowiadał nieraz to swoje zdarzenie, z wdzięcznością wspominając oficera, który go ratował; to dla mnie dosyć!....

Zbliżano się tymczasem do dworu i pan Ignacy galopem wyprzedził wszystkich, pragnąc spotkać gości.

Dom niegdyś pana wojskiego, zmienił zewnętrzną formę. Zamiast ganku za kratkami, na którym widzieliśmy pana wojewodę mścińskiego Chomińskiego, stolnika, i sędziwego gospodarza, przy lampkach starego wina, poważną prowadzących konwersacyę; stanął na murywanym słupach podjezdny ganek, w którym usiąść nie było na czém, i pod który nie zajeżdżali stare kuczery, mniemając, że w dom otwartyby wjechali; lecz śmielszy furman kapitana zatoczył zręcznie koczyc pod kolumny, a damy oparte lekko na rękach kawalerów, wysiadły zeń i weszły do pokojów.

Wnętrze domu niewiele się tu zmieniło od czasów pana wojskiego, bo jeszcze

nie nadeszła moda dzisiejszego tak nazywanego *komfortu* zależącego na ustrojeniu gabinetu kawalerskiego, symetrycznie na kilku stolikach rozłożonemi rozmaitemi gracikami, mniej więcej kosztownemi, a najmniej użytecznemi; na zawieszeniu na ścianach kilku obrazów nadto swobodnego pędzla, na sprężystym szeslongu, i kilku książkach illustrowanych w złoconej oprawie, na wiszącej konsoli wydatnie umieszczonych.

Pan Ignacy obchodził się dziadowskimi jeszcze sprzętami; a tylko niestety! zniknął z pod lustra wizerunek Chrystusa ukrzyżowanego, i dzwoneczek loretański z koronką; może się przeniósł do sypialnej komnaty, gdzie modny niedowiarak XVIII-go wieku, przypominając w samotności matczynej pacierz, bił się w pierś, ze skrucą powtarzając: «*odpuść nam nasze winy.*» Wszyscy nasi tamtocześni mędrkowie, takimi podobno byli... u dzi-

siejszej młodzieży, między pięknymi graphicami, nie rzadko ujrzysz śliczny krucyfiks, jawne wyznanie religijnych sentymentów młodzieńca; ależ *vice-versa*, czy bywa matczyzna modlitewka w sypialnej komnacie?...

Drugi pokój stosowniej nieco reprezentował dzisiejszego właściciela tego domu. Tam stała naszklona szeroka szafa z książkami, i stół do pisania, także książkami nałożony, a w kącie jednym liczny zbiór cybuchów, wielkimi i osobliwymi nasadzonych bursztynami.

Pierwszy raz na swém gospodarstwie przyjmował pan Ignacy piękne swe sąsiadki, i tę, którą radby był uwięzić w swych ścianach. Pierwszy raz dorodne dziewice znalazły się w domu młodego człowieka, i przewidywać, a raczej instynktem serca przeczuwać mogły, że tu właśnie zdarzą się chwile tkliwszego znaczenia, od których wywinąć się będzie

trudno. Z obu stron więc swobodna wesołość, która jadących przeprowadzała, znikła jakoś na wstępie między młodzieżą. Damy usiadły w milczeniu, i ciekawym okiem rzucały w około, jakby się zląkły dwóch hetmanów, surowo na nich ze ścian patrzących. Nie wiedziały one, że oba za życia wielbicielami byli płci pięknej; że *Sobieski* ubóstwiał *śliczności swojej Marysieńki*, a *Radziwiłł* w podeszłym już wieku, bez względu na swe dostojęstwo, mitry i bogactwa, po śmierci swjej pierwszej żony *Wiszniowieckiej*, zakochał się w jej respektowej pannie, *Mycielskiej*, i z nią się ożenił. *) Pan Ignacy jednak wnet z tego wzruszenia, które mu było mowy ujęło, ochłonawszy — Kapitanie — rzekł, — dozwolisz odejść koniom do staj-

*) Z niej się urodził Hieronim Radziwiłł, ojciec księcia Dominika, ostatniego potomka książąt Ordynatów Nieświzkich.

ni. Panie, które nas dziś tu uszczęśliwiają, darować nam raczą cały wieczór.... Noce jasne i piękne, powrót będzie przyjemny.

—A pod wodzą kapitana — dodał Julian, — będziemy eskortowali damy, jeżeli pozwolą.

Kapitan spójrzał na żonę, a ta z wdzięcznym uśmiechem odpowiedziała: — Zgoda, i tém bardziej, że muszę przejrzeć cały ogród sąsiada, i przekonać się, czy tak piękny, jak powszechnie zachwalony; a nawet wejrzeć i osądzić, czy dobry z pana Ignacego gospodarz?

—We wszystkiém proszę o pobłażenie pani — rzekł on, — a co do gospodarstwa, zawczasu nawet przepraszam, za przyjęcie tak miłych gości, bo przecież beżzenni surowo na tym punkcie sądzonymi być nie mogą.

—Obaczmy;— rzekła wesoło kapita-

nowa, a tymczasem na skinienie przez okno jej męża, konie odeszły.

—Ach! otoż i nasze sztambuchy!— zawołały dziewczęta, bo książki przygotowane leżały na stole. Rzuciły się więc na nie, jak dzieci na łakocie, ale w mgnieniu oka umiarkowała się ta skwapliwość poczuciem, że za łakomstwo na dusery wziętą być mogła. Sztambuch więc Zofii dostał się w ręce jej bratowej. —Podziękuj Zosiu,— rzekła ona,— oto wiersz pana Edwarda na dzisiejsze twe imieniny. Przeczytaj pan sam, to razem i powinszujesz solenizantce.

Edward właśnie tego żądał, więc wziął książeczkę i czytał z zapalem, życzliwością zapewne dla solenizantki podniesionym:

«Dwa lata już stańło przed oltarz wieczności,
Od chwili gdy m raz piérwszy życzenia ci złożył.
Powtarzam je, zwierzając losu opatrznosci,
Bym ci szczęścia nie próżno i życzył i wróżył.

Czas leci, z lotem czasu wszystko się odmienia,
 I moje serce zmianę nie jedną pamięta;
 Lecz uczucie me dla cię, lecz moje życzenia
 Zawsze tak jednostajne, jak dzień twego święta!

—oo—

Może już to ostatni przepędzamy społem,
 Lecz gdy ci nowe błysną z latami przyszłemi;
 Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
 Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.»

Zapłonęły lica i winszującego i winszowanej. Nastąpiło jakające się podziękowanie... potem niemniej zajękliwy komplement Edwarda, który on przecież nareszcie pocałowaniem ręki solenizantki zakończył. Wszyscy się uśmiechnęli, łącząc swe dla niej powinszowania i życzenia.

Wtém kawa wniesiona, rozpoczęła traktamenta programmatem Juljana ułożone; zastawiono ją na stole.

—Pozwoli pani prosić siebie o fatygę,
 —rzekł pan Ignacy do kapitanowej, wskazując ręką na stół.

—Czy pan koniecznie mnie wybierasz dziś na gospodynię?— zapytała ona, rzucając lekki uśmiech na Ludwikę, na którą teraz przyszła kolej ambarassu.

—Tak pani,— rzekł Ignacy,— i nie możesz pani odrzec się tego obowiązku, gdyś sama postanowiła osądzić moje gospodarstwo; a na to, trzeba koniecznie mieć w domu władzę gospodyni, którą ja z pokorą w ręce pani składam.

—Prawda,— odpowiedziała kapitanowa,— sama się uwikłałam w cudzą może rolę; ale spełnię ją ohotnie. Śmietanka wyborna; to już raz wygrywasz pan na opinii,— mówiła rozlewając kawę po filiżankach,— i sucharki nieźle wyglądają.

Wtém, otwierają się drzwi na ścieżaj. Wchodzi stary Michał, niosąc przed sobą wielki blat biszkoktów, w wysoką piramidę ułożonych, i stawia na stole. Spójrzeli na siebie z zadziwieniem gospodarze festyny, a szczególnie na Juljana,

który ją urządzał; bo tych biszkoktów, ani tego solennego wejścia Michała nie było w programmie. Ale on nie mógł znieść balu bez biszkoktów; upiekł je więc na folwarku skrycie od Juljana, a wniósł sam dla tego, że mając w głowie prorocstwo Edwarda, iż jedna z pańienek mających przybyć, a które wszystkie w kościele nieraz widywał, będzie jego panią, chciał dociec która? spuszczać się w tém na szczęście i na swój stary rozum.

—Jak się masz stary pocziwczu?—
—zawołał kapitan,— czyś zdrów?

—Do usług jaśnie wielmożnego pana.

—Dawna to moja znajomość,— mówił dalej pan Krzysztof, obracając się do pana Ignacego;— wierny to sługa nieboszczyka pana wojskiego, dziada pańskiego.

Tymczasem Michał rzucał okiem po kompanii. W téj chwili pan jego zna-

lazł się obok Ludwiki; zdało się staremu że ktoś mu szepnął na ucho: »oto twoja pani«; postąpił więc kilka kroków ku niej i ukłonił się nisko, potem grzecznie całej kompanii, i wyszedł.

Wszyscy zdziwieni umilkli... potem wszyscy wielkim śmiechem parsknęli. Ludwika tylko stała zarumieniona, uśmiechająca się z przymusem, i pan Ignacy obok niej zaambarasowany. Spójrzył on na Juliana, rozumiejąc, że on mu tego figla spletał, i tę deklarację Michałowi naraił; ale Julian zrozumiawszy po wzroku to podejrzenie, ścisnął ramionami i głową pokręcił; a trzeba było przecież coś powiedzieć, przerwać ten śmiech, i jakkolwiek wywinąć się z kłopotu. Ani utwierdzić téj manifestacji Michała, ani jój zaprzeczyć: utwierdzenie byłoby oświadczeniem się niewczesnym i niezręcznym; zaprzeczenie, obrażającym zaparciem się uczuć niewywoła-

nych dotąd żadną nadzieją; a zaparcie się to, z trudnością potem rewokowaćby przyszło. Myśli te, z dodatkiem przekleństw na starego ciemięgę, przelatując jak błyskawica w głowie pana Ignacego, nie dawały się zawiązać conceptowi nagle tu potrzebnemu. Julian zatém pojmując tę jego krytyczną pozycyę, przyszedł mu na ratunek. —Stary Michał,— rzekł on,— zrobił nam dziś siurpryzę ze swemi biszkoktami, nic o jego planach nie wiedzieliśmy.

A ponieważ na widok suto ocukrowanych biszkoktów, mała Józia zaczęła skakać około stołu, Julian więc wziął ją na rękę i rzekł: —No, mała ty moja puko, chcesz pirożków?

—Chcę — wyszczebiotała Józia.

—A pójdziesz za mnie za mąż? — to dam.

—Pójde — odpowiedziała rzezwo.

—Brawo! ot mam i narzeczoną,— zawołał Juljan, dając jój biszkołka.

—Jakto? — rzekł ojciec szczypiąc ją za buzię; — to i bez pozwolenia papy i mamy?

Józia się zachmurzyła.

—Ależ nie martw pan mojej bogdanki— rzekł Juljan,— termin ślubu jeszcze daleki; a tymczasem dziewczynka wyrwała się z rąk jego i uciekła do mamy.

Bywają w życiu ludzkim jakieś niewytłómaczone chwile; ale jednakże muszą one padać z przeznaczenia, w których rzucone na wiatr zda się i bez namysłu słowo, staje się.... wróżbą!

Pan Ignacy korzystając z nowego obrotu rozmowy i uwagi powszechniej, zakończył tak swój ambaras, jak Edward powinszowanie i pocałował rękę trochę wzbraniającą się Ludwiki, a pocałunek ten był razem i czułym i dyplomatycz-

nym; bo przeproszał za Michała, utwierdzał pokłon jego, a zamilczał wyznanie.

Wszedł lokaj i rzekł: —Sieć do kanału zapuszczają.

—Ach! ach!— krzyknęły damy— rybołówstwo! pójdziemy, pójdziemy pa-trzeć.

—I owszem— odezwał się pan Ignacy, bo to i na szczęście i na rozrywkę dla pań sieć zarzucona; a że jutro środa, gospodyni moja dzisiejsza parę karpia raczy przyjąć na obiad.

—Zgoda, dziękuję, — odpowiedziała kapitanowa, — pod warunkiem wszakże, że ten obiad razem u nas jeść będziemy.

—I na to zgoda, — odpowiedzieli wszyscy.

—Ależ przed niewodem rybę łowicie, — rzekł kapitan, — a jeżeli karpia nie będzie?

—Oho! — rzekł Edward— nie skompromituje szczęścia dam pan Ignacy; wie

on, że kanał pełny ryb, i my wiemy, bo dziś już probowaliśmy tego szczęścia.

Więc wyszli wszyscy z pokoju, z tój sentymentalnej niejako atmosfery, na swobodniejsze odetchnienie, razem orzeźwiająca i rozwalniająca więzy przymusu, które w ciaśniejszym pokojowym obrębie hamowały ich wesołość, i w pewnym oddaleniu jednych od drugich trzymały.

Gdy wychodzili, gospodarz podawał rękę kapitanowej, ale ta rzekła uśmiechając się;

—Daj pan pokój, ja nie lubię tych etykietalnych processyj, zwłaszcza na wsi, gdzie każdy najswobodniej chodzić i bawić się chciałby, a musi iść gdzie go prowadzą. Zresztą, pan idąc ze mną w pierwszej parze, możebyś chciał pójść *odbijanego*....

—Oh pani! to dowcipnie, ale...

—No, prowadź pan kogo chcesz— przerywała ona,—ja pana uwalniam, a lepiej nie prowadź nikogo, sami pójdziemy.

Jakoż cała gromada szła nad kanał, z którego kilku ludzi wyciągało niewód. Mała Józia wyprzedzała wszystkich. Wolny sercem Juljan, wybierał więc sobie towarzystwo, i dzieląc się między wszystkich gości, wyręczał gospodarza w obowiązku bawienia wszystkich, a dawał czas obu kolegom rzucania w ucho dziewcząt owych tysiącznych synonimów jednego zawsze wyrazu *kocham*, który co chwila z ust się wymykając, na nich zamiera. Synonimy te i omówienia improwizują się natenczas u wszystkich, mniej więcej zwięzłe, mniej więcej tkliwie, jakoby w muzyce serdecznej *waryacje* na jedną *temę*; ale w ogólności tworzą się one w odwrotnym stosunku uczucia, i tém się mniej wiodą i kleją, im gorętsze

jest i szersze to uczucie; bo ten wyraz *kocham*, który jest treścią rzeczy, wścibiając się między inne słowa i peryody, a nie dając się wymówić, miesza ich szyk i porządek. Żywsza i obfitsza z natury i z codziennego rozwijania się wyobraźnia młodych poetów, zdolniejszymi i biegłszymi ich czyni w tych sentymentalnych manowcach. Myśl ich natenczas pracuje tak, jak niekiedy nad pogodzeniem i zastosowaniem rymu do treści, lub treści do rymu; a jak z tego przymusu i udręczenia się, wynika częstokroć piękna poezja, tak i z tej zalotnej gmatwaniny słów i wyrażen, wyniknie im często miła i tkliwa, jakby strofka poetycznej prozy, w którą owinięty ten zaklęty wyraz, wpłynie do serca dziewicy, i tam się rozgości. Ludzie dojrzałsi mają na to zwyczajne formuły; uczą się ich z romansów pisanych, lub po prostu używają swatów, to jest formuł chodzących; ale mło-

dzi, żywi, zakochani, a tém bardziej poeci, snują sami około lubej istoty tę sieć pajęczą, którą częstokroć

«Wiatry wioną i rozdmuchną.»

Ale niezmordowany

«Snuje znowu sieć cieniuchną,

By ją znowu wiatry zwiały» *)

a w której wszakże więźnie niekiedy serce niewinnej a czułej dziewicy. Opisywać jednak z domysłu lub z przypomnienia takie zalotne konwersacye, albo jak to jednym wyrazem dobrze nazwano, takie *zalecanki*, rzecz trudna i niebezpieczna; zostawiać to raczej należy domysłom lub przypomnieniom samychże czytelników, niżeli dorzucać kilka ognistych a na zimno namysłanych kartek, które zwykle nieczytane się przierzucają.

I tu więc powiemy tylko, że pan Ignacy wzięwszy *assumpt* od ukłonu starego

*) Zaleski.

Michała, niżeli doszli do kanału, tak gładko od słówka do słówka wyprowadził w pole piękną goście, której rękę podawał, że mu ona rumieniąc się powiedziała: «ja się na pańskiego staruszka nie gniewam.»

—Ale czy pani wierzysz w to, com powiedział, że on ten pokłon oddał pani z przeczucia?

Pytanie to bardzo zręczne, jak mu się zdawało, jakby sidełko na ptaszka rzucone było; i cieszył się w duchu pan Ignacy, że mu się ono tak składnie z uprzedniej rozmowy wywinęło, a serce mu biło z niespokojności, oczekując odpowiedzi.

Przez chwilę milczy ona ze spuszczo-nemi ku ziemi oczyma. Dobry znak! myśli Ignacy, ale wnet je podnosi śmieliej i zapytuje wzajemnie:

—A pan sam czy wierzy w to przeczucie swojego Michała?

—Ha! ladaco! — pomyślał on znowu,

—jaki dowcipek! pomieszała mi szyki i obłudne mowy!— bo rzeczywiście pytanie jego było obłudném. Z kolei teraz dziewczyna z figlarnym uśmiechem nań poglądała oczekując odpowiedzi. Pan Ignacy znowu się znalazł w podwójnej pozycji. Przyznać się do wiary w przeczucie Michała— kłamstwo— zaprzeczyć się téj wiary; a pocóż to pytanie? ale wnet się opamiętał i rzekł: — Ja wierzę wszystkiemu, co mi jakąkolwiek wróży nadzieję; gdybym ją miał... gdyby ona przez usta twoje droga pani — mówił ujmując jej rękę, — do mnie się uśmiechnęła... — doszli do kanału, rozmowa się przerwała, Ludwika drżącą swą odeń odjęła rękę.

O kilka kroków za nimi szedł Edward obok młodziej siostry; on także:

«Miłość, piękność, uczucie, wiarę,

Na ogniwa spajał złote.» *)

I w te subtelne ogniwa uplatać ją usi-

*) Zaleski.

łując, chciał wybadać tajemnicę jój serca, i czego się mógł spodziewać w swych zamiarach, tém bardziej wątpliwych, że z przyczyny podróży jego za granicę, gdzie się na lat kilka wybierał, uczucia choćby szczere młodej dziewczyny, na długą próbę cierpliwości narażonemi być miały.

Kilka dni świątecznych przed dzisiejszym, bawiąc razem w ich domu, Edward nie wiele więcej nad życzenie szczęśliwój drogi i pomyślnego powrotu, wyjednał. To był już dzień ostatni lub przynajmniej przedostatni bytności razem, przed rozłączeniem się na długo; pod wpływem więc téj smutnej myśli, Edward był wzruszonym, a zatém czulszym, mówił goręcej, śmielój. Toż samo może wrażenie sprawiło, że go słuchano cierpliwiej i skłonniej.

Dozwól pani jeszcze,— mówił on, gdy się już zbliżali do kanału,— powtórzyć so-

bie ostatnią strofkę mego dzisiejszego dla niej powinszowania:

Może już dzień ostatni przepędzamy społem,
Lecz gdy ci inne błysną z latami przyszłemi;
Bądź pewna, że je twojém wspomnieniem zacząłem,
Lub iżbym zaczął, gdybym żył jeszcze na ziemi.»

—Dla czego — rzekła Zofia wzruszonym także głosem, — tak smutnie chcesz nas pan żegnać?

—Bo wątpię, czy nieobecny będę wspomniany?

—O tém pan nie wątp, — odpowiedziała czulój — a wzrok jój potwierdził jój słowa.

Edward chciał odpowiedzieć.... wtém doszli do kanału. Cała więc kompania się połączyła, i wyciągniono sieć. Matnia pełną była ryb rozmaitych:

«I szczupak wód monarcha, co się braćmi pasie,
I złotouste karpie, i słodkie karasie.» *)

Zawołał Edward.

*) List A. E. O. do W. J.

Niechże pani wybiera,—rzekł pan Ignacy do kapitanowój.

—A więc wybieram parę karpia, i kilka tych pięknych karasi, a jutro na nie panów czekać będę.

Mała Józia aż skakała z radości, patrząc na pluskające się ryby; chwyciła jedną maleńkę.

—Co ty z nią będziesz robić? zapytała mama.

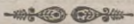
—Zgotuję—odpowiedziała.

—Zgotujesz? a dla kogo?

—Dla mężia—rzekła patrząc na Juljana.

—Ach, nic dobrego dziewczyna!—mówiła śmiejąc się matka,—ja rozumiałam że dla papy i mamy.

—Wilcza natura do lasu ciągnie,—rzekł kapitan i śmieli się wszyscy.



VIII.

Od kanału przez grobelki i mostki, szła kręta drożka do ogrodu. Pan Ignacy spojrział na Juliana, bo ten jako układający całą festynę, wiedzieć był powinien, czy już czas prowadzić damy na podwieczórek. Julian obejrzał się ku ogrodowi, i dostrzegłszy tam zdaleka stojącego przed altaną lokaja, co było umówionym znakiem, skinął na pana Ignacego.

—Oto pani— ten rzekł do kapitanowój— drożka, która nas do ogrodu zaprowadzi. Julianie, proszę cię, bądź przewodnikiem.— Julian więc podał rękę kapitanowój, lecz obie dziewice nie odłą-

czyły się już od towarzystwa całego, i tak szli wszyscy blisko siebie.

Juljan tak prowadził kompanię, aby weszła do altany nie widząc Helikonu. Gdy się damy w tej jakby świątyni Flo-ry, w kwiaty dla nich ustrojonej, obaczyły, wdzięczne zadowolenie zajaśniało na ich twarzach.... woń bzów, róż, jażminów pomieszane razem, tworzyła jakąś aromatyczną atmosferę, której odechnieniem zroskoszą napawały się piersi. — Ach! jakże tu pięknie! jakąż nam miłą przygotowałaś pan niespodziankę! — zawołała kapitanowa obracając się do pana Ignacego.

Ten przejęty i uniesiony urokiem tej szczęśliwej dlań chwili, kładąc rękę na sercu, głosem pełnym szczerości zawołał:

«Te lipy stare i ciemne,
I wszystko co tu widzicie,
Niech wam tak będzie przyjemne,
Jak nam tu wasze przybycie.»

Sztrofka ta Karpińskiego, która pod wrażeniem tkliwego usposobienia wpadła na myśl panu Ignacemu, przeniknęła wszystkich. Kapitan ujął go za rękę i wstrząsł serdecznie. — Dzięki panom, dzięki! — odezwała się czule jego żona; a dziewczęta milutkiem wejrzeniem, i słodziutkimi uśmiechy, łącząc się do jej słów, radość swą wewnętrzną zdradzały.

Kwieciste to ustroje, zajmowało nie tylko altanę, lecz i przedsionek do niej, to jest szeroki szpaler lipowy ją przedłużający; tam przygotowany i ustawiony już czekał podwieczórek. Wyrozumieli i zręczni jak zwykle kawalerscy lokaje, spełnili wszystko podług instrukcyi Juliana. Stół zdawał się klombem kwiatów, a między wazonami kryły się blaty. Zaproszone damy zbliżyły się doń, kawalerowie podsunęli im krzesła, sami przyjmując obowiązki krajczych i podczaszych, a właściwie uprzejmych gospodarzy.

—Zalecam kurczęta— rzekł pan Ignacy,— są one upieczone podług gastronomicznej metody Juljana.

Zasmakowano w nich bardzo, a Julian zacierał ręce z ukontentowania.

Kurczęta więc, szparagi, szczupak i jeszcze parę lekkich potrawek z podkurkowych przysmaków przez Michała przypomnianych, któremi to młodzi słudzy swe goście, to piękne goście sług swoich traktowali, ubywały powoli z półmisków. A tymczasem w altanie nakryto znowu stół mały okrągły, na którym kilka karetek limonady i kilka lampeczek i kieliszków postawiono; ale na czele téj całej kryształowej parady stanął w towarzystwie dwóch omszałych z żółtą pieczętką butelek, wielki kielich rznęty w herby i armatury, jakby dziad stary z dwóma babulkami, mający błogosławić młodemu pokoleniu.

Odkorkowano.

—No kapitanie wypijemy zdrowie dzisiejszej naszej solenizantki—rzekł pan Ignacy, wyjmując kielich.

—Co to pan chcesz robić?—zawołała kapitanowa,—męża mi spoić, i samym się upić? pięknie! tego ja nie dozwolę.

—Wypijemy zdrowie solenizantki—rzekł kapitan,—zgodą! i zdrowie gospodarza koniecznie, ale...

—Kapitanie!—przerwał Ignacy,—nas tu trzech dziś gospodarzy, i żaden swych praw nie ustąpi, ale pierwszeństwo należy się gospodyni.

—Której?—zapytała z uśmiechem kapitanowa,—czy przyszłej, czy dzisiejszej? Ludwika instynktowie spuściła oczy.

—Nie,—rzekł Ignacy kłaniając się jej grzecznie,—tęj właśnie, która dziś ten tytuł w mym domu przyjąć raczyła.

—Potém ułożymy kolejkę—rzekł kapitan,—ale nie tym kielichem kochany

gospodarzu, to widać z czasów jeszcze dziada twojego, pana wojskiego.

—I wino z jego czasów— odpowiedział Ignacy, lecz cóż ztąd kapitanie? czyż my tak odrodni? a ja, ja wnuk jego rodzi- niuteńki, miałbym ubliżać jego pamięci? lub własną wyznawać niedołężność, w o- bec jego kielicha, a zatém jakby w obec jego samego? Nakoniec kapitanie

«Cóż znowu u licha?

Kto się nie uląkł korda — nie zleknie kielicha!»

Kapitan pokręcał wąsa; żona zatém po- znała, że może się nie oprzeć rycerskim przypominkom.

—Śliczne widzę na tym kielichu rznię- cie,— rzekła ona,— pozwól pan, i wzięw- szy go z rąk pana Ignacego, jakby dla przypatrzenia się, po chwili zawołała: —Wyborny mi przychodzi projekt. Lud- ka i Zosia z tyłu pięknych tu kwiatów niech zwiążą bukiet, nalejemy wody do kielicha, i na pamiątkę naszej tu dziś tak

miłej nam bytności, zostawimy panom ten bukiet, czy zgoda? bo jeżeli panowie nie chcą, to ja oddaję...

Ignacy nie śmiał sięgnąć ręką po kielich.

—A widzicie panowie— rzekł uśmiechając się kapitan,—dowcipną mam żonczkę.

—Brawo!— zawołali Edward i Juljan. —Zgoda i dzięki pani— dodał ten ostatni.—Zawsze kielich nasz upajać nas będzie wonią i wspomnieniem, a nawet zmieniony w swoim przeznaczeniu i zamiast wina napełniony kwiatami, da nam powód do rozmyślenia nad zmiennością obyczajów ludzkich, a bardzo może być godłem naszych dzisiejszych; więc jeszcze raz zgoda!

Wnet dziewczęta obrywać zaczęły wozony, a pan Ignacy rzekł: —No kapitanie, gdy nam kielich z rąk odjęto, i je-

szcze dziękować zniewolono, toć z domowego podania wiem, że te lampki ledwo część trzecią kielicha biorące, bywały w rękach dziada mojego i napełniane tém samym winem, a więc zdrowie solenizantki! —zawołał całując jęj rękę, i rozdając potém każdemu pełną lampeczkę.— Toż samo powtórzyli koledzy.

Solenizantka ucałowała brata i pięknie podziękowała pijącym.

—Kapitalne wino! — rzekł pan Krzysztof,— znam się przecie na tém, bo gościłem w kraju gdzie się ono rodzi.

Nastąpiła potém sprzeczka między kapitanem wnoszącym zdrowie gospodarza, a gospodarzem wnoszącym zdrowie gospodyni. Lecz i tu kapitanowa chcąc ile można zmniejszyć liczbę toastów, rzekła: —Ja panów pogodzę; jako gospodyni używam tu dziś praw wspólnych z panem Ignacym; więc mam nadzieję, że się téj

wspólności nie odrzeczcie, i na wspólny nam toast się zgodzi.

I znowu pan Ignacy musiał dziękować za przekorę nagrodzoną współnictwem, którego jakże się było odrzec?

Dwukrotna ta kolejka podpróżniła butelki; zręcznie zmienione stanęły drugie, ale nowe zaprzeczenie z ust troskliwej żony. — Mój kochany, — rzekła ona do męża, — pamiętaj, że konno powracać musisz.

— Ach! służyć będziemy pojazdem, — przerwał Ignacy.

— A to na co? — odrzekł żwawo kapitan pokręcając wąsa. — Bądź pewna moja duszko, że gdybym się nawet spił jak bela, to na gniadoszu moim dojadę bezpiecznie. Oho, zna on jak w takim razie stąpać, i jak podtrzymywać równowagę, którąby jeździec tracił. Nieoceny koni! pamiętam jak dziś, po potyczce pod *Sztolpen* w Saxonii, gdzieśmy Li-

twini pierwszy chrzest krwawy odbyli, to jest pierwszy raz z nieprzyjacielem się starli, posłał mię dowódzca pułku z obozu, do głównej kwatery tamże w *Sztolpen* będącej, po rozkazy do naszego naczelnego wodza księcia Józefa. Odebrawszy je, jużem miał wracać, aż spotykam na ulicy kochanych kolegów, braci litwinów, *Jankowskiego*, *Koziella*, *Oskierki* i kilku z niemi koroniaszów; uścisnęliśmy się serdecznie i radośnie, jak się zwykle uściska po przebytej szczęśliwie bitwie; nuż pić! Krótko mówiąc, tak się stało, że ledwom mógł dosiąść gniadego; a jednak on mię po wąwozach i górach Saskich tak szczęśliwie i lekko doniósł, że nawet przedrzemał się jadąc, i mógł pułkownikowi zdać raport regularnie. A wieleż to razy potem we Francyi toż samo było! naprzykład w *Eperné* gdzieśmy w samém gnieździe, w lochu właściciela winnicy, pili szampańskie.

—Wspomnieniom twego rycerskiego zawodu kapitanie!— rzekł Edward nalewając sobie i kolegom lampki,— i pamięci mężnych braci i towarzyszy twoich! toast szczerzy kapitanie, — dodał ściskając mu rękę.

—Dziękuję wam! dziękuję! —zawołał wzruszony kapitan ściskając ich wszystkich czule.—Zdrowie wasze! zdrowie wasze!— tręcili wzajem, i wypili duszkiem.

—Dośćże już tego,— rzekła kapitanowa. —Oto i bukiet gotowy.— Jakoż oddały go dziewczęta w kielichu napełnionym wodą.

—Piękny! piękny! — wołali Edward z Ignacym,— a śmielsi kilką lampeczkami wina, goręcej całowali piękne rączki które go wiązały.

—Piękny,— powtórzył Julian; ale— dodał po małym namyśle,— braknie mu wszakże głównej ozdoby, głównej zalety. Same kwiaty.... to wdzięki! ale mało zie-

leni.... mało koloru nadziei. Cóż po wdziękach bez nadziei? Zaradzim temu... i wybiegł z altany.

Nie odgadnięto ani symbolicznych słów jego, ani po co wybiegł; lecz go wkrótce ujrzano wracającego i niosącego wazon mirtu, po który aż na Helikon wskoczył.

—No, śliczne panie! po jednej gałązce, a bukiet będzie pełnym, i... uszczęśliwi nas — rzekł on podnosząc wazon.

Tym konceptem, Juljan gorzej jak stary Michał swym ukłonem, zaambarasował dziewice. Serca im biły i lica pokraśniały. Kapitanowa nawet pragnąca przyjść im w pomoc, nie mogła się ten raz zdobyć naprędce na jakiś zręczny obrót. —Dać mirt, —myślała ona,—to dać nadzieję, ledwo że nie słowo; nie dać? to rekuza! wszystko to przeklęte lampeczki te zrobiły; bez nich nie śmiałyby tak wystąpić;— i można się było domy-

ślac, że podobne uwagi, przebiegały i w główkach dziewczycych.

A Juljan brnął coraz dalej i dalej. Postawił on wazon przy kielichu, wziął małą Józję na ręce: —No, moja bogdanko, —rzekł —czy dasz mi gałązeczkę mirtu? urwijże duszko.

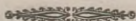
Dziecko nie myśląc długo, oderwało gałązkę i dało mu. Wtém... słowik się ozwał w klombach... Niespodzianka!... Wszyscy zdziwieni!... Coś podobnego do przecucia przemknęło po altanie. Wszyscy spojrzeli na Juljana, trzymającego na jedném ręku Józję, w drugiej gałązkę mirtu.

—Słowik ci Juljanie hymn weselny pieje— rzekł Edward.

Uśmiechnęli się wszyscy prócz Juljana, który mimowolnie wzruszony, spojrział mile na Józję, i przy mamie ją postawił, a mirt schował za nadrę.

—Pójdźmy przejść się po ogrodzie,—

rzekła kapitanowa — posłuchajmy bliżej
tego weselnego śpiewaka, oto już ich
kilku się odzywa. Wyszli więc wszyscy
z altany, bukiet i wazon mirtu zostały
na stole.



IX.

Gdy z ciemnego lipowego szpaleru wyszła kompania, ujrzała *Helikon*. Nowe zdziwienie i nowe kobiece *Ach!* się odezwało.

—*Helikon!* —przeczytał kapitan— stosowna bardzo kwatery dla poetów, — rzekł.

—Możnaż tam wejść?— zapytały damy.

—Najbezpieczniej, — rzekł P. Ignacy, — i prosimy uszczęśliwić nasz *Helikon*. Przyrzekłem moim kolegom, że się na nim okażą *Gracye* czy *Muzy*, jak panie chcecie.

Uśmiechając się, ale i drżąc z bojaźni, kapitanowa z Ludwiką i Zofią, a ośmie-

lając je za każdym krokiem, przy nich Edward i Ignacy wstąpili na galeryę, i damy wśród róż usiadły. Kapitan z Julianem zostali na dole, aby nie obciążać i nie zacieśniać Helikonu.

Słońce już zapadało i rokoszny majowy wieczór, z całym urokiem balsamicznego tchnienia, z całą czarownicę przyćmioną i tajemniczą barwą młodzieńczej natury, rozwinał się nad ogrodem. Niewymowna jakaś i mimowolna rzewność objęła zmysły. Słowiki jak zamówione na tę chwilę, rozgłośném pieniem witać i pozdrawiać zdawały się piękne goście ku ich powietrznemu królestwu podniesione.

—Jaki piękny obraz!— odezwał się Julian.— Patrz pan: na tle bladego wieczornego światła, ocienione i uwieńczone majem i różami, wdzięczne, młode i ładne jak ideały...

—Oho! poeta z ciebie panie Julianie,

poeta prawdziwy! — przerwał kapitan malarzowi w samym głównym kolorycie obrazu.

Na balkonie milczano... Gorączkowe rozmarzenie, razem głębokim uczuciem i winem podniecone, pałało we krwi i w żrenicach młodych ludzi zakochanych. Panowali oni jednak nad sobą; bo gdyby się na chwilę zapomnieli, sceny gorących wyznań i oświadczeń objawiłyby się tam nagle jak na teatrze, na które kapitan z Juljanem patrzaliby z parteru.

Ale w milczeniu tém nawet, kapitano-wa dostrzegła krytyczną chwilę; więc ją skracając, —zejdźmy rzekła,— bo już mi głowa kręcić się zaczyna.

—Za bukiet, — przemówił wtenczas Ignacy niepewnym głosem,— raczcie panie przyjąć te trzy wazony centyfolij z naszego Helikonu.

Dziewczęta same niepojmując swego nadzwyczajnego wzruszenia, skłoniły gło-

wą; kapitanowa dziękując i za nich i za siebie — pójdzmy — rzekła — przejść się po tym pięknym ogródku, wieczór przesliczny.

A więc gdy na dole znowu się kompania złączyła, rozpoczęto spacer. Wrażenie toż samo wprawdzie jeszcze trwało w młodych głowach i sercach, ale zmianą miejsca i ruchem rozrywane, swobodniejszym i przezroczytszszym, że tak powiem stawało się; marzenia rozwiewały się powoli, i myśli błędne w słowa się wiązać poczynały....

Po ogrodzie rozpierzchnione ścieżki, w rozmaite wiły się strony: to wpływały w jedną szeroką ulicę, jak strumienie do głównej rzeki, to się znów rozłączały skupiając się potem do altany, to się od niej rozwijając między kłoby krzewów i kwiatów. A towarzystwo tak się rozpierzchało po nich, rozdzielając się swobodnie, i kroki swe to za nowym kwia-

tem, to za nowym widokiem, to za głośniejszém echem słowików obracając, że mimowolnym zapewne losem, który wszakże skłonnościom trudno tajonym ulegać zdawał się, i żądane nastęrczał spotkania, tak nieraz zdarzyło się, iż pan Ignacy przeszedł obok Ludwiki przez altanę, że nieraz Edward spotkał się tam z Zofią...

Lecz wkrótce zarżał gniadosz na dziedzińcu.

—Słyszycie panie!— rzekł kapitan,— gniadosz mój daje hasło. Czas panów kochanych pożegnać.

Więc wszyscy znowu zebrali się do altany. Przybor kryształowy, i niedokończone butelki stały tam jeszcze.

—Ej kapitanie!— zawołał pan Ignacy, —a nasz pocziwy toast szlachecki ko-

chajmy się! czyż go nie wypijem? *Strze-
miennego* kapitanie!

—Wypijem, kochany gospodarzu,—
wypijem!

—Ach! czy jeszcze?— odezwała się ka-
pitanowa.

—Ani słowa, moja duszko! ani słowa—
rzekł kapitan pokręcając wąsa. — Pan
Ignacy ma rację, taki toast nie odma-
wia się nigdy.

Juljan tymczasem rzucił okiem na wa-
zon mirtu, i poznał, że on oberwany z ga-
łązek; uśmiechając się więc i tém śmiel-
szy, rzekł: — Panie nawet musicie choć
dotknąć ustami naszych, a przynajmniej
kapitana lampeczki, bo odmawiając do-
wiodłybyście, że nas nie kochacie.

—Brawo Juljanie!— wykrzyknęli ko-
ledzy — brawo propozycya!

—Ale wśród śmiechu wzbudzonego tą
pretensją tak w *klar* oświadczoną, kapi-
tanowa mająca zawsze jakby gotowy kon-

cepcik dla wygmatwania się z biedy: —Zgoda!— rzekła— zgoda; nie możemy odmówić panom dowodu naszych dobrych życzeń, i wdzięczności za tak miłą gościnność, spełniamy więc to zdrowie limonadą.

—Słodko to pani, ale wodnisto,— odpowiedział Juljan;— wszakże lepszy rydz niżeli nic; więc i za to dziękujemy.— Mężczyzni tręcili znowu w szklanki, i uściskając się wzajem, spełnili je.

Wkrótce koszyk z kwiatami, do którego Juljan wniósł swą narzeczoną, otoczony czterema kawalerzystami, potoczył się za bramę.

Noc majowa krótka. *«Już na górach świtał dzionek»* *) gdy trzej jeźdźcy wolnym krokiem postępujący, wjeżdżali w długą

*) Zaleski.

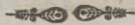
brzozową ulicę, prowadzącą do dworu pana Ignacego. Łatwo zgadnąć, że to byli kawalerzyści powracający z eskorty.

— A cóż Ignacy?— zapytał Juljan, przerywając długie milczenie,— wazon mirtu oberwany z gałązek? coś to jakby po oświadczeniach i po przyrzeczeniach?.... Cóż?....

—To jest.... tak.... niby....— odpowiedział jękając się Ignacy.

—A ty Edwardzie? cóż?

—Cóż.... nakształt tego....— odpowiedział również na ten raz zająkliwy Edward.



EPILOG.

LAT TRZYDZIEŚCI PÓZNIJ.

W prowadzącą szlakiem do tej samej
 sfery po latach trzydziestu wywam go
 nowu, aby we własnym życiu pamięci
 o takich przeżyciach cofnął: jeżeli mi
 ich dawać do takiej rozmyślności, i tym spo-
 sobem radwani z siebie samego otwo-
 rzywszy postać, oba jak w zwierciadle
 czarodziejstwa się przypatrzył. Usze-
 chniał się zapowiadając i zasępił, lecz się i
 zadumał razem; bo ta różnica powier-
 chowna zwróci naturalnie myśl jego i na

przez ulicę, prowadzącą do dworu
paua Ignacego. — Łatwo zgadnąć, że to byli
kawalerzyści powracający z eskorty.

— A cóż Ignacy? — zapytał Judd, prze-
rywając długie milczenie, — wazon mirtu
oberwany z gałązek? coś to jakby po o-
świadczeniach i po przyrzeczeniach?...
Cóż?...

E P I L O G

— To jest... — odpowiedział Ignacy.

LAT TRZYDNIEŚCI FOMMEL.

— Cóż... — odpowiedział Edward.

E P I L O G.

Lat trzydzieści później.

Wprowadzając czytelnika do téj samej altany po latach trzydziestu, wzywam go znowu, aby we własném życiu pamięcią o taki lat przeciąg się cofnął, jeżeli mu ich dosyć do takiej rachuby, i tym sposobem podwójną z siebie samego utworzywszy postać, obu jak w zwierciadle czarodziejskiém się przypatrzył... Uśmiechnie się zapewna i zasępi, lecz się i zaduma razem; bo ta różnica powierzchowna zwróci naturalnie myśl jego i na

wewnątrz; a tam różnica niejednóm może objawi się westchnieniem.

Wezwanie to moje nie jest bez interesu. Przebiegłszy bowiem czytelnik wspomnienie swój żywej, bezładnej, zalotnej, często płochój, a zawsze szczęśliwej i wesołej młodości, pobłażliwszym będzie na to, co wyżej przeczytał. A jeżeli przebiegać będzie ciąg wypadków i przemian około niego zaszłych, przemian ducha towarzystw we wszelkich względach, we wszelkich odcieniach pojęć i nauk ludzkich, trafić może na rozwagi przedmiotu tak blisko z sercem i uczuciem naszym połączonego, a którego peryody przejścia, lekko tu rozwijam, i tym sposobem dopomoże mi do osiągnięcia celu najważniejszego w piśmiennictwie: *połączenia się autora z czytelnikami.*

Około okrągłego stołu w altanie, siedzieli więc teraz znowu pan *Ignacy*, pan *Juljan* i pan *Edward*. Czas posrebrzył lekko włosy *piérwszego*, *drugiemu* przerzedził je na głowie, *trzeciemu* wyrył na czole i wyraził w oku nałóg głębszych zadumań i wewnętrznej pracy ducha... a wszystkim trzem stał z oblicza ów jasny blask młodzieńczej barwy, jak się ściiera lsknąca powłoka kamiennych popiersi, z pod której blady objawia się marmur.

Ignacy i Edward siedzieli oparłszy głowy na dłoniach, wpatrując się i słuchając pilnie czytającego Juljana. Chwila uroczysta! Duch *Dantego* był pomiędzy nimi!

BOSKJÉJ KOMEDYI

—rzekł tłómacz—

Pieśń Ostatnia.

«Dziewico-matko, córko twego Syna,
Najpokorniejsza i najwyższa w Niebie,
Przedwiecznej woli granico jedyna!
Ludzka natura w tobie i przez ciebie

Tak się podniosła, że z jój uszlachceniem,
Nie wzgardził stać się jój Stwórca — stworzeniem.

W żywocie twoim, o Matko-dziewico!
Zatliłaś miłość, pod której gorącym,
Kwiat ten kielichem świecąc gestolistym
Bujnie w pokoju rośnie wiekuistym.
Ty jesteś łaski południowém słońcem,
Na ziemi żywą nadziei krynicą.
Niewiasto! twoja tak wielka potęga,
Kto cię nie błaga, a po łaskę sięga,
Bezskrzydłą żądzą ten w górę się wznosi.
Dobroć twa wspiera nietylko kto prosi,
Częste przygiętych boleści ciężarem
Uprzedza prośbę dobrowolnym darem.
W tobie się łączy miłosierdzia Pani
Pobożność, miłość, dobroć, szcudroblliwość;
Oto ze świata najgłębszej otchłani,
On, który wchodząc na te niebios szczyty,
Widział kolejną wszystkie duchów byty,
Błaga cię, wzmocnij łaską jego oko,
Aby widzeniem wznosił się tak wysoko,
Gdzie ostateczna jest jego szczęśliwość.
Ja, com goręcej takiej wzroku siły
Nie życzył sobie, jak jemu tu w niebie,
Wszystkie modlitwy moje słę do ciebie,
Błagając, oby daremne nie były!
Niech śmiertelności swęj skazy i błędy

Za twą przyczyną jako mgły rozproszy,
 Aby mógł utkwieć wzrok w Arcy-roskoszy.
 Ty, która możesz co chcesz o Królowo!
 W nim twą opieką zwalcz krewkie popędy,
 Błagam cię jeszcze, po widzeniu takim
 Chciiej w nim zachować chęć i wolę zdrową.
 Patrz, Beatryce z Błogosławionemi
 Składają dłonie, i całym orszakiem
 Modlą się łącząc swe prośby z mojemi.
 W mówcę przez Boga ukochane oczy
 Utkwione, dały nam znać jako posły,
 Jak głos modlitwy dla niej jest uroczy.
 Potem na wieczne światło się podniosły.
 Trudno uwierzyć, że twór w takie Słońce
 Zatapiał oczy tak przenikające!

Do kresu wszystkich mych życzeń z zapalem
 Gdym się przybliżał, czułem niepomału
 Jak stygł mój żądry cały żar zapalu.
 Bernard *) z uśmiechem wskazywał mi giestem,
 Ażebym w górę patrzył, i patrzyłem
 Czując, że takim jak być życzył, jestem.
 Bo wzrok mój według ducha przemienienia
 Był więciej czystym, i wrażał spójrzenia
 Coraz to głębiej w Arcy-swiatło żywe,
 Które jest jedno przez siebie prawdziwe.

*) Święty Bernard.

Wzrok mój był odtąd wyższy nad moc słowa.
 Słowo i pamięć zbytniem wysileniem
 Mdleją, przed takim korząc się widzeniem.
 Jako widzący we śnie, po minioném
 Wrażeniu, czucie swych wrażeń przechowa
 Choć rys obrazu tonie w tle zamgloném,
 Takim ja jestem, bo moje widzenie
 Wionęło z duszy jak senne marzenie;
 A jeśli słodycz z niego urodzona
 Czuję jak spada kroplami w to serce,
 Tak śnieg od słońca topnieje niezwłocznie,
 Tak się rozleca, kiedy wiatr zadmucha
 Na wiotkich liściach spisane wyrocznie. *)
 Śmiertelną myślą o niedościgniona
 Wieczna Światłości! skrześ z mojego ducha
 Częstkę płomienia na twe podobieństwo,
 Zapal mój język, aby choć w iskiere
 Przekazał przyszłym pokoleniom gwoli
 Chwałę płomienną twojej aureoli.
 Aby przez trochę wrażeń z mych uniesień,
 Przez trochę dźwięków odbitych z mych piosenek
 Świat łatwiej pojąć mógł twoje zwycięstwo!
 Wierzę na ranę palącą jak płomień,
 Jaką mym oczom zadał żywy promień,
 Że mógłbym nagle olsnąć, gdyby były

*) Sybilli wyrocznie.

Oczy się moje odei odwróciły.
 Pomnę jak wolą przezeń ośmieloną
 Dopótym wzroku wyteżał potęgę,
 Aż go stopiłem z siłą nieskończoną.

Obfita Łasko! o przez którą śmiałem
 Tak oczy w wiecznej zagłębić Światłości,
 Że czułem jak w niej wzrok mój przetrawiałem,
 W jej głębokościach treść rzeczy widziałem
 Z miłością w jedną oprawionych księgę,
 Porozrzucanych kartami po świecie.
 Rzeczy, wypadki, ich różne własności,
 W księdze tej łączy taka jedność zwięzła,
 Jak w pączku kwiatów zieloność i kwiecie.
 Nawet powszechną formę tego węzła,
 Najmocniej wierzę, żem widział na oko,
 Bo gdy to mówię, radość niepowszedna,
 Czuję, jak pierś mi napełnia szeroko.
 W letarg mię większy wtrąca chwila jedna,
 Niż świat dwódzieste i więcej stolecie,
 Odkąd na wielkie Neptuna zdziwienie
 Po morzach Argów pławiły się cienie.
 Duch mój tём światłem zachwycony żywem
 Coraz się większym zapalał podziwem,
 A tej Światłości skutek tak uroczy,
 Że niepodobna od niej zwrócić oczy,
 I patrzeć w inną rzecz z uwagą nową,
 Jeżeli dobro, jako przedmiot woli,

Z nią się bezwzględnie i całe zespoli:
 Bo w niém jest tylko doskonałość, dzielność,
 Za krańcem jego błąd i skazitelnosc.

Odtąd już słabszym stanie się me słowo,
 Aby rozwinąć moich wspomnień zwoje,
 Od głosu dziecka w pierwszym jego roku
 Gdy jeszcze pierśią wilży usta swoje.
 Nie żeby wieczne to światło w mém oku
 Łamało promień z potężniejszą siłą,
 Które jest zawsze też same jak było;
 Cała przyczyna leży w moim wzroku,
 Który, gdym patrzył, wzmacniał się tajemnie,
 Gdy się zmieniłem, sam się skaził we mnie.
 Widziałem w kształcie troistych obręczy
 W głębi najwyższej Światłości trzy kręgi,
 Troistej barwy, jednego rozmiaru,
 Odblask dwóch pierwszych był równej potęgi,
 Trzeci wiał z obu jakby ogniem żaru.
 Myśl chcąc wyrazić czuję chrypkę w głosie,
 Od moich widzeń skrzydło myśli śmiałe
 Odległe więcej jak o niebo całe,
 A słowa moje tak karle i małe!
 Światłości wieczna, co w sobie zamknięta
 Jedna pojmujesz siebie i pojęta
 Kochasz się w sobie, uśmiechasz się do się,
 Krąg, który zda się poczętym był w Tobie,
 Jak promień światła w źrenicy złamany,

Gdy po nim oczy moje przebiegały,
 Zdało się, patrząc, pośrodku miał w sobie
 Nasz obraz własną barwą malowany;
 Dla tego wzrok mój w nim utonął cały.
 Jak jeometra co niespaniem błądy
 Ślęczy nad kołem do zawrotu głowy,
 I nie znajduje szukanej zasady,
 Stałem się takim na ten widok nowy!
 I chciałem widzieć, jak ten obraz społem
 Przestał do koła i złączył się z kołem.

Lecz tam nie mógłbym wlecieć skrzydłem własnym,
 Gdyby nie duch mój rażon światłem jasnym,
 W którym już jego żądy nic nie drażni.
 Tu mdleje siła mojej wyobraźni;
 Lecz chęć i wola, jako potoczzone
 Koła zarazem w kolój swojej jazdy,
 Przez miłość w inną zwróciły się stronę,
 Miłość co wprawia w ruch słońce i gwiazdy.

Koniec.

Juljan złożył rękopis, i otarł czoło.

—*Exegisti monumentum!* Juljanie, który imie tve w literaturze ojczystej nieśmiertelném uczyni,— rzekł Edward, i razem z Ignacym czule go uścisnęli.

Oto praca moja ostatnia,— mówił Ju-

ljan, kładąc uroczyście i z niejakiem wzruszeniem rękę na rękopisie.— Zacząłem od tłumaczenia liryków *Horacyusza*, kończę na tłumaczeniu *Danta*; zawód to trzydziesto-letni! od rzymskiego arcy-klassyka, do średniowiecznego arcy-mistrza «który jest rzeczywiście symbolem *) przymierza między klassycyzmem i romantyzmem. Cały zarys téj jego wielkiej kreacyi *Boskiej komedyi* ma porządek architektoniczny najklassyczniejszego stylu; linie, że tak powiem, geometryczne; a jednak cykl jego poematu, obejmujący przejście upadłego w grzechu człowieczeństwa, przez życie doczesne w życie wieczne, poza-światowe, z wynagrodzeniem wedle zasługi ziemskiej, wiecznym potępieniem, doczesną czyscową pokutą, i tryumfem w niebiosach dusz zjednoczonych z Bogiem, rozpostrzenił olbrzy-

*) Słowa własne Korsaka.

mie ramy swoje w nieskończoność, zostawując za sobą wszystkich najśmielszych romantyków. Wszystko co jest pięknego w klassycyzmie starożytnym, i w romantyzmie nowożytnym, *Dante* pierwszy zlał i zjednoczył w jedną tęczową barwę; a ideje wieczne *piękna*, *dobra* i *prawdy*, jak trójkran, jak *tyara* wieńczą jego poezję.

«Ot wiecie co?» mówił on dalej z niejaką rzewną smętnością; «zdrowie moje od niejakiego czasu, nie zupełnie dobre; wszystko na świecie przemija: a chciałbym za życia mego jeszcze wydrukować ten przekład, i zostawić po sobie tę pamiątkę ziomkom.»

Ledwo to wymówił; nagły i niespodziany, bo powietrze spokojném było, silny jakiś prąd wiatru przecisnął się przez drzewa, zaszumiał w gałęziach, zafurczał po stole w papierach, a karty rękopisu

Juljana zwichrzył i przewracał gwałtownie

Wszyscy trzej jakby tym wichrem razem z miejsc ruszeni, porwali się raptem, i z zadziwieniem spojrzeli po sobie.

— Co to jest? — wszyscy razem zapytali, i milczeli...

— Altana twoja, panie Ignacy, cudowna, — rzekł nakoniec ze smutnym uśmiechem Juljan: — duch proroczy w niej się niekiedy objawia. Odezwał się on tu niegdyś w głosie słowika, w chwili gdy przypomnicie sobie, Józia natenczas kilkoletnie dziecko, dziś moja żona, gałązkę mirtu mi dała; tyś Edwardzie piosnkę tę jego natenczas nazwał hymnem dla mnie weselnym, i mnie to przemknęło po myśli, bo pamiętam wszystkie me z tamtej chwili wrażenia, że pieśń ta jego, jest wróżbą mojego szczęścia, które się po latach kilkunastu i ziściło. Teraz duch ten przeleciał uraganem po mym rękopisie...

po mych nadziejach.... a uragan niszczy!... patrzajcie, znowu cicho i spokojnie... słowa moje wywołały go.

Ludzie skupiający życie w duchu, wznoszący się nieustannie wyobraźnią i myślą w świat tajemniczy, z upartą żądzą odgadnienia jego cudów, wrażliwsi są zwykle na wszelką nadzwyczajność, bo ją wnet odnoszą w tę krainę, w której tak często goszczą i marzą, i we wpływ której na losy ludzkie dowierzać zwykli; a tak się najczęściej składa, że traf czy nie traf zadając trudny orzech do zgryzienia rozumowi, pozór i prawdę na ich stronie objawia. Takimi mniej więcej byli wszyscy trzej przyjaciele. Więc ani Edward ani Ignacy, zdumieni równie jak Juljan, nie mogli w téj chwili zdobyć się na potoczne nawet słowa, któreby to przesądne uczucie jeżeli nie zniweczyły, to zagadały przynajmniej. Milczeli więc, aż nakoniec sam Juljan składając swój

rozwiany rękopis, do którego dotąd dotknąć się nie śmiał, z weselszą twarzą odezwał się;

—A czy pamiętacie nasz sławny tu podwieczórek dla dziewic, które są dziś naszymi żonami, a na którym moja Józia została mą narzeczoną? Czy pamiętacie jakieśmy wystąpili ślicznie, a poetycznie? A twój Helikon, panie Ignacy, dla czegoś dał mu upaść? szkoda! była to najpiękniejsza ozdóbka twego ogrodu! Czy pamiętacie jak tu wszystko było natenczas kwiecisto, wonno, różowo? Zaloty nawet wasze były różowe, piękne, udatne, wytworne i tchące poezją, dwornym wdziękiem czasów i szkoły, że tak powiem, Ludwika XIV-go.

—Dziś zaloty takie byłyby może śmieszniemi w oczach terażniejszej młodzieży,
—przerwał Ignacy,— bo jój sentymenta miłosne tchną raczej wonią cygarów.

—Powiedz przynajmniej wonią papie-

rosów, które i dziewicze ustka smoktać już nawykają,— rzekł Julian.

—A jakżebyśmy mieli zapomnieć tego wszystkiego— odezwał się Edward,—gdy od tego podwieczorku, datuje najwyraźniejszy akt naszego życia, to jest ożenienie, nawet i twoje Julianie, bo i dla ciebie, jak to sam dobrze pamiętasz, i jak gdzieś dobrze powiedział Ignacy w swoich obrazach *), mignął wtenczas błysk wieszczu przewracającą się karty w księdze przeznaczeń naszych.

—A więc i teraz uragan przewrócił kartę w tój mojej księdze — rzekł Julian.

—E dajże pokój!— przerwał Edward,—poprzewracał tylko karty w twym rękopisie i nic więcej. Posiedzmy tu dłużej, to pewny jestem, że kilku takich Eolów dmuchnie nam w oczy; dzień go-

*) Śmierć mego dziadka.

raćy, burza się zapewna zbierze, a to są zwykłe jój kuryery, które naprzód wysła.

—A jeżeli brać to za wróżbę,— dodał Ignacy,— toć bliżej za wróżbę sławy, która twą pracę i imię rozniesie po świecie,

Juljan kiwał głową i milczał, a Edward i Ignacy czuli, że ani jemu, ani sobie, we smutném tém nawianém wrażeniu nie ulżyli swoją perswazyą.

—A czy pamiętacie,— ozwał się znowu Edward, naszą natenczas literacką dysputę o *klassycyzmie* i *romantyczności* w poezyi? wszakże to trzydzieści lat upłynęło odtąd; i rzecz dziwna, nigdy nam się nie złożyło być tak razem we trzech w téj altanie, jako wtenczas i dzisiaj. Możemy sobie wyobrazić, że nasze

literackie towarzystwo, co lat trzydzieści miewa swoje posiedzenie. Protokół pierwszego mamy w pamięci, i tak naprzykład:

«Towarzystwo zebrane w pełnej liczbie swych członków, niekoniecznież kłaść wyraźnie wiele tych członków było; o tworzywszy swoje posiedzenie na *Helikonie*, przeniosło się do lokalu na wzór szkoły Platońskiej, w ogrodzie w lipowej starożytniej altanie obranego, i tam zajęło się ścisłym rozbiorem toczącej się powszechnie kwestyi w literaturze i poezyi, między szkołą dotąd zasadniczą *klasyczną* i nowo powstałą *romantyczną*; a po zgłębieniu i rozpatrzeniu *pro et contra* wziętej pod rozwagę materyi, uznawszy że to jest *materia gravis*, skonkludowano większością głosów, (bo pamiętasz panie Ignacy żeś uparcie trwał przy swoim) zostawić czasowi....

—A to pięknie!— przerwał Ignacy,—
zwykła decyzja niedołącznych.

—No, no, czekaj,— mówił Edward,—
zostawić czasowi rozwinięcie się na dro-
dze nowych wyobrażeń sił, nie tamowa-
nych przymusem dawnych klassycznych
instytucyj, i oznaczając dzisiejszy peryod,
jako rozpoczynający nową erę w litera-
turze i poezyi, ostateczne rozwiązanie jój
wpływu na powszechność w ogólności, a
w szczególności na autorów, i na samych-
że szanownych członków towarzystwa, od-
łożyć do drugiego posiedzenia.»

Wszyscy trzej się uśmieli.

«Po czém — mówił znowu Edward,—
zaproszona publiczność obojój płci, uprzej-
mie przyjętą i traktowaną była, a nako-
niec spełniano toasty stosowne do oko-
liczności. Ot i macie według wszelkiej
rutyny i formy protokołu.»

—I wysmienity! żaden uczony sekre-
tarz czcziej treści mądrych konferencyj,

w zwięzlejszy konnał nie zebrał,— rzekł pan Ignacy,— znać redaktora Gazety, i dla tego mianujemy cię dożywotnim sekretarzem naszego towarzystwa. Wiesz, że w sławnej akademii francuzkiej, *sekretarz* dożywotni znaczy *prezydenta*; i tu więc też samą prerogatywę rozciągamy, zwłaszcza z uwagi, że i w wielu instytucjach dzisiejszych, prerogatywa ta *de facto* istnieje.

—Zgoda!— rzekł Julian.

—Przyjmuję urząd, i dziękuję szanownym kolegom za wysokie zaufanie, którym mię zaszczycać raczą,— rzekł Edward z udaną powagą i kłaniając się obrzędowie;— a nim we wstępnej perorze, jak to zwyczajnie bywa, wypłacę się im pochwałami ich nieporównanych zasług i talentów, tymczasem wstępując w nowy obowiązek, rozpoczynam *protokół* drugiego posiedzenia:

«Otwartém ono zostało w téjże saméj

altanie uroczystém odczytaniem tłómaczenia ostatniej pieśni nieśmiertelnego poematu Danta *Boskiej komedyi*, przez samegoż tłómacza. Przyznany mu dank prawdziwy, za tak piękną i wielką pracę, ku pożytkowi literatury ojczystej i ku sławie własnej podjętą i szczęśliwie dokonaną.

«Następnie wezwany został (i wzywa się) szanowny członek towarzystwa pan Ignacy, do odczytania wyjątku z piszącej się przezeń powieści; a to celem zebrania rozwagi nad duchem dzisiejszego powieścio-pisarstwa. No, słuchamy.

—A jużciż szanowny sekretarzu, z jednego małego wyjątku, nie zdołamy sformować wniosków o całym powieścio-pisarstwie naszym— rzekł pan Ignacy.

—No, wszelakoż ma rację Edward,— ozwał się Juljan;— supponuje się bowiem że je znamy w ogólności, a tylko wprowadzić nas możesz na trop główny.

—Dobrze zresztą, gdy tak chcecie,—
mówił Ignacy biorąc rękopis. —Tytuł ma-
jącej być powieści: *Jesień w klasztorze*;
przeczytam wam rozdział jeden, i zaczął:

PRZYJAZD DO KLASZTORU.

Godło rozdziału:—

Słyszycie? jako głosząc cześć Panu nad Pany
Ozwały się poważne i święte organy!
O jak brzmią pełne tony w tryumfalnej pysze!
Jak się gwar przerywany ze drzeniem kołysze...
 Jak słodkie i miękkie głosy,
 Ucho nasze łechcą mile;
 Jak rosną, rosną w swój sile,
 I w same biją niebiosy!

POPE. *Oda do Muzyki na cześć
Ś-tój Cecylii.*

«Wrzesień nazywamy jesienią, lecz mie-
siąc ten stalszą i czerstwą pogodą przy-
jemniejszym u nas bywa, niżeli spiekle
upałem, i owadami osypujące lato. We
zwyczajnych porównaniach por roku do
por życia ludzkiego, jesień wypadła na
wiek dojrzały, męzki, i słusznie: używać
w niej bowiem zaczynamy owoców z za-
siewów wiosennych i ze zbiorów letnich,

przygotowywając z nich razem i zapasy na zimę. Słowa te tak do prac rocznych żywiących ciało człowieka, jako i do prac duchowych, żywiących umysł jego, równie zastosować się mogące i zastosowywane niejednokrotnie, usprawiedliwiają to nader upowszechnione porównanie. Szczęście! gdy jesień roku i jesień życia są pogodne i czyste.... gdy jedna w głąb zimy, druga w głąb starości przedłuża się, i wchodzi. Cieszy się własną *rolnik*, cieszy się własną *mędrzec*, a oba dziękują w duchu, sobie za wytrwanie w pracach i znojach letnich, Bogu za ich pobłogosławienie!

«W początkach takiej pięknej jesieni, stosuję to do pory roku, w niedzielę i ku schyłkowi dnia, zbliżałem się do *Zaświrza*. *)

*) Zaświrz— Wieś i klasztor XX. Karmelitów, w powiecie Świeciańskim.

—Znacież Zaświrz?— zapytał przerywając czytanie Ignacy.

—Znamy, — odpowiedzieli, — i jego piękną nad jeziorem Świrskim pozycyę.

—A więc: «W niedzielę i ku schyłkowi dnia, zbliżałem się ja do Zaświrza. Już był przeminął lud wracający z nabożeństwa; kiedyniekiedy tylko pojedynczy opóźniony chłopek, wlokąc się pieszo, lub skrzypiąc na kałamaszce, spotykał mię chrześcijańskim pozdrowieniem. Lecz wkrótce z zapadającym zmrokiem, droga się osamotniła zupełnie, i ja wlokłem się także powoli po-nad jeziorem, zmęczone mi długą podróżą kołmi.

Nakoniec księżyc w pełni wzniosł się nad wodą, i przywiódł mi na pamięć złudzenie w podobnej chwili, i w podobnej okolicy poety:

«Gwiazdy nad tobą, i gwiazdy pod tobą,

I dwa obaczysz księżyce.»

Nareszcie rozlegające się po suchém i pogodném powietrzu echa dzwonów kościelnych, uroczystym mię swym spotykały dźwiękiem; zdaleka zaś zajaśniały okna kościelne gorejącemi w świątyni ogniami, ómione to mniej to więcej gałęziami drzew ją otaczających, w miarę odmiany mego względem nich położenia na drodze. Natenczas okolica ta niewymówny przybrała urok! niewymówny! nieopisany! unoszący duszę ku niebu w modlitwie, lub w myślach z niej wypływających, i znowu wracających ku niej....

Dzwony, których odgłos mię przejął, na zwykłe niedzielne wzywały nieszpory, a oświetlenie kościoła dawało mi znać o trwaniu nabożeństwa. Lecz gdy się zbliżał na miejsce, okna kościelne świecić przestały, a zatém nieszpory już się skończyły. Że jednak przed bramą kościelną stał jakiś pojazd, a w kościele brzmiały organy, przeto można jeszcze

było odmówić przed ołtarzem wieczorną litanie. Wszedłem więc do kościoła.

Jedna tam lampa gorejąca na środku, słabym ognikiem migała w około, a przez długie okna świątyni promienie księżycy wpływając wewnątrz, rzucały pościanach i ołtarzach pasma światła powszechnym objętego pociemkiem. Jeden z nich padł na obraz fundatora w całej postaci wiszący na filarze, i oświecił poważne oblicze rycerskiego męża, jakby strzegącego gmachu przez się na chwałę Bożą wzniesionego.

Organ brzmiał bez przerwy, ale tak umiejętna i pełna uczucia ręka grała na nim, że mimowolnie zwróciłem głowę ku chorowi, aby ujrzeć grającego. Księżyc mu także przyświecał, i w niepewnym jego a oddalonym ode mnie blasku, zaledwo dostrzedz i rozróżnić mogłem dwie tam osoby: jedną grającą na organie, druga obok, zdawała się być ko-

biętą, a raczej jakimś cieniem fantastycznym, w białej i powiewnej szacie, powietrzem przez szpary i okna wciskającym się kołysanym.

Mistrz to był, a nie prosty organista, który taką harmonię tworzył w duszy swojej, i oną po głuchym i samotnym gmachu rozlewał. Łatwo mi było poznać, że improwizował swoją muzykę, że *modlitwa* głęboka, serdeczna, czuła, była tematem myśli jego waryowanych rzewnemi i pięknemi tony. Niekiedy prosta nótka pobożnych naszych kościelnych pieśni podpadła mu pod rękę, jakoby *motivum* tonące wnet w rozmaitych pełnych wdzięku i słodczy głosach... niekiedy szczytniejsza myśl wielkich mistrzów sztuki, ozwała się w rozpierzchnionych akordach, i nikła potem w głównej idei grającego.

Oparty o ławkę, stałem z upokorzonym czołem, duszą jednocząc się z jego

harmonią wznoszącą się coraz i coraz szczytniej w niebiosa.... Nagle, jakby on tam doścignął, jakby ujrzał twarz w twarz Wszechmogącego!... i niewymówną światłością oblicza Jego, i niewymówną wielmożnością chwały Jego przejęty... wszystkimi tonami i wszystkimi uczuciami serca swojego— uderza w organ! a całą siłą męzkiego głosu swych piersi wtórzy mu— łączy się doń zgodnie głos dziewczyny, miły, dźwięczny, jakby jednego z aniołów do wspólnego choru zjednanych... i zabrzmiała pieśń! pieśń *wezwania* całej ziemi, całego *świata*, całego *nieba*, całej *natury*, do oddania czci i hołdu Stworzycielowi !!!

Niebo, ziemia, świat i morze!

Niebo, ziemia, świat i morze!

I co tylko w was być może,

Jak najgłębiej upadajecie,

Pokłon Panu z nami dajcie!

Z chór niebieskich Aniołowie!

Z chór niebieskich Aniołowie!

Wszyscy niebiescy Duchowie!

Zstąpcie do tego padolu,

Śpiewajcie z nami pospołu!

Święty! Święty niezmierny! i t. d.

Upadłem na kolana... łzy mi z oczu popłynęły potokiem. Pieśń ta święta, tak dobrze od dzieciństwa i mnie i wszystkim znana, coniedzielna, a tak mało rozważana, w której nócie nawet taka się prostota i uroczystość łączy, pierwszy mi raz teraz tak głęboko uderzyła w serce.

O! czemuż natenczas nie był obok mnie niedowiarek jaki, ogmatwany fałszywą mądrością wypierającą się Boga i religii ojców swoich! lub w gnuśnej wątpliwości zastygły tak zowiący się filozof, lub młodzieniec stojący na rozdrożu światowego zepsucia. Czyżby każdy z nich nie upadł tak jak ja na kolana? i czyby zdołał dotrwać w zimnej obojętności przed potęgą takiego wrażenia?

Pieśń cała z równem i jednostajnem

uczuciem prześpiewana, a przesłuchana
przezemnie, zakończyła się pokorną i czu-
łą prośbą do Boga:

Sprawuj pokój w naszych krajach!

Sprawuj pokój w naszych krajach!

Pobłogosław w urodzajach,

A zaś w ostatniej potrzebie,

Nie daj nam skonać bez Ciebie!

Organ i głosy umilkły... głucha cichość
objęła kościół.

Ciekawy byłem ktoby był, co mi tak
miły wstęp do téj gościny sprawił? kto
była wtórująca mu anielskim głosem
dziewica? bo w takie czyste i niepokal-
lane formy ubierała ją wyobraźnia moja;
lecz nim wyszedłem z kościoła, uprzedzili
mię oni, i ujrzałem tylko odjeżdżający
pojazd, w którym zapewne była *ona*: a
mężczyznę wchodzącego do klasztoru.

—A widzisz,— rzekł Julian, kładąc niedopalone cygaro— a widzisz, że z tego jednego twego rozdziałku, myśl jednak objawia się wyraźna, że nie są to jak w dawniejszych powieściach rozrzucone morałki, wciskane między foliały mierności. Dziś każdy prawdziwy talent, w prozie, czy w poezyi, swobodnym a rozmaitym szlakiem wznosi się do jednego celu, do źródła *prawdy* i *miłości* powszechnej, to jest, do Boga! i ztamtąd przyjmuje natchnienia.

Edward wstał na te słowa, i mówił z przejęciem się: — «Posłuchajcie słów mistrza.

Rozum i Wiara.

Kiedy rozumne, gromowładne czoło
 Zgiąłem przed Panem, jak chmurę przed słońcem;
 Pan je wzniosł w niebo, jako tęczy koło,
 I umalował promieni tysiącem.

—oo—

I będzie błyszczeć na świadectwo wierze,
 Gdy luną klęski z niebieskiego stropu;

Gdy cała ludzkość złąknie się potopu,
Spójrzy na tęczę i wspomni przymierze.

-oo-

Panie! mą pychę duch pokory wzniecił,
Choć górnje błyszczę na niebios błękiecie,
Panie! jam blaskiem nie swoim zaświecił,
Mój blask, jest słabe twych ogniów odbicie!

-oo-

Przejrzałem nizkie ludzkości obszary,
Z różnyh jěj mniemań i barwą i szumem,
Wielkie i mętne gdym patrzył rozumem,
Małe i jasne— przed oczyma wiary.

-oo-

I was dostrzegłem o dumni badacze!
Gdy wami burza jak śmieciem pomiata,
Zamknięci w sobie, jak w konchy ślimacze.
Chcieliście mali, obejrzeć krąg świata.

-oo-

Konieczność, rzekli, wedle ślepěj woli
Panuje światu, jako księżyc morzu.
A drudzy rzekli: przypadek swawoli
W ludziach, jak wiatry w nadziemskim przestworzu.

-oo-

Jest Pan, co objął Oceanu fale,
I ziemię wiecznie kazał mu zamącać;

Ale granicę wykował na skale,
O którą wiecznie będzie się roztrącać.



Darmo chce powstać z ziemskiego pogrzebu.
Ruchomy wiecznie, ruchem swym niewładnie;
Im wyżej buchnął, tém głębiej upadnie,
Wznosząc się wiecznie, nie wzniesie ku niebu.



A promień światła który słońce rzuci,
Na szumnej morza igrając topieli,
Nie tonie, tylko w tęczę się rozdzieli,
I znowu w niebo, z kąd wyszedł powróci.



Rozumie ludzki! tys mały przed Panem,
Tys kroplą w jego wszechmogącej dłoni;
Świat cię niezmiernym zowie Oceanem,
I chce ku niebu na twój wzlecieć toni.



Zdajesz się tykać brzegu widnokręga,
Daremnie z żaglem nawa leci chyża;
Opływa ziemię, niebios nie dosięga,
Twa fala nigdy ku niebu nie zbliża.



Wzdymasz się, płaszczysz, czernisz się i błyskasz,
Otchłanie ryjesz, i w górę się ciskasz,

Powietrze ciemnisz chmurami mokremi,
I spadasz z gradem— tyś zawsze na ziemi!



A promień wiary, którą niebo wznieca,
Topi twe krople, zapala twe gromy,
I twe pogodne zwierciadła oświeca,
Ach! ty bez wiary, byłbyś niewidomy.

Oto jest podobny drugi ustęp,— rzekł
Ignacy,— i deklamował z równémże czu-
ciem:

«Panie! głos twój woła,
I rozumiem twe skinienie.
Mam odkupić dar mnie dany,
Twój najdroższy dar— natchnienie!
Pychą moją pokalany,
Poniżony do narzędzia
Chluby swój!

Nieprawdaż że w onczas kiedyś dla
chluby tylko własnej pisaliśmy?

I nim jak sędzia
Liczbę każesz dać z użycia
Strón i pieśni, jak z sił życia,
Czuję Panie, żeś dał porę
Grzech naprawić przez pokorę;
Dar twój we mnie zmienić Panie!

W mą zasługę, przez uznanie
 W nim twój łaski, przez uczczenie,
 Przez, choć późne, poświęcenie.
 Ku czci twojej Panie! Panie!
 Jako każesz niech się stanie.

Błogosławiony, czyj duch w natchnieniu
 Tak może lecieć, tak leci w zwyż,
 Że świat znikomy znika w spójrzeniu,
 Że widzi tylko w jasnym widzeniu
 Życie w wieczności, Stwórcę w stworzeniu.
 Dwa ich ogniwa, w wiecznym zetknięciu,
 Duch na niebiosach— na ziemi krzyż!

O i na ziemi błogosławiony!
 Kto z wzniesionemi w niebo ramiony,
 Łzę skruchy tylko zabłysnie!
 Z duszy i z ciała jest on już razem,
 Ducha naczyniem, krzyża obrazem,
 I Chrystus na nim zawisnie.
 I jak z ołtarza z nad serca jego
 Ofiarę z siebie wzniesie za niego,
 I krwią go swoją obmyje;
 I zstąpi za nim w śmierci otchłanie,
 Aż człowiek z Bogiem z martwych powstanie
 I przez krzyż w duchu ożyje.

— Dziękuję za cytacyę,— rzekł Edward,— pisałem com czuł i czuję.

—I nie ty jeden, albo tam nas kilku piszemy podług swych uczuć i serca — mówił dalej Juljan. — Ktokolwiek dziś bierze pióro w rękę, na publiczne ogłaszanie myśli swych, inaczej pisać nie może, ani powinien. Od czasu, gdyśmy tu naszą dysputę mieli, to jest od czasu, gdy spór między *romantyzmem* i *klassycyzmem* się ważył, i gdy w przesileniu duch wyzwalając się od krępujących go więzów, wejrzał w krainę światła i prawdy, a w niej nowe ideały piękności odkrywając, starł razem, jak Archanioł szatanowi, głowę niedowiarstwu, którém i proza i poezya napełnione były — jakże wielkie, ważne i szerokie postępy stały się w wyobrażeniach naszych! i w tém wszystkiém co na moralne udoskonalenie nasze wpływać może....

—A czy wpływa? — przerwał Ignacy.

—Wpływa i wpłynęło, — kończył Juljan. — Tomy całe napełnićby można do-

wodami tego oczywistego wpływu. Lecz zwróćmy się szczególnie na tych, których powołaniem jest nauka i rozpowszechnienie jój słowem natchnioném, czy to wiązaném w mię poezyi formy, czy w malowniczej prozie objawiona, to jest na poetów i powieścio-pisarzy, rozmaitemi treściami zajmujących dziś powszechność wszelkich cywilizowanych narodów i naszą, a zatém wydających najwięcej owoców, któremi się karmi w danym czasie myśl ludzka. Cóż ich piórem? co ich uczuciem kieruje? co ich zapala? unosi? co nakoniec jest najgłówniejszą dzieł ich i utworów osnową? Gdybyś do każdego z nich zwrócił twoje pytanie, które tak dobrze pamiętam: *«unde venis? quo tendis?»* odpowiedziałby ci każdy:— «przychodzę z talentem natchnionym mi łąską Bożą, a idę z miłością w sercu, ogłaszać i nauczać ludzi téj miłości wzajemnej między sobą, a wszystkich ku Bo-

gu!» — Jak się im udaje spełnić ten cel piękny? to kwestya talentu lub obranej drogi; lecz ta główna idea, to wewnętrzne przekonanie o swém przeznaczeniu, o swém powołaniu; a co nawet wyższém nazwaniem ochrzczono, o swém posłannictwie, udostojnia w oczach ich własnych, i sumieniu ich autorskiemu, (o którym mówiąc *intra parentesim* Kraszewski wyborny artykuł w swych *Studyach* napisał), nie dozwala się kalać cudzém zepsuciem, lub płocho rozrzucać skarby z góry im dane.

—Dodaj do tego,— rzekł Edward— że aby ta idea poświęcenia w umysłach niedojrzałych nie przerodziła się w pychę i zarozumiałość, i jak szatanów z nieba, do piekieł ich nie strąciła, czuwa religia, która dziś, niech będzie cześć Panu! przenika w rdzeń życia i napawa serca ludzkie *miłością, wiarą i pokorą*, z którą i najpotężniejsze talenta uginają przed nią swe

czoła, głosząc te główne jój przymioty przed ludem. Przychodzi mi na myśl w takim duchu, jeszcze kilka wierszy moich własnych:

..... «O szczęście moje, zem wcześniej
 Pojął cel wyższy i wieszca i pieśni,
 By czuć, że kto go osiągnie, wypłaci,
 Wszystko co winien, dla ojca i braci.
 Bo nie osiągnie aż wprzód sam usłucha,
 Aż znajdzie w sobie głos prawdy i ducha.
 Wtenczas tym głosem gdy powie do ludzi,
 Ileż dusz ze snu na światło obudzi?
 Cóż Ty innego chcesz po ludziach Boże!
 Cóż człowiek nad to bliźnim zrobić może?

—Ot do czego doszliśmy,— mówił dalej Edward,— gdyśmy sami przez siebie myśleć i pracować zaczęli; a czego dowody na każdej prawie szlachetniejszej karcie piśmiennictwa naszego znajdziesz. U nas nawet więcej może niż gdzie indziej, bo my w niewygasłym jeszcze zarzewiu pobożności i wiary praojców naszych zapalamy pochodnie, któremi te-

rażniejszym i przyszłym pokoleniom przyświecać mamy.

Tak bogate zasoby prawdy i piękna, któreśmy w sobie samych i w swojej przeszłości, jakby szybę złota rodzimego w swęj ziemi odkryli, bronią nas teraz od cudzych pożyczek, to jest, od tego nieszczęśliwego naśladownictwa, które nas tak długo w niewolnictwie trzymało. Niedawno nawet jeszcze, gdy i u nas jak w całej Europie, w skargach bez przyczyny i w jękach bez bólu rozlegał się *Bayronizm*, rozpacz ta zarażając młodych, nie przeniknęła jednak w głąb serc i umysłów dojrzałych, napełnionych ufnością bez granic w Bogu, i rzewnemi doń w cierpieniach modły; a cień jój mały, który aż w duszę przesięgnął, zostawił tam tylko urok niejakijs smętności, która się niekiedy w poezyi objawia, a tak łatwo z modlitwą zlewa się i jednoczy. Utwory zaś, a raczej potwory bluźnier-

czej i szalonej, niedawnej francuzkiej szkoły, mimo powabu języka i niezaprzeczonego talentu zmyślenia, odepchnęliśmy jak zarazę morową.

Więc kochany panie, epoka terażniejsza pismiennictwa naszego, jest czysta, prawdziwa, własna i duchowa, a co najważniejsza, chrześcijańska!!! Odznacza się tak wybitnymi cechami, tak wyrazistym obliczem, że ją najodleglejsza potomność rozróżni łatwo i oceni; uzacni ona wiek nasz i imiona pracowników, których natchnęła, i przez których jak promieniami od słońca rozstrzelanemi swe rozlewa nauki.... A wnosić można, że daleko w przyszłość panowanie jej! bo to jest wcielenie się ducha, nietylko w naszą rodzinność, ale w ludzkość całą, a zatem i podzielać będzie losy ludzkości, które Bóg ma w swój pieczy!

.....« I oby, jak za dawnych wieków,
Ród nasz, w obronie krzyża przed dziecą pogańską,

Uchrześcijanił enoty Rzymianów i Greków ;
 Tak dziś w dziedzinie myśli wsparty łaską Pańską,
 Duch nasz, przejrzawszy ze mgły Germańskich zacieków,
 Z miłości, począł w Prawdzie sztukę chrześcijańską,
 Coby myśli rozpierzeł po marzeń przestworze,
 Sprzęgła w jedno, ku pracy na królestwo Boże!

—*Amen!* — odpowiedzieli z uczuciem
 oba słuchacze.

—*Amen!* — po krótkiej chwili uroczystego milczenia odezwał się P. Ignacy.
 —Dawno już jestem renegatem ciasnych form klassycyzmu, i razem nauk XVIII-go wieku; zgadzam się więc na oczewiste dowody wpływu nowego światła na piszących. Ale niestety, trudniej uwierzyć we wpływ piszących, to jest, dzieł ich na czytelników; i do tego właśnie stosowało się zapytanie moje, które spowodowało waszą rozprawę.

—Trudno wierzyć,— odpowiedział Julian, gdy szczegółowo po jednemu ludzi z ich postępków badać i obliczać zechcesz; ale gdy wyrozumiałym sądem zajmiesz

w rozwagę całe massy towarzystwa, przekonanie to nie może dziś być wątpliwém; a dowody wpływu tego tak widoczne, tak nieraz już wypowiedane, że przeszły w konnały, których ci powtarzać nie chcę. Zresztą, jest to interes partykularny w obec wielkiej sprawy całej ludzkości; niech tylko płomień ten święty gore bezustannie w sercach i słowach nauczycieli, a przejść musi i do uczniów. Kwestya to czasu tylko. *Diderot* powiedział, że «jedna myśl fałszywa może zburzyć świat cały» *). Filozofy, autory i poeci XVIII-go wieku dowiedli tego, i nauczyli świat *niedowiarstwa* i wątpliwości. Filozofy, autory i poeci XIX-go wieku, dowiodą, że jedna myśl prawdziwa i wielka, może świat cały naprawić, i niszcząc fatalne dzieło pierwszych, nauczą ludzi *wierzyć* i *kochać*. Miara widomą po-

*) O ileż ich sam napisał!

stępu ich usiłowań będzie zawsze szacunek powszechny dzieł ich i ich samych: no toć i u nas prawdziwe talenta pracujące na téj drodze, nie mogą się uskarżać na brak téj najdroższej im nagrody.

—Jeszczeż wam jedno dam pytanie,— rzekł P. Ignacy— wynikające, jeżeli dobrze przypominam, z treści pierwszego posiedzenia naszego, bośmy natenczas własnej literackiej przyszłości wywróżyć sobie nie mogli. A zatém, my sami w tym wielkim rozwoju literatury naszej, jakież zajęliśmy? i na jakie zasłużyliśmy stanowisko.

Zdumieni tą kwestyą *Juljan* i *Edward* z uśmiechem spojrzeli na pytającego.

—No *Edwardzie* — rzekł ten znowu,— stosownie do dystychu *Brodzińskiego*

Nie zważaj że cię zarzut samolubstwa czeka:

Mów o sobie, gdy w sobie zbadałeś człowieka...

Autor *Felicyty i Barbary*, tłumacz *Dante*go i autor *Obrazów Litewskich*, czekają wyroku....

—Nie, mój Ignacy,— po krótkim milczeniu odezwał się z godnością Juljan — sąd o nas do ziomków należy!!! My tymczasem «*służmy poczcivěj sławie!*» a sumienia tylko własnego o świadectwo pytajmy.

—Szanowny sekretarzu,— rzekł zatém z udaną powagą Ignacy,— zapisz to jednomyślne *conclusum* w protokule dzisiejszego naszego posiedzenia.

—Dobrze,— odpowiedział Edward,— ale kiedyż i gdzie posiedzenie trzecie? czy znowu za lat trzydzieści!

—Lat trzydzieści! lat trzydzieści!— powtórzyli wszyscy smętnie kiwając głowami.— Lipy te chyba terminu się tego doczekają,— mówił pan Ignacy, i po krótkim milczeniu, wznosząc wzrok i rękę w górę, rzekł:

Tam trzecie posiedzenie, gdzie wszystkim pójść trzeba,
I gdzie Bóg ściśle pyta mędrców tego świata:
Jak użyli talentów danych im od Nieba?
I gdzie najsprawiedliwsze— i sąd i zapłata!

K o n i e c .

SPIS ROZDZIAŁÓW.

1856 roku Lutego 26.

w Dziewiętniach.

Tam trawie posiedzenie, gdzie wszystkie były trędy
 i gdzie Bóg ścisłe przy podrozach tego świata:
 Jak użyci talentów danych im od Nieba?

I gdzie naprzewidziawszy — i są i zastata-
 lity

— Nie, mój Ignacy, — po krótkim na-
 czaniu odezwał się z godnością Julian —
 są o nas do ziemków nabyli! My tymi
 czasem słuchamy porównaj sławie i sumieniu
 tylko własnego o swiadczeń pytały.

— Stanowisz sekretarzu — rzekł z
 zwrócić uwagę Ignacy — czy to jest
 dno myślnie czułości w swiadczeń
 z tego naszego podziwiania.

— Dobrze, odpowiedział Julian —
 ale kiedy i gdzie poniesienie trzęsie?
 czy znów za lat trzydzieści!

— Lat trzydzieści! lat trzydzieści! —
 powtórzyle wszyscy zgodnie kinając gło-
 wami — I czy to chyba twój się tego
 doczekają, — mówił pan Ignacy, i po
 krótkim milczeniu, wzruszając wzrok i
 rękę w górę, rzekł:

Spis Rozdziałów.

Wprowadzenie do nauki o Ziemi

I	1
II	20
III	30
IV	30
V	34
VI	34

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I	1
II	20
III	30
IV	30
V	34
VI	34
VII	34
VIII	34
IX	34

Wykaz literatury

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Spis Rozdziałów.

Konwersacya Szlachecka przedkilkodziesięcioletnia.

I.	7
II.	20
III.	32
IV.	50
V.	56
VI.	83
VII.	107

Konwersacya Młodzieżcza przedtrzydziestokilkoletnia.

I.	121
II.	133
III.	148
IV.	159
V.	175
VI.	191
VII.	226
VIII.	259
IX.	273

Epilog. Lat trzydzieści później.	283
--	-----



Spis Rozdziałów.

Konwersacya Szlachecka przedkilkudziesięcioletnia.

I	7
II	20
III	32
IV	50
V	58
VI	83
VII	101

Konwersacya Judożenca przedkilkudziesięcioletnia.

I	131
II	133
III	148
IV	159
V	173
VI	191
VII	226
VIII	239
IX	273

Epilog. List trzydziesty piąty.	283
---------------------------------	-------	-----



NIEKTÓRE NOWSZE DZIEŁA

wydane nakładem i drukiem Księgarni pod firmą :

JÓZEFA ZAWADZKIEGO.

Chodźko Ignacy. OBRAZY LILEWSKIE.

- Serja I. Domek mojego Dziadka.— Ostatnia Sessja Exdywizyi. — Samowar. — Powrót Dziedzica.— Poddany. Wydanie drugie poprawne i pomnożone. 2 tomy w jednym. r. sr. 1
- Serja II. Brzegi Wilii. Wydanie drugie poprawne. 3 tomy w jednym. r. sr. 1
- Serja III. Pamiętniki Kwestarza. Wydanie drugie poprawne. 3 tomy w jednym, ozdobione portretem Księcia Radziwiłła Panie kochanku, na stali rytym r. sr. 1 k. 50
- Serja IV. Jubileusz. — Duch opiekuńczy. — Autor swatem. — Panna respektowa. — Wydanie drugie poprawne. 9 tomy w jednym. r. sr. 1
- Serja V. Dworki na Antokolu. Wydanie drugie poprawne. 2 tomy w jednym r. sr. 1 k. 25

— — PODANIA LITEWSKIE.

- Serja I. Wyklęty. — Kamień w Olginianach. 12. Wilno
r. sr. 1 k. 5
- Serja II. Żegota z Milanowa Milanowski. 12. Wilno
r. sr. 1 k. 10

Cuvier. Historia nauk przyrodzonych podług ustnego wykładu Jerzego Cuvier ułożona i uzupełniona przez P. Madelen de St Agy. Na język polski przełożyli i dodatka-

mi do piśmiennictwa polskiego odnoszącemi się wzbogacili: Gustaw Belke i Aleksander Kremer, z dodatkiem Historii Anatomii w Polsce i w Litwie, przez Profesora Adamowicza. 5 tomów 8. Wilno r. sr. 8 k. 50

Z czterema portretami na stali . . . r. sr. 9 k. 50

Dycalp John. Chaos. Szczypta kadzidla ceniom wierszokletów, od Witalisa Komu-jedzie, 12. r. sr. 1 k. 25

—Doktor Panteusz w przemianach. Rękopis ze skrzyni ś. p. Przybysława Dyamentowskiego, Stolnika Urzędowskiego. 18 r. sr. 1 k. 10

—Opowiadania wierszem. Zawierają: Talizmany. — Dziedek i Babka. — Opowiadanie Dydaka. — Opowiadanie Jagusi. — Aniolki. k. 20.

—Opowiadania z dewizą: „Tutto è vero verissimo! Letto mio carissimo!” zawierające następne artykuły: Jeszcze Dzicy. — Trzój bracia dziedzice. — Powrót Rabina. — Suchotnica. 1 tom 12. k. 75

—Opowiadania nowe. 18. r. sr. 1 k. 10

—Ostatni Upiór w Bielehradzie. Dosłowny wyciąg z Kroniki Czeskiej wieku XVI. 12. k. 50

—Pamiętnik Elfa. 2 toniki in 18 maj. na najpiękniejszym welinie, w nader ozdobnej okładce z 2ma rycinami na papierze chińskim. r. sr. 2 k. 50

Dycalp John i J. I. Kraszewski. Powieść składana in 18. na papierze welinowym k. 90

Korzeniowski Józef. Andrzej Batory. Dramat historyczny w pięciu aktach, in 18. na pięknym welinie k. 95

—Dramata i Komedye mniejsze. 2 tomy 12.

Tom 1-szy zawiera:

1) Piąty akt; Dramat w 1m akcie.

2) Zakład; Komedya w 2ch aktach.

3) Panna Katarzyna w długach; Fraszka w 1m akcie.

i 4) Stacya pocztowa w Hulczy; Komedya w 1m akcie.

Tom 2gi:

1) Pani Kasztelanowa; Dramat w 1m akcie.

2) Fabrykant; Komedya we 2ch aktach.

- 3) Doktor Medycyny; Komedyjka w 1m akcie.
i 4) Pośredniczka; Komedyja w 1m akcie.
(wyczerpane).

—Dramata i Komedye mniejsze. Serya 2-ga, 2 tomy.

Tom 1-szy zawiera Komedye:

- 1) Piérwój mama.
- 2) Dwaj Mężowie.
- 3) Okrężne.
- 4) Przyjaciółki.
- 5) Narzeczone.

Tom 2gi:

- 1) Stara Elegantka.
- 2) Qui pro Quo.
- 3) Majster i Czeladnik.
- 4) Autorka, Dramat. 12. r. sr. 2 k. 40

—Emeryt. Powieść, z portretem autora na stali rżniętym. 12
r. sr. 1 k. 80

—Izabella d'Ayamonte. Dramat we 4-ch aktach. 12mo, na
papierze welinowym, w ozdobném wydaniu k. 75

—Karpaccy Górale. Dramat we 3ch aktach. in 18. na pię-
knym welinie k. 75

—Kollokacya. Powieść. Wydanie drugie, in 12. Wilno
r. sr. 1 k. 50

—Młoda Wdowa. Komedyja we 3ch aktach, in 12mo, na
papierze welinowym; w ozdobném wydaniu k. 70

—Panna Mężatka. Komedyja we 3ch aktach, in 12mo, na
pięknym welinie k. 70

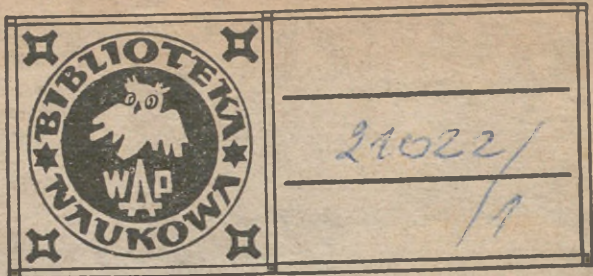
—Powiastki mniejsze, z dodaniem dwóch fragmentów, 2 to-
my 12. (wyczerpane).

—Spekulant. Powieść oryginalna. Wydanie drugie in 12,
około 400 stronic ścisłego, lecz wyraźnego druku zawie-
rający. r. sr. 1 k. 50

—Umarli i Żywi, albo wszystkiego po trosze. Dramat w pię-
ciu aktach in 12mo. Na papierze zwyczajnym. . . k. 75
Na pięknym welin k. 90

—Wędrowki Oryginała. Powieść nowa nader interessująca
z życia Warszawskiego. w 1m tomie . . . r. sr. 1 k. 50

- Wędrowki (nowe) Oryginał. Z rękopismn nieznanego autora, 2 tomy in 12. r. sr. 3
- Żydzi. Komedya w 4ch aktach. Wydanie drugie. in 12mo
kop. 75
- Wąsy i peruka. Komedya we 3ch aktach. in 18. Wilno.
k. 65
- Garbaty. Powieść we 3ch tomach, in 12. . . r. sr. 2 k. 50
- Powieści i opowiadania. Serja II. Scena na balu i poje-
dynek. 1 tom 12. Wydanie ozdobne Wilno . . . r. sr. 1
- Powieści i opowiadania. Serja III. Jedynaczka i Dwa
śluby. 1 tom 12. r. sr. 1 k. 20
- Wdowiec. Powieść. 2 tomy 12. r. sr. 2 k. 50
- Druga Żona. Komedya opowiedziana k. 90
- Kraszewski J. I.** Budnik. Obrazek. Wydanie drugie in 16
kop. 30
- Obrazy z życia i podróży. 2 tomy 8 maj. na papierze we-
linowym z 3ma litografowanemi rycinami . r. sr. 2 k. 50
Cena zniżona r. sr. 1
- Studia Literackie, 1 tom 8. 18ście arkuszy druku r. 1 k. 50
Cena zniżona k. 75
- Szkice obyczajowe i historyczne. Ośm powieści, składają-
cych 13ście tomików całego zbioru r. sr. 12
- Kordecki. Powieść historyczna. 2 tomy 12. . r. sr. 3 k. 30
- Ładowa pieczara. Obrazek wiejski. 12. r. s. 1
- Diabeł. Powieść z czasów Stanisława Augusta. Wydanie
poprawione i przerobione przez autora. 4 tomy we 2ch
. sr. 3 k. 30
- Powieść bez tytułu. 4 tomy we 2ch na pap. welinowym. 12
r. sr. 3 k. 30
- Dwa światy. Powieść. 4 tomy we 2ch. . . r. sr. 3 k. 30
- Dwie Komedyjki: Portret, komedyjka w 3ktach.— Ła-
twiej popsuć niż naprawić, przypowieść w 3ch aktach
r. sr. 1
- Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego, z pozostałych po
nim rękopismów przepisane i wydane. 4 tomy 12. (*pod
prasa*).



21022 /
19